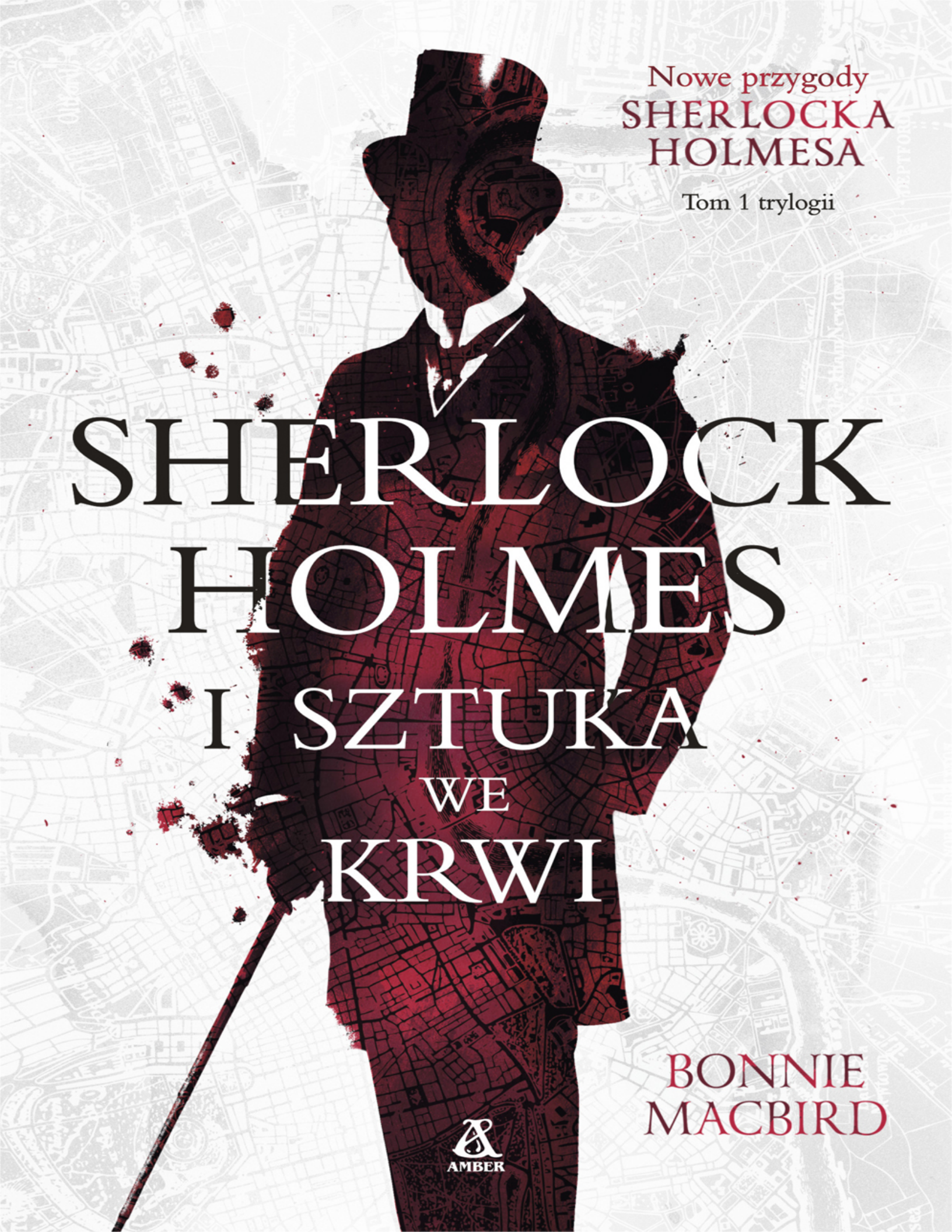


Nowe przygody  
SHERLOCKA  
HOLMESA

Tom 1 trylogii

The background is a light grey map of London. Overlaid on this is a dark red silhouette of Sherlock Holmes, wearing his iconic top hat and smoking a pipe. The silhouette is filled with a detailed map pattern. Several red blood splatters are scattered across the silhouette and the map background. The title text is centered over the figure.

SHERLOCK  
HOLMES  
I SZTUKA  
WE  
KRWI

BONNIE  
MACBIRD

  
AMBER

SHERLOCK  
HOLMES  
I SZTUKA  
WE  
KRWI

BONNIE  
MACBIRD

Przekład  
MACIEJ PINTARA  
ANTONI KULAWIK





Redaktor inicjująca i prowadząca  
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta  
Halina Lisińska  
Barbara Cywińska

Projekt okładki  
© HarperCollinsPublishers Ltd 2015

Ilustracje na okładce  
© Shutterstock.com

Zdjęcie autorki  
© Ray Bengston

Tytuł oryginału  
Art in the Blood

Originally published in the English language by HarperCollins  
Publishers Ltd. under the title *Art In The Blood*

Copyright © Bonnie MacBird 2015

Bonnie MacBird asserts the moral right to be acknowledged as the author of this  
work.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7081-4

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

WSTĘP

## **Część I - Z CIEMNOŚCI**

1. Pożar
2. W drodze

## **Część II - MIASTO ŚWIATŁA**

3. Poznajemy naszą klientkę
4. Luwr
5. Les Oeufs
6. Czarny Kot

## **Część III - LINIE SĄ NARYSOWANE**

7. Atak!
8. Śliskie zbocze
9. L'Artiste en Danger
10. Opowieść mademoiselle La Victoire

## **Część IV - ZA KULISAMI**

11. Nieprawidłowości na Baker Street
12. Wiszący most
13. Mycroft
14. Uzbrojeni w kłamstwa

## **Część V - BRZUCH WIELORYBA**

15. Przyjazd
16. Potrzebne naprawy
17. Na łonie rodziny
18. Pierwsze spojrzenie

## **Część VI - CIEMNOŚĆ ZAPADA**

19. Morderstwo!
20. Pokojówka
21. Na półce

22. Straszny błąd

**Część VII - SPLĄTANE NICI**

23. Wieje grozą

24. Watson prowadzi śledztwo

25. Opowieść Vidocq'a

**Część VIII - ZALEW CZERNI**

26. Powalony

27. Bracia krwi

28. Nike z Samotraki

**Część IX - 221B**

29. Kierunek Londyn

30. Odnowa

**PODZIĘKOWANIA**

## *Dla Alana*

Zainteresowani czytelnicy znajdą ilustrowane przypisy  
na [www.macbird.com/aitb/notes](http://www.macbird.com/aitb/notes)



# WSTĘP

Podczas Letnich Igrzysk Olimpijskich 2012, gdy badałam pewne informacje medyczne z epoki wiktoriańskiej w bibliotece Wellcome Library, przypadkiem natknęłam się na coś tak zdumiewającego, że całkowicie zmieniłam kierunek poszukiwań. Poprosiłam o kilka starych woluminów i dostałam mały, zakurzony zbiór. Niektóre tomy były związane lnianymi wstążeczkami, żeby się nie rozpadły.

Odwiązałam największy, rozprawę naukową o używaniu kokainy, i odkryłam pod spodem gruby plik złożonych pożółkłych kartek. Rozłożyłam je ostrożnie i rozpostarłam przed sobą. Odręczne pismo było dziwnie znajome. Czy ja dobrze widzę? Odwróciłam okładkę książki. Na stronie tytułowej widniało napisane wyblakłym atramentem nazwisko właściciela: *Dr John H. Watson*.

Na kruszejących kartkach był nieopublikowany opis pewnej przygody Sherlocka Holmesa autorstwa jego przyjaciela, samego doktora Watsona.

Dlaczego nie wydano tej opowieści dawno temu razem z innymi? Mogę tylko przypuszczać, że dlatego, iż ta historia, dłuższa i być może bardziej szczegółowa niż większość, ujawnia pewną słabość charakteru Holmesa i jej opublikowanie

mogłoby narazić go na niebezpieczeństwo w okresie ich aktywności. Lub może Holmes po przeczytaniu jej po prostu zabronił publikacji.

Trzecia możliwość, oczywiście, jest taka, że doktor Watson w roztargnieniu złożył swój rękopis i, z niewiadomych przyczyn, przywiązał go do spodu tej książki. Potem albo ją stracił, albo zapomniał o niej. Toteż dzielę się z wami tą opowieścią, ale z następującym zastrzeżeniem.

Z czasem, być może z powodu zawilgocenia i wyblaknięcia, wiele fragmentów stało się nieczytelnych; spróbowałam odtworzyć to, czego wydawało się brakować. Jeśli są tu jakieś błędy stylistyczne lub nieścisłości historyczne, proszę to przypisać mojej niemożności wypełnienia nieczytelnych miejsc. Mam nadzieję, że podzielacie mój entuzjazm. Jak niedawno powiedział za siebie i wszystkich miłośników Conan Doyle'a Nicholas Meyer, odkrywca *Siedmioprocentowego roztworu*, *The West End Horror* i *The Canary Trainer*: „Nigdy nie mamy dość!”

Być może jest więcej nieodnalezionych jeszcze opowieści. Szukajmy. A na razie usiądźmy z tą przy kominku, przysuńmy się blisko i poczytajmy.

Część I  
Z CIEMNOŚCI

*Mam wielką ambicję, by umrzeć z wyczerpania, a nie z nudy.*

Thomas Carlyle

# 1. Pożar

Mój drogi przyjaciel Sherlock Holmes powiedział kiedyś: „Sztuka we krwi potrafi przybierać najdziwniejsze formy”. I tak było z nim. W licznych relacjach z naszych wspólnych przygód wspominałem o jego grze na skrzypcach i jego aktorstwie, ale jego artyzm sięgał dużo głębiej. Uważam, że był źródłem jego niezwykłych sukcesów jako pierwszego na świecie detektywa doradczego.

Nie byłem skory do opisywania artystycznej natury Holmesa, żeby nie ujawnić jego słabości, co mogłoby go narazić na niebezpieczeństwo. Powszechnie wiadomo, że wizjonerskim zdolnościom artystów często towarzyszy wyjątkowa wrażliwość i gwałtowne zmiany nastroju. Kryzys filozoficzny lub po prostu znudzenie beczynnością mogłyby spowodować u Holmesa paraliżujące przygnębienie, z którego nie mógłbym go wydobyć.

Właśnie w takim stanie zastałem mojego przyjaciela pod koniec listopada 1888 roku.

Londyn przykrywał śnieg, miasto wciąż było wstrząśnięte przerażającymi morderstwami Rozpruwacza. Ale w tym momencie nie obchodziła mnie brutalna zbrodnia. Wcześniej tego roku ożeniłem się z Mary Morstan i mieszkałem w

wygodnym zaciszu domowym w pewnej odległości od pokoi na Baker Street, które kiedyś dzieliłem z Holmesem.

Pewnego późnego popołudnia czytałem z zadowoleniem przy kominku, gdy zdyszany posłaniec przyniósł mi list. Otworzyłem go i przeczytałem: *Doktorze Watson, on podpalił 221B! Niech pan natychmiast przyjedzie! Pani Hudson*".

Po chwili pędziłem dorożką ulicami w kierunku Baker Street. Kiedy wypadliśmy z za rogu, poczułem, jak koła ślizgają się w kopnym śniegu, i dorożka przechyliła się niebezpiecznie. Zastukałem w dach.

– Szybciej, człowieku! – krzyknąłem.

Skręciliśmy z poślizgiem w Baker Street, gdzie zobaczyłem wóz strażacki i kilku wychodzących z naszego budynku mężczyzn. Wyskoczyłem z dorożki i pobiegłem do drzwi.

– Pożar! – zawołałem. – Nikt nie ucierpiał?!

Młody strażak z okopconą twarzą spojrzał na mnie błyszczącymi oczami.

– Już ugaszony. Gospodyni nic się nie stało. Co z tamtym dżentelmenem, nie jestem pewien.

Kapitan straży odepchnął go na bok i zajął jego miejsce.

– Zna pan mężczyznę, który tu mieszka? – zapytał.

– Tak, całkiem dobrze. Jestem jego przyjacielem. – Kapitan przyjrzał mi się ciekawie. – I jego lekarzem.

– Więc niech pan wejdzie i zajmie się chłopem. Coś jest nie tak. Ale nie z powodu pożaru.

Dzięki Bogu, Holmes przynajmniej żył. Przepchnąłem się obok nich do przedpokoju. Była tam pani Hudson; załamywała

ręce. Jeszcze nie widziałem tej zacnej kobiety w takim stanie.

– Doktorze! Och, doktorze! – wykrzyknęła. – Dzięki Bogu, że pan przyjechał. Ostatnie dni były straszne, a teraz jeszcze to! – Jej niebieskie oczy wypełniły się łzami.

– Nic mu się nie stało?

– Ocalał z pożaru, ale to coś okropnego... odkąd wrócił z aresztu! Jest posiniaczony. Nie odzywa się, nie je.

– Z aresztu?! Jak to...? Nie, później mi pani powie.

Wbiegłem po siedemnastu stopniach do naszych drzwi i przystanąłem. Zapukałem głośno. Cisza.

– Niech pan tam wejdzie! – zawołała pani Hudson.

Otworzyłem gwałtownie drzwi.

Uderzył mnie podmuch zimnego, zadymionego powietrza. W znajomym pokoju odgłosy powozów i kroków prawie całkowicie tłumił świeży śnieg.

W jednym rogu leżał do góry dnem poczerniały i mokry kosz na śmieci, a obok na podłodze zwęglony papier i kawałek spalonej, nasiąkniętej wodą draperii.

A potem zobaczyłem jego.

Potargany, blady z braku snu i jedzenia, wyglądał, szczerze mówiąc, na bliskiego śmierci. Leżał na kanapie w znoszonym purpurowym szlafroku i trząsł się. Stopy miał owinięte starym czerwonym kocem, który szybko szarpnął do góry, żeby zakryć nim twarz.

Pokój wypełniał gryzący odór spalenizny i stęchłego dymu tytoniowego. Podmuch lodowatego powietrza wpadł przez

otwarte okno. Podszedłem, zamknąłem je i natychmiast zakaszlałem od swądu. Holmes się nie poruszył.

Po jego pozie i nierównym oddechu momentalnie poznałem, że coś wziął, jakiś środek odurzający lub pobudzający. Ogarnął mnie gniew, a potem poczucie winy. Mażeńskie szczęście sprawiło, że od wielu tygodni nie widziałem się ani nie rozmawiałem z moim przyjacielem. Holmes niedawno zaproponował, żebyśmy wybrali się razem na koncert, ale oprócz mażeńskiego życia towarzyskiego zajmowałem się pacjentem w krytycznym stanie i zapomniałem odpowiedzieć.

– No, więc, Holmesie – zacząłem – co z tym pożarem? Mów.  
Milczenie.

– Rozumiem, że zostałeś na krótko aresztowany. Za co? Dlaczego nie przysłałeś żadnej wiadomości?

Nic.

– Holmesie, nalegam, żebyś mi powiedział, co się dzieje! Wiesz, że mimo iż jestem teraz żonaty, możesz mnie wezwać, kiedy coś takiego, jak... kiedy... jeśli...

Głos uwiązał mi w krtani. Cisza. Dostałem mdłości.

Zdjąłem palto i powiesiłem je w dawnym znajomym miejscu obok jego płaszcza. Wróciłem i stanąłem przy nim.

– Wyjaśnij mi sprawę tego pożaru – poprosiłem cicho.

Chude ramię wynurzyło się spod złachanego koca i wykonało niejasny gest.

– Wypadek.

Błyskawicznie chwyciłem jego ramię i przyciągnąłem do światła. Tak jak powiedziała pani Hudson, było posiniaczone, a

w jednym miejscu widoczne było znaczne cięcie. W poprzek zobaczyłem coś bardziej alarmującego: wyraźne ślady igły. Kokaina.

– Do kroćset, Holmesie. Pozwól, że cię zbadam. Co się, u diabła, stało w areszcie?

Wyrwał ramię z zadziwiającą siłą i skulił się pod kocem. Milczenie. A potem w końcu oznajmił:

– Proszę, Watsonie. Nic mi nie jest. Odejdź.

Nie odezwałem się. To wykraczało daleko poza sporadyczny ponury nastrój, jakiego bywałem świadkiem w przeszłości. Zaniepokoiłem się.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko kanapy i przysięgłem sobie, że to przeczekam. Zegar na gzymsie kominka tykał i gdy minuty zamieniły się w godzinę, mój niepokój się pogłębił.

Jakiś czas później pani Hudson przyniosła kanapki, na co nie zareagowałem. Kiedy zaczęła wycierać wodę po strażakach, krzyknął do niej, żeby wyszła.

Wyszedłem z nią na podest i zamknąłem drzwi za sobą.

– Dlaczego go aresztowano? – zapytałem.

– Nie wiem, doktorze – odrzekła. – To miało coś wspólnego ze sprawą Rozpruwacza. Oskarżono go o majstrowanie przy dowodach.

– Dlaczego pani nie wezwała mnie? Albo jego brata? – spytałem.

W tamtym czasie niewiele wiedziałem o znacznych wpływach starszego brata Holmesa, Mycrofta, w rządzie, ale wyczuwałem, że mógłby pomóc.



– Pan Holmes nikomu nic nie powiedział, po prostu zniknął! Jego brat nic nie wiedział chyba przez tydzień. Oczywiście potem od razu go zwolniono, ale szkoda już się stała.

Dużo później poznałem szczegóły tej przerażającej sprawy i dowiedziałem się, na jak ciężkie próby naraziła ona mojego przyjaciela. Zostałem jednak zobowiązany do zachowania tego w tajemnicy i musi to pozostać tematem ksiązek historycznych. Dość powiedzieć, że mój przyjaciel rzucił znaczące światło na tę sprawę, co okazało się bardzo niewygodne dla pewnych osobników na najwyższych rządowych szczeblach.

Ale to zupełnie inna historia. Powróciłem do mojego czuwania. Mijały godziny, a ja nie mogłem go ani pobudzić, wciągnąć w rozmowę, ani nakłonić do jedzenia. Pozostawał nieruchomy i wiedziałem, że jest w niebezpiecznej depresji.

Poranek minął i nastąpiło popołudnie. Kiedy stawiałem przy nim filiżankę herbaty, przypadkiem zauważyłem na bocznym stoliku coś o wyglądzie zmiętego prywatnego listu. Rozprostowałem cicho dolną połowę i odczytałem podpis: *Mycroft Holmes*. Rozłożyłem kartkę i przeczytałem: *Przybądź niezwłocznie. Sprawa EP wymaga twojej natychmiastowej uwagi.*

Złożyłem list i schowałem do kieszeni.

– Holmesie – powiedziałem – pozwoliłem sobie...

– Spal ten list – dobiegł spod przykrycia ostry, nieprzyjemny głos.

– Tu jest zbyt mokro – odrzekłem. – Kto to jest „EP”? Twój brat pisze...

– Spal to, mówię!

Nie odezwał się więcej. Pozostał przykryty i nieruchomy. Wieczorem postanowiłem to przeczekać i zostać z nim na noc. Zje – albo zemdleje – i będę przy nim jako jego przyjaciel i lekarz, żeby postawić go na nogi. Śmiała myśl, ale wkrótce potem zasnąłem.

Następnego poranka obudziłem się przykryty tym samym czerwonym kocem, który miałem w swoich dawnych pokojach. Pani Hudson stała nade mną z herbatą na tacy i leżącym na jej brzegu nowym, podłużnym różowym listem.

Zamachała nim do niego.

– Z Paryża, panie Holmes!

Cisza.

Zerknąwszy na Holmesa i niedokończone wczorajsze jedzenie, pokręciła głową i posłała mi zaniepokojone spojrzenie.

– To już cztery dni, doktorze – szepnęła. – Niech pan coś zrobi! – Postawiła tacę obok mnie.

Chude ramię rozmemłanej postaci na kanapie odprawiło ją gestem.

– Niech pani nas zostawi, pani Hudson! – krzyknął. – Daj mi ten list, Watsonie.

Pani Hudson wyszła, rzucając mi pokrzepiające spojrzenie.

Porwałem list z tacy i trzymałem go daleko.

– Najpierw zjedz – zażądałem.

Wyłonił się ze swojego kokonu z morderczą miną i wepchnął herbatnika do ust, patrząc na mnie jak rozzłoszczone dziecko.

Powąchałem list. Poczuję niezwykle i piękne perfumy, być może wanilię i jeszcze coś.

– Ach – westchnąłem z lubością.

Holmes zdołał wyrwać mi list i natychmiast wypluł herbatnik. Obejrzał dokładnie kopertę, rozerwał ją, wyjął list i przebiegł go szybko wzrokiem.

– Ha! Co z tego rozumiesz, Watsonie? – W jego bystrych szarych oczach było zmęczenie, ale błyszczała w nich ciekawość. Dobry znak.

Wziąłem od niego list. Kiedy go rozkładałem, dostrzegłem, że patrzy niepewnie na dzbanek z herbatą. Nalałem mu filiżankę, dodałem kapkę brandy i wręczyłem mu.

– Pij – rzuciłem.

Na liście był paryski stempel pocztowy z wczorajszą datą. Treść napisano jasnoróżowym atramentem na eleganckiej papeterii. Zerknąłem na delikatne pismo.

– Jest po francusku – stwierdziłem i oddałem mu list. – I trudny do odczytania, nawet gdyby nie był. Zobacz.

Chwycił niecierpliwie list i oznajmił:

– Pismo zdecydowanie kobiece. Zapach, hm... kwiaty, bursztyń, nutka wanilii. To chyba nowy Guerlain, „Jicky”, jeszcze niewypuszczony na rynek. Ta śpiewaczka – bo tak ona siebie opisuje – musi odnosić sukcesy, lub przynajmniej być bardzo podziwiana, skoro dostała buteleczkę wcześniej.

Holmes przeniósł się blisko kominka, żeby mieć lepsze światło, i zaczął czytać teatralnie, co czasami lubiłem, a kiedy

indziej tolerowałem. Znał biegle francuski, więc tłumaczenie było dla niego łatwe.

– *Drogi panie Holmes, pisze, pańska reputacja i niedawne uznanie ze strony mojego rządu skłoniło mnie do wystąpienia z tą niezwykłą prośbą. Potrzebuję pańskiej pomocy w bardzo osobistej sprawie. Choć jestem paryską śpiewaczką koncertową i jako taka mogę być przez pana uważana za niższą kastę – „kasta” to dziwny dobór słowa dla śpiewaczki – błagam o rozważenie udzielenia mi pomocy.* Ech, atrament jest tak blady, że nie mogę tego rozczytać!

Holmes zbliżył list do lampy gazowej nad naszym kominkiem. Zauważyłem, że ręka mu się trzęsie i stoi niepewnie. Stałem za nim, żeby czytać ponad jego ramieniem.

– Śpiewaczka kontynuuje: *Piszę w bardzo pilnej sprawie, która dotyczy ważnego w pańskim kraju człowieka i ojca mojego syna.* Tutaj ta dama wykreśliła nazwisko, ale to chyba... Co za diabeł?

Przysunął list bliżej do światła i zmarszczył brwi. Kiedy to zrobił, stało się coś dziwnego. Atrament zaczął tak szybko znikać, że nawet ja to zauważyłem zza jego pleców.

Holmes krzyknął i natychmiast wepchnął list pod poduszkę na kanapie. Odczekaliśmy kilka sekund i wyciągnęliśmy go z powrotem, żeby znów na niego spojrzeć. Kartka była całkowicie pusta.

– Aha! – powiedział Holmes.

– To jakiś rodzaj znikającego atramentu! – zawołałem, ale Holmes momentalnie uciszył mnie wzrokiem.

– Ojciec jej syna? – zapytałem. – Odcyfrowałeś nazwisko tej ważnej osobistości?

– Owszem – przytaknął Holmes, stojąc bez ruchu. – To earl Pellingham.

Wróciłem na kanapę zamyślony. Pellingham był jednym z najbogatszych parów w całej Anglii, którego hojność i ogromna władza w Izbie Lordów – nie wspominając o jego reputacji filantropa i kolekcjonera dzieł sztuki – czyniły z niego niemal powszechnie znaną postać.

A tu francuska śpiewaczka kabaretowa twierdzi, że jest z nim związana.

– Jakie są szanse, Holmesie, że twierdzenie tej kobiety jest prawdziwe?

– Wydaje się niedorzeczne. Ale może...

Podszedł do zagraconego stołu i rozpostarł list pod jasnym światłem.

– Ale czemu ten znikający atrament?

– Nie chciała, żeby list z nazwiskiem tego dżentelmena wpadł w niepowołane ręce. Wpływy earla podobno sięgają daleko. A jednak uważam, że nie ujawniła nam wszystkiego...

Oglądał teraz list przez szkło powiększające.

– Ciekawe te kreseczki! – Powąchał kartkę. – I te pioruńskie perfumy! Ale wyczuwam leciutki zapach... Zaraz! – Zaczął szperać w zbiorze buteleczek.

Wytrząsnął kilka kropli na kartkę i mruknął:

– Musi być jeszcze coś.

Wolałem mu nie przeszkadzać w takiej pracy i wróciłem do czytania gazety. Niedługo potem wyrwał mnie z drzemki okrzyk triumfu.

– Ha! Tak jak myślałem, Watsonie. List, który zniknął, to nie była cała wiadomość. Odkryłem pod nim drugi, napisany niewidocznym atramentem. Doprawdy sprytne – podwójne wykorzystanie steganografii!

– Ale jak...?

– Na kartce były kreseczki, które nie pasowały do reszty pisma. I leciutki zapach ziemniaków. Ta kobieta użyła drugiego atramentu widocznego dopiero po zastosowaniu odczynnika, w tym wypadku jodyny.

– Zdziwiasz mnie, Holmesie. Co tam jest napisane?

*Drogi panie Holmes. Piszę to do pana w stanie najwyższej trwogi i przerażenia. Nie chciałam, żeby list z nazwiskiem ojca tego chłopca ocalał; stąd te środki ostrożności. Jeśli jest pan tak bystry, jak mówią, to odkryje pan drugi tekst. Wtedy będę wiedziała, że jest pan człowiekiem, który może mi pomóc.*

*Piszę do pana, bo mój dziesięcioletni synek Emil zniknął z nienazwanej posiadłości, i obawiam się, że został porwany, albo gorzej. Do niedawna mieszkał z tym mężczyzną i jego żoną na skomplikowanych warunkach, o których chciałabym opowiedzieć panu osobiście.*

*Wolno mi widywać go tylko raz do roku w Boże Narodzenie, kiedy przyjeżdżam do Londynu i muszę wykonywać kategoryczne polecenia, żeby się z nim potajemnie spotkać.*

*Tydzień temu dostałam list z wiadomością, że nasze wyznaczone za trzy tygodnie spotkanie jest odwołane i nie zobaczę mojego synka w to Boże Narodzenie ani nigdy więcej. Nakazano mi pogodzić się z tym pod groźbą śmierci. Natychmiast zadepeszowałam i dzień później zostałam zaczepiona na ulicy przez brutalnego opryszka, przewrócona na ziemię i ostrzeżona, żebym się nie wtrącała.*

*To nie wszystko, panie Holmes, ale boję się, że oplata mnie dziwna sieć. Czy mogłabym wpaść do pana w Londynie w przyszłym tygodniu? Błagam pana w imię człowieczeństwa i sprawiedliwości o wzięcie mojej sprawy. Proszę odtelegrafować swoją odpowiedź i podpisać się jako pan Hugh Barrington, londyński reżyser rewiowy.*

*Z poważaniem*

*Emmeline »Cherie« La Victoire*

Holmes zamilkł i zamyślił się. Wziął zimną fajkę i chwycił ją zębami. Jego zmęczona twarz ożywiła się.

– Co sądzisz o tej „dziwnej sieci”, Watsonie?

– Nie mam pojęcia – odrzekłem. – To artystka. Może trochę dramatyzuje?

– Wątpię. Ten list świadczy o inteligencji i dokładnym planowaniu.

Postukał zimną fajką w kartkę w nagłym geście zdecydowania, zerknął na zegar i wstał. Oczy mu błyszczały.

– Zdążymy na ostatni prom z Dover. Pakuj się, Watsonie. Wyruszamy na kontynent za niecałe półtorej godziny. –

Podszedł do drzwi. – Pani Hudson! – krzyknął w dół.

– Ale tamta kobieta ma tu być w przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu mogłaby już nie żyć. Ta młoda dama jest tak zaniepokojona, że może nie w pełni uświadamiać sobie grożące jej niebezpieczeństwo. Wyjaśnię wszystko po drodze.

Po tych słowach znalazł się przy drzwiach frontowych i znów krzyknął do przedpokoju:

– Pani Hudson! Nasze bagaże!

– Holmesie – zawołałem – zapominasz, że moje bagaże są gdzie indziej!

W moim domu!

Ale już przeszedł z pokoju do swojej sypialni. Zastanawiałem się, czy jego umysł w ogóle funkcjonuje, skoro nie pamięta takiej rzeczy. Czy jest na tyle zdrowy, żeby...?

Zerwałem się z fotela i ściągnąłem przykrycie z kanapy. Pod jedną z poduszek leżała kokaina i strzykawka. Upadłem na duchu.

Holmes pojawił się w drzwiach.

– Przekaż moje przeprosiny pani Watson i przywieź swoje rzeczy o... – Urwał na widok buteleczki i strzykawki w mojej ręce.

– Holmesie! Powiedziałeś mi, że skończyłeś z tym.

Wyraz wstydu przemknął po jego dumnym obliczu.

– Niestety... niestety jesteś mi potrzebny, Watsonie. – Urwał na moment. – Do tej podróży, o to mi chodzi. Jeśli byłbyś wolny...



Słowa zawisły w powietrzu. Jego chuda postać rysowała się w drzwiach, gotowa do działania, niemal drżąca z podniecenia lub może po narkotyku. Spojrzałem w dół na igłę w moich rękach. Nie mogłem mu pozwolić jechać samemu w tym stanie.

– Musisz mi obiecać, Holmesie...

– Koniec z kokainą.

– Nie, tym razem mówię poważnie. Nie będę mógł ci pomóc, jeśli sam sobie nie pomożesz.

Skinął głową.

Schowałem strzykawkę do jej futerału i włożyłem wraz z kokainą do kieszeni.

– Masz szczęście. Mary wyjeżdża jutro na wieś w odwiedzinach do swojej matki.

Holmes klasnął jak dziecko.

– Bardzo dobrze, Watsonie! – krzyknął. – Chatham odjeżdża do Dover z Victoria Station za trzy kwadranse. Weź swój rewolwer!

Po tych słowach zniknął w górze schodów. Milczałem.

– I kanapki! – zawołał w dół.

Uśmiechnąłem się. Dawny Holmes powrócił. Ja też, na lepsze lub na gorsze.

## 2. W drodze

Wróciłem do domu po swoje rzeczy i ledwo zdążyłem na pociąg z Victoria Station do Dover.

Człowiek naprzeciwko mnie w naszym prywatnym przedziale nie był już tym, który marniał pod numerem 221B zaledwie kilka godzin wcześniej. Gładko ogolony i nawet elegancki w czarno-szarym stroju podróżnym, Holmes był w każdym calu tak imponującą postacią, jak potrafił być, gdy coś go zainspirowało.

Przyznaję, że pewien, iż jego szybką transformację spowodowała wyłącznie nowa sprawa, a nie moje starania, czułem się nieco urażony. Ale pozbyłem się tych myśli i postanowiłem być zadowolony, że mój przyjaciel znów jest sobą, bez względu na przyczynę.

Rozpoczął niezwykle obszerne wyjaśnienie naszej sytuacji. W jego oczach płonęło podniecenie i miałem nadzieję, że nie przerodzi się ono w obłęd.

– Podwójne zaszyfrowanie listu jest interesujące, nie sądzisz, Watsonie? Najwyraźniej chciała wymienić nazwisko tamtego dżentelmena, jednak takie środki ostrożności muszą oznaczać, że jego też się boi. Ale intrygująca jest druga wiadomość.

– Tak. Skąd wiedziała, że ją znajdziesz?

– Dzięki mojej reputacji, oczywiście.

– Zatem mój opis *Studium w szkarłacie* dobrze ci się przysłużył, Holmesie?

– Zapominasz, że jestem znany we Francji. Zważywszy jej zainteresowanie chemią, uznałbym jej decyzję o ukryciu drugiej wiadomości za rodzaj testu przy użyciu papierka lakmusowego.

Zdumiony, oparłem się wygodnie i zacząłem obierać pomarańczę nożykiem.

– Przyznam, że sztuczka z dwoma atramentami była sprytna. Ale co z samą sprawą? Ta kobieta chce przyjechać do ciebie. Skąd więc ten pośpiech i nasza podróż do Paryża?

Holmes uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie masz ochoty na pobyt w Paryżu, Watsonie? Na zostawienie mroku Londynu dla Miasta Światła? Z pewnością nie sprzeciwisz się krótkim wakacjom. Nie widziałeś jeszcze trwającej budowy osobliwej i raczej pretensjonalnej konstrukcji nazywanej La Tour Eiffel.

– Słyszałem, że to paskudztwo. A ty nie jedziesz na odpoczynek, Holmesie. Dlaczego sądzisz, że tej kobiecie nieuchronnie grozi niebezpieczeństwo?

– Uważam, że napaść na ulicy, Watsonie, to zaledwie czubek góry lodowej. Niepokoi mnie jej związek z earlem. Według mojego brata ten człowiek dobrze ukrywa swoją skłonność do przemocy.

Nagle mnie olśniło.

– A, to E/P w liście Mycrofta do ciebie! Ale zawsze słyszałem, że earl Pellingham to szanowany filantrop i wzór *noblesse oblige*.

– Tak mówią. Słyszałeś o jego kolekcji dzieł sztuki?

– Owszem, założył ją jego ojciec, o ile sobie przypominam.

– Jest legendarna, ale obecnie niedostępna. Wiesz, że od lat nikt jej nie widział?

– Niestety, nie jestem na bieżąco w tych sprawach, Holmesie.

– Mycroft podejrzewa, że earl zdobywa swoje skarby niezbyt uczciwymi metodami. Chodzi zwłaszcza o ostatni.

– Po co tak poważany człowiek miałby ryzykować, że zostanie napiętnowany jako złodziej z powodu jakichś skradzionych obrazów?

– Pozycja earla jest trudna do wyobrażenia. Jego powiązania czynią go prawie nietykalnym. Podejrzenia spływają po nim jak woda po kaczce, Watsonie; na pewno to wiesz. A rzeczony dzieło sztuki to nie obraz, lecz rzeźba. I to nie byle jaka, tylko Marsylska Nike. Słyszałeś o niej?

– A, to ten grecki posąg odkryty w tym roku! Zdaje się, że wiąże się z nim zabójstwo...

– Ściślej, cztery zabójstwa. Tę Nike uważa się za największe znalezisko od czasów marmurów Elgina i mówi się, że jest piękniejsza od tamtej z Samotraki. Ogromne dzieło w doskonałym stanie. Bezcenne.

Poczęstowałem Holmesa częścią pomarańczy. Zbył mnie machnięciem ręki i ciągnął dalej z zapalem:

– Co najmniej trzy obce mocarstwa roszczą sobie prawa do bycia jej odkrywcami i do jej posiadania. Podczas jej nieco kontrowersyjnego transportu do Luwru kilka miesięcy temu zniknęła w Marsylii. Czterech ludzi zostało brutalnie zamordowanych w czasie kradzieży. Rządy grecki, francuski i brytyjski bezskutecznie wyczerpują środki na jej odnalezienie i wyjaśnienie zabójstw.

– Wszystkie trzy kraje? Czemu aż tyle państw rości sobie prawa do tej Nike?

– Jej odkrywca, jeden z czterech zamordowanych mężczyzn, był utytułowanym Anglikiem, który prowadził finansowane przez Francuzów wykopaliska w Grecji.

– A, rozumiem. I poproszono ciebie...

– Mycroft życzył sobie, żebym się tym zajął, rząd francuski też, ale dotychczas odmawiałem.

– Dlaczego?

Holmes westchnął.

– Zachłanny szlachcic i sfuszerowana kradzież dzieła sztuki niezbyt mnie interesowały, dopóki nie dostałem listu od mademoiselle La Victoire. Wydaje się, że Pellingham może mieć szersze zainteresowania. Mycroft sprawdza pogłoski o przestępstwach w sferach interesów i prywatnej w środku i wokół jego posiadłości, co wymaga bliższej obserwacji. I choć ma earla na oku, nawet on musi postępować ostrożnie z powodu ogromnej władzy Pellinghama. Potrzebuje więcej informacji.

– Więcej?

– Kaczka, Watsonie, kaczka. Mycroft musi uzasadnić śledztwo, a mademoiselle Emmeline La Victoire może nam zapewnić *entrée* do świata earla.

Zamilkliśmy na krótko. Popatrzyłem przez okno na mijaną wiejską okolicę w zapadającym zmierzchu. Zachmurzone niebo ciemniało. W oddali przecięła je błyskawica. Nie wróżyło to dobrze naszej przeprawie. Odwróciłem się z powrotem do Holmesa.

– Jest jeszcze dziecko. I napaść na tę kobietę.

– No właśnie.

– Cóż, sądząc po jej liście, z pewnością jest przerażona.

– W istocie. Jej prośba o zamaskowanie mojej odpowiedzi wskazuje, że jest obserwowana. Moim zdaniem nie możemy się z nią skontaktować zbyt szybko.

– Ale kim właściwie jest ta Emmeline La Victoire?

– Nie słyszałeś o śpiewaczce Cherie Cerise, Watsonie?

– Wyznam, że nie. Jak dobrze wiesz, Holmesie, moje rozrywki ograniczają się do brydża i dobrej książki przy kominku.

– Ha! To oszukiwanie samego siebie! Jesteś świetnym strzelcem, nałogowym hazardzistą, miłośnikiem tanich powieści i wielbicielem...

– Holmesie!

Ale mój przyjaciel znał mnie aż za dobrze.

– Cherie Cerise jest obecnie na ustach całego Paryża. Jeśli wierzyć jej reklamie, jest *chanteuse extraordinaire*. Występuje na przemian w Chat Noir i Moulin de la Galette, sprawiając, że

ten wielki lokal pęka w szwach i dochodzi tam niemal do zamieszek każdego wieczoru, kiedy się pojawia.

– Chat Noir? Czarny Kat?

– Kot, Watsonie, Czarny Kot. Kameralne miejsce spotkań o wielkim prestiżu. Byłem tam dwa razy w zeszłym roku, gdy pracowałem dla Francuzów. Godna uwagi muzyka, klientela, a nawet dzieła sztuki na ścianach.

– Ale nadal nie rozumiem związku.

– Spokojnie, mój poczciwy doktorze, wszystko zostanie wyjaśnione. A teraz odpocznij, bo czeka nas praca. Posłuchamy śpiewu tej damy, być może jeszcze dzisiejszego wieczoru.

Westchnąłem.

– Jest przynajmniej piękna? – Byłem ciekaw.

Holmes się uśmiechnął.

– Takie pytanie z ust żonatego mężczyzny?! Na pewno się nie rozczarujesz, Watsonie. Kiedy Francuzka nie jest piękną, i tak jest dziełem sztuki. A gdy jest piękna, żadna kobieta jej nie dorówna.

Po tych słowach opuścił kapelusz na oczy, wyciągnął się i zasnął.

Część II  
MIASTO ŚWIATŁA

*Sztuka rodzi się z obserwacji i badania natury.*

Cyceron



### 3. Poznajemy naszą klientkę

Okazało się, że musimy spędzić noc w Dover, we wspólnym ciasnym pokoju w hotelu zatłoczonym unieruchomionymi, spóźnionymi z powodu sztormu podróżnymi. Holmes wymknął się na krótko na deszcz ze śniegiem i wysłał kilka telegramów, w tym jeden do mademoiselle La Victoire. Nasza klientka oczekiwała nas teraz następnego dnia o jedenastej przed południem w swoim mieszkaniu.

Po opuszczeniu Gare du Nord poszliśmy w śnieżnej mgle ulicami wzdłuż rzędów obwieszonych sopłami drzew w kierunku wzgórza Montmartre. Holmes miał tam swoje ulubione bistro, Franc Buveur, gdzie mogliśmy przeczekać godzinę do spotkania z naszą klientką. Było jeszcze wcześniej i marzyłem o kawie, być może z bułeczką, ale Holmes zamówił dla nas *bouillabaisse provençal*. Okazało się, że to smaczny i pożywny marsylski gulasz rybny, najwyraźniej serwowany o każdej porze w tym lokalu. Był może trochę niezwykły jak na mój gust, ale zauważyłem z ulgą, że Holmes je go z apetytem.

Zanotowałem sobie w pamięci, żeby wrócić z moim przyjacielem do Paryża, ilekroć zobaczę, że jego szczupła figura staje się niebezpiecznie wychudzona. Nigdy nie miałem tego

problemu, ale w wieku trzydziestu pięciu lat wiedziałem, że środki ostrożności nie zawadzą.

Dotarliśmy krętymi, obsadzonymi drzewami uliczkami pod adres mademoiselle La Victoire. W tej części Montmartre'u panował niemal wiejski spokój, który maskował bliskość słynnego nocnego życia dzielnicy. Tu i tam pusta parcela lub ogród, teraz pod śniegiem, rozdzielały stare domy. Wiatraki sterczały tuż za pobliskimi drzewami.

Podeszliśmy do eleganckiego trzypiętrowego budynku z misternymi kratami w oknach, zadzwoniliśmy i wkrótce potem stanęliśmy na trzecim piętrze przed drzwiami o niezwykłym odcieniu ciemnej zieleni. Wisiała na nich ozdobna mosiężna kołatka. Zastukaliśmy.

Otworzyła nam jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem. Cherie Cerise, *née* Emmeline La Victoire, stała przed nami w aksamitnym szlafroku w tym samym kolorze głębokiej zieleni, który doskonale pasował do jej zaskakująco zielonych oczu i kasztanowych włosów. Wrażenie wywarła na mnie nie tylko jej uroda, lecz również pewna rzadka cecha – wyraźna inteligencja, która w parze z kobiecym powabem niemal zaparła mi dech.

Ale podkrążone oczy i blada cera zdradzały smutek i niepokój. Obrzuciła nas wzrokiem, momentalnie przyswajając sobie każdy szczegół.

– A, monsieur Holmes – odezwała się z uśmiechem do mojego towarzysza. – Co za ulga. – Odwróciła się do mnie rozpromieniona. Zaczerwieniłem się zupełnie bez powodu. – A

pan musi być najcudowniejszym z przyjaciół pana Holmesa, doktorem Watsonem, jak mniemam.

Wyciągnąłem rękę, żeby uścisnąć jej dłoń, ale przysunęła się i francuskim zwyczajem ucałowała mnie, a potem Holmesa, w oba policzki.

Pachniała tak pięknie, jak jej list – perfumami Jicky, jak nazwał je Holmes – i z trudem powstrzymałem uśmiech od ucha do ucha. Ale byliśmy tam w poważnej sprawie.

– Jesteśmy do pani usług, mademoiselle – oznajmiłem.

– Madame – poprawiła mnie. – *Merci*. Dziękuję za tak szybkie przybycie.

Czarujący francuski akcent tylko dodawał jej wdzięku.

Wkrótce siedzieliśmy przed małym, płonącym wesoło kominkiem w salonie jej pełnego przepychu mieszkania, urządzonego we francuskim stylu w jasnobrązowym i śmietankowym odcieniu, z wysokimi sufitami, jasnym orientalnym dywanem i obitymi prążkowanym jedwabiem meblami. Na tym neutralnym tle odcinało się jaskrawo kilka bukietów świeżych kwiatów, drogich o tej porze roku, i cała tęcza rozrzuconych jedwabnych apaszek. Nasza klientka miała wyrafinowany gust.

Przeprosiła za nieobecność służby i sama przyniosła nam filiżanki gorącej herbaty.

– Mój mąż niedługo wróci – powiedziała. – I gosposia z zakupami.

Holmes westchnął.

Mademoiselle La Victoire przyjrzała mu się uważnie.

– To prawda; nie wspomniałam o mężu.

– Pani nie jest zamężna – stwierdził Holmes.

– Ależ tak... – zaczęła.

Holmes chrząknął i nagle wstał.

– Chodź, Watsonie. Obawiam się, że nasza podróż była stratą czasu.

Kobieta zerwała się z miejsca.

– Monsieur Holmes, *non!* Błagam pana!

– Pani nie jest mężatką, mademoiselle. Jeśli pani życzy sobie mojej pomocy, to żądam całkowitej szczerości. Niech pani nie marnuje mojego czasu.

Zastanawiała się. Wstałem niechętnie. Holmes sięgnął po swój kapelusz.

– Proszę usiąść – powiedziała w końcu i sama to zrobiła. – Zgadzam się. Sprawa jest pilna. Ale skąd pan wiedział?

Usiadłem, ale Holmes nadal stał.

– Twierdzi pani, że ma męża i jego nazwisko widnieje w kilku artykułach o pani. A jednak nigdy go nie widziano ani nie opisano. Moje dochodzenie wykazało, że nikt go nie widział. A teraz, w pani mieszkaniu, zauważam wiele kobiecych akcentów, ale żadnego męskiego; pani apaszki na oparciu fotela, który byłby jego, gdyby on istniał, wybór książek na gzymsie kominka, brak przyborów do palenia, z wyjątkiem pani papierośnicy.

Wskazał małą, misternie wykonaną srebrną papierośnicę na bocznym stoliku.

– Tak, jest moja. Ma pan ochotę zapalić, panie Holmes? Nie będzie mi to przeszkadzało.

– Ha! Nie, dziękuję. Szczegóły, które wymieniłem, to drobne wskazówki, ale dowodem jest obrączka na palcu pani lewej ręki. Dostrzegam, że sztuczna i nie tylko nieładna, ale również trochę za duża dla pani. Zważywszy staranny dobór koloru i kroju pani ubioru, a także wystrój tego pokoju, to przeoczenie świadczy, że pani małżeństwo jest fikcją, aby, jak przypuszczam, wprawiać adoratorów w zakłopotanie, kiedy pani sobie tego życzy. Jest to pomocne, jako że nie wydaje się pani z kimś związana.

To wszystko wydawało się oczywiste, a jednak tego nie zauważyłem.

Mademoiselle milczała, ale lekki uśmiech błąkał się na jej twarzy.

– Cóż – odrzekła – to wszystko jest dość jasne. Ale to tylko dowodzi, że jest pan bardziej spostrzegawczy niż inni.

Holmes parsknął.

– Jeszcze nie skończyłem...

– Holmesie... – ostrzegłem.

– Nie mogę dowieść mojej teorii, ale na podstawie pierwszego wrażenia, jakie pani na mnie wywarła, uważam za prawdopodobne, że pani nie ufa żadnemu mężczyźnie.

– Po prostu oceniam pańskie możliwości – odparła.

– Nie. Już pani to zrobiła. List.

– Zatem jak pan doszedł do takiego wniosku po pięciu minutach kontaktu i wyglądzie mojego salonu?

– Holmesie – poprosiłem znowu, bo rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku.

Zignorował mnie, pochylił się do przodu i utkwiał w niej spojrzenie swoich szarych oczu.

– Wnosząc z pani reputacji, jest pani wielką artystką, a zatem kobietą porywczą, zmienną i... podatną na uleganie kaprysom i wpadanie w rozpacz. Pani talent muzyczny, w połączeniu ze znakomity wyczuciem koloru i wybrednym gustem, widocznym w tutejszym wystroju i pani ubiorze, świadczy o wyjątkowo wrażliwej naturze w pełni rozwiniętej artystki. Maskuje pani swój silnie emocjonalny charakter inteligencją i dobrymi manierami. Ale to nie jest po prostu maska; pani krytyczne myślenie umożliwiło pani samodzielne odniesienie sukcesu mimo tych osobistych słabości. A jednak oszukuje się pani; w głębi duszy i w gruncie rzeczy jest pani osobą, którą powodują uczucia.

– Jestem artystką; jesteśmy uczuciowe. To nic nowego – odpowiedziała ostro.

– Nie doszedłem jeszcze do sedna – zaznaczył Holmes.

Odstawiłem moją filiżankę z hałasem na spodeczek.

– Wyborna kawa. Mógłbym poprosić o jeszcze jedną? – spytałem.

Oboje mnie zignorowali.

– A jakie jest sedno? – zapytała.

– Ma pani nieślubnego syna z earlem. Nie znam jeszcze szczegółów, ale musiała pani być bardzo młoda.

Najprawdopodobniej to była pani pierwsza miłość. Ile pani miała lat?

Mademoiselle La Victoire milczała. Nie wiedziałem, co myśli ani czuje, ale temperatura w pokoju jakby spadła.

– Osiemnaście.

– Widzę, że mam rację.

– *Peut-être*. Proszę dalej.

– Jego oczywista zdrada, jako że nie jest pani żoną earla, musiała głęboko zranić młodą osobę o pani wrażliwości. Uważam, że od tamtej pory nie ufa pani żadnemu mężczyźnie, a jednak pragnie pani tego całym sercem.

Nasza klientka zrobiła gwałtowny wdech.

Słowa Holmesa zawisły w pokoju niczym maleńkie sople. Czasami nie zdawał sobie sprawy, jak mogą ranić. Jednak mademoiselle La Victoire natychmiast doszła do siebie.

– Brawo, panie Holmes – powiedziała z uśmiechem. – Wygląda na to, że ma pan osobistą wiedzę na ten temat.

– Nie miałem wcześniej żadnych informacji...

– O, *non!* Wnoszę, że mówi pan na podstawie własnego doświadczenia.

Cień zaskoczenia przemknął po jego twarzy.

– Bynajmniej. Ale przejdźmy do bieżącej sprawy i zajmijmy się stanem rzeczy.

– Proszę bardzo – odrzekła.

Oboje oparli się wygodnie, odprężyli i patrzyli na siebie z powściągliwym podziwem niczym bokserzy przed walką. Uświadomiłem sobie, że siedzę nerwowo na samym brzegu

fotela. Odchrząknąłem, zmieniłem pozycję i starałem się uspokoić.

– Czy ktoś ma ochotę na papierosa? – zagadnąłem.

– Nie – zaprzeczyli chórem.

– Ile lat ma pani syn? – zaczął Holmes. – Dziewięć? Dziesięć?

– Dziesięć.

– Jak się pani dowiedziała, że on zniknął? *En français... plus facile pour vous?* – spytał Holmes łagodniejszym tonem.

– O, *non*. Wolę po angielsku.

– Jak pani sobie życzy.

Mademoiselle La Victoire wzięła głęboki oddech i owinęła się swoim zielonym szlafrokiem.

– W każde Boże Narodzenie ja i *mon petit* Emil spotykamy się w Londynie w hotelu Brown. Przyprawdza go pewien mężczyzna, „pośrednik”. Emil i ja jemy razem lunch w pięknej herbaciarni i daję mu prezenty. Pytam, jak mu minął rok, i staram się go poznać. To jest cenne, ale trwa za krótko. W tym roku spotkanie zostało odwołane. Napisałam i wysłałam telegram. Żadnej odpowiedzi. W końcu usłyszałam od tego pośrednika, że Emil jest ze swoim wujem nad morzem i nieprędko wróci.

– Ale nie uwierzyła pani w to.

– On nie ma żadnego wuja.

– Widywała go pani co roku od jego narodzin?

– Tak. Taką umowę zawarłam z jego ojcem, earlem.

– To chyba Harold Beauchamp-Kay, obecny earl Pellingham? – zapytał Holmes.



– Tak.

– Proszę zacząć od początku. Niech pani opisz chłopca.

– Emil ma dziesięć lat. Jest niski na swój wiek. Szczupły.

– Ile ma wzrostu?

Mademoiselle La Victoire uniosła rękę na jakiś metr dwadzieścia od ziemi.

– Mniej więcej tyle. Blondyn, jak jego ojciec. Zielone oczy po mnie. Dziecko o słodkiej buzi, spokojne. Lubi muzykę i czytanie.

– A za kogo panią bierze chłopiec?

– Za przyjaciółkę rodziny, niespokrewnioną.

– Czy earl towarzyszy chłopcu w Londynie?

– Emilowi – odpowiedziałem. – On ma na imię Emil.

– *Non!* Nie widziałam Harolda... eee... earla od...

Głos jej się załamał. Wyglądała na przygnębioną. Wyczułem, że Holmes tłumaczy westchnienie zniecierpliwienia.

– To kto przyprowadza Emila do Browna?

– Kamerdyner earla, Pomeroy. Jest z pochodzenia Francuzem; bardzo życzliwy. Rozumie matczyną miłość.

Nagle nie wytrzymała. Wciągnęła powietrze, żeby ukryć szloch. Podałem jej moją chusteczkę. Wzięła ją uprzejmie i przyłożyła do oczu. Holmes pozostał niewzruszony. Ale byłem pewien, że jej uczucia są prawdziwe. Uspokoła się z trudem.

– Muszę coś wyjaśnić. Dziesięć lat temu byłem tu, w Paryżu, ubogą śpiewaczką. To była trzydniowa miłość; rozmawialiśmy o małżeństwie. Nie wiedziałam, że on jest earlem ani że już jest żonaty. Ale wtedy...

– Tak, tak, oczywiście. Ale wróćmy do terażniejszości. Więc ten kamerdyner, Pomeroy, jest współwinny? Co się stało w tym roku? – warknął.

– Holmesie! – upomniałem go ponownie. Kobieta była wyraźnie bardzo zdenerwowana.

– Proszę kontynuować – naciskał dalej, tylko nieznacznie zmieniawszy ton głosu. – Co pani zrobiła na wiadomość, że wasze bożonarodzeniowe spotkanie jest odwołane?

– Napisałam żądanie wytłumaczenia tego.

Holmes machnął niecierpliwie rękami.

– I...?

– W odpowiedzi dostałam ostrzeżenie, żebym zaniechała kontaktu, bo inaczej nie zobaczę Emila nigdy więcej.

– W liście od earla?

– *Non*. Nie miałam z nim kontaktu – ani listownego, ani osobistego – odkąd zawarliśmy naszą umowę. List był od jego człowieka, Pomeroya.

– Nie było dalszego wyjaśnienia ani kontaktu?

– Napisałam i wysłałam trzeci telegram, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Co panią powstrzymało od podróży do posiadłości earla i zbadania sytuacji? – zapytał opryskliwie Holmes. – Zapalę teraz papierosa.

Poczęstowała go jednym ze swojej papierośnicy. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Wyjąłem jedną i zapaliłem ją dla niego.

– To wszystko stało się bardzo niedawno, panie Holmes – odrzekła. – Według umowy miałam widywać Emila wyłącznie w Boże Narodzenia. Takie były warunki.

– A jednak druga strona nie dotrzymała tej umowy – warknęła Holmes. – Bierz pani pod uwagę, że pani syn może nie żyć?

– Żyje! – Mademoiselle La Victoire wstała, jej oczy płonęły. – Nie wiem, skąd to wiem, monsieur Holmes, i może pan to przeanalizować lub wyszydzić. Ale jako matka skądś wiem, że mój syn żyje. Musi mi pan pomóc! Chcę, żeby pan zaczął działać.

– Mademoiselle! Jeszcze nie skończyliśmy.

– Holmesie – powiedziałem łagodnie – dręczysz panią swoimi nieuprzejmymi pytaniami. Wydaje mi się, że jeszcze za mało wiemy.

– Właśnie w tym rzecz – odrzekł Holmes. – Nie będę mógł pani pomóc, dopóki nie dowiem się wszystkiego. Proszę usiąść. Kontynuujmy.

Usiadła i uspokoiła się.

– Kto jeszcze w posiadłości earla wie, że Emil jest pani synem?

– Lady Pellingham.

Holmes odchylił się do tyłu zaskoczony.

– Żona earla, amerykańska dziedziczka?! Zna całą historię? Wie, że dziecko jest jego?

– Tak.

– I przyjęła nieślubnego potomka męża do swojego domu?

– Więcej. Jest dla Emila matką. Kocha go całym sercem, a on odwzajemnia jej uczucia. Emil myśli, że ona jest jego matką!

Urwała i załkała.

– To musi być dla pani bardzo trudne – zauważyłem.

– Proszę dalej – przynaglił Holmes.

– Najpierw mnie to bolało – przyznała mi się. – Bardzo. Ale potem uświadomiłam sobie, że tak jest najlepiej. Lady Pellingham to dobra kobieta i straciła dziecko przy porodzie prawie w tym samym czasie, kiedy Emil przyszedł na świat. Jej martwe dziecko w tajemnicy zastąpiono moim małym Emilem i wszyscy uważają, że on jest ich. Emil odziedziczy posiadłość i będzie następnym earlem Pellingham. Więc rozumie pan...

– Rozumiem – przytaknął Holmes, znów opryskliwie. – Pod wieloma względami jest to korzystna umowa.

Kobieta zeszywniała.

– Uważa pan, że jestem wyrachowana?

– Nie, nie, on tak nie uważa – zaprzeczyłem, ale Holmes mnie zlekceważył.

– Uważam, że jest pani praktyczna.

– Praktyczna, owszem. W chwili adopcji byłam zaledwie ubogą artystką i nie mogłam zapewnić Emilowi wykształcenia ani niczego pożytecznego. A życie z artystką estradową naraziłoby małe dziecko na liczne niebezpieczeństwa i złe wpływy. Proszę sobie wyobrazić dziecko za kulisami...

– Tak, tak, oczywiście – odrzekł Holmes. – Napisała pani, że została napadnięta, mademoiselle La Victoire, i dlatego tu jesteśmy. Proszę o tym opowiedzieć.

– To było dokładnie jeden dzień po moim ostatnim telegramie do earla. Jakiś opryszek podszedł do mnie na ulicy. Popchnął

mnie brutalnie i machnął bronią, jakimś dziwnym nożem.

– Proszę opisać ten nóż.

– Był bardzo nietypowy. Przypominał chochlę, ale z bardzo ostrą krawędzią, jakby do cięcia – wyjaśniła nasza klientka. – Odeszłam, poślizgnęłam się na lodzie i upadłam na ziemię.

– Stało się pani coś?

– Bardziej się przestraszyłam, niż ucierpiałam. Miałam potem tylko małego siniaka. Ale było jeszcze coś...

– Co? Proszę dokładniej.

– Kiedy upadłam, tamten mężczyzna pomógł mi wstać.

Holmes pochylił się do przodu podekscytowany.

– O! Odezwał się do pani? Jakich słów użył?

– Po tym, jak pomógł mi wstać, przystawił mi to dziwne ostrze do gardła i powiedział, żebym lepiej uważała.

– Tak się wyraził? Nie wspomniał o earlu?

– Nie. Powiedział: „Zostaw to, bo ktoś może zginąć”.

– Jaki miał akcent? Angielski? Amerykański? Grecki?

– Francuski – odparła. – Ale trudno go było zrozumieć. Mówił cicho.

– Czy coś w tym człowieku wydało się pani znajome? Jego ubranie, głos, nóż?

– Zupełnie nic. Jego twarz zasłaniał duży kapelusz. Był zmierzch i padał gęsty śnieg. Nie widziałam go dokładnie.

– Zna pani jakiegoś garbarza?

– Garbarza? Chodzi panu o kogoś, kto przygotowuje skórę? Eee... *non*. Żadnego. A dlaczego?

– Bo opisany przez panią nóż to skrobak do suchego garbowania skóry – wyjaśnił Holmes. – Narzędzie charakterystyczne dla tego fachu.

– Tak czy owak, nie lubię gróźb, panie Holmes.

– To zrozumiałe. Aczkolwiek uważam, że to nie była groźba, lecz przyjacielskie ostrzeżenie.

– *Non!* – wykrzyknęła.

– *Attendez.* Uważam, że istnieje zagrożenie. Bardziej dla pani syna niż dla pani. Aczkolwiek jest możliwe, że same pani wysiłki, żeby go odnaleźć, mogą narazić na niebezpieczeństwo was oboje.

Mademoiselle La Victoire siedziała bez ruchu i słuchała.

– W interesie bezpieczeństwa proszę, aby pani nie ryzykowała samotnego wychodzenia. Proszę nic nie robić i pozwolić doktorowi Watsonowi i mnie swobodnie szukać pani syna. A teraz jeszcze jedno pytanie. Czy wcześniej wyczuwała pani coś niedobrego? Może podczas spotkań z pani synem?

– Musi mnie pan zrozumieć, monsieur Holmes – odrzekła śpiewaczka. – Kocham mojego synka. Przez lata widywałam zdrowe, szczęśliwe, dobrze się rozwijające i przystosowane do życia dziecko. Nigdy bym nie pozwoliła, żeby było inaczej. Mam wrażenie, że był życzliwie i wielkodusznie traktowany przez earla i jego żonę.

Holmes pozostał obojętny. Od drzwi, które prowadziły do reszty mieszkania, dobiegł zgrzyt krzesła. Holmes wstał, natychmiast czujny. Dołączyłem do niego.

– Kto jest z nami w mieszkaniu? – zapytał.

Mademoiselle La Victoire podniosła się z miejsca.

– Nikt. To gosposia z zakupami. A teraz proszę mi wybaczyć...

– Jej imię?

– Bernice. A dlaczego?

Holmes nie odpowiedział. Mademoiselle La Victoire podeszła do drzwi i otworzyła je wyraźnie wypraszącym gestem.

– Muszę teraz odpocząć, panowie, i przygotować się do dzisiejszego wieczornego występu. Zapraszam do Czarnego Kota. Śpiewam o jedenastej. Potem możemy się spotkać i kontynuować rozmowę.

– Chętnie tam przyjdziemy – odrzekłem. – Dziękujemy za kawę i gościnność.

Podszedłem i pocałowałem ją w rękę. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że mój towarzysz jest już w palcie i sięga po swój szalik.

Chwilę później znaleźliśmy się na ulicy. Zaczął padać śnieg.

– Chodźmy, Watsonie. Co sądzisz o naszej klientce?

– Jest niesłychanie piękna.

– Powściągliwa.

– Czarująca!

– Skomplikowana. Coś ukrywa.

– Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że chłopiec był dobrze traktowany u earla – powiedziałem. – Nie wierzysz jej słowom?

Holmes parsknął i przyspieszył.

– Jeszcze nie możemy być pewni traktowania Emila w domu. Dzieci często wcześniej uczą się stoicyzmu.

– Ale chyba mademoiselle La Victoire coś by zauważyła – odparłem.

– Niekoniecznie. Nawet matka może przeoczyć oznaki.

Zaskoczył mnie jego komentarz. Jak wiele razy w przeszłości, znów się zastanowiłem nad historią Holmesa. Nic nie wiedziałem o jego dzieciństwie. Czy jego matka przeoczyła oznaki? I czego?

Jakaś korpulentna kobieta z naręczem zakupów się zbliżała. Holmes zawołał do niej wesoło z doskonałym akcentem:

– *Bonsoir*, Bernice!

– *Bonsoir*, monsieur – odpowiedziała śpiewnie, a potem, gdy zobaczyła, że jesteśmy obcy, przyspieszyła.

Holmes spojrzał na mnie wymownie.

Kto był z nami w mieszkaniu?



## 4. Luwr

Podczas naszej wizyty u mademoiselle La Victoire deszcz ze śniegiem zamienił się w lekki śnieg. Mieliśmy kilka godzin do wieczornego występu, więc zatrzymaliśmy dorożkę i pojechaliśmy do małego hotelu blisko Madeleine. Następnie, ku mojemu zaskoczeniu, Holmes zaproponował wyprawę do Luwru. Prosiłem go usilnie, żeby odpoczął, ale już odzyskał swoją nerwową energię i zwrócił mi uwagę, że krótkie i nieśpieszne spojrzenie na niektóre z największych dzieł sztuki na świecie będzie bardziej regenerujące niż drzemka. Wydało mi się to wtedy rozsądnym pomysłem.

Powinienem był wiedzieć, że Holmes ma drugi, niewypowiedziany powód; tym się charakteryzowały moje podróże z nim. Zostawiliśmy bagaż i znów złapaliśmy dorożkę.

Holmes kazał woźnicy pojechać trochę na okrągło malowniczą trasą przez Paryż, najpierw do placu Gwiazdy. Okrążyliśmy wspaniały Łuk Triumfalny, a potem podążyliśmy Polami Elizejskimi i minęliśmy Pałac Przemysłu. Dotarliśmy do placu Zgody, gdzie Holmes wskazał luksorski obelisk, po czym skierował naszego woźnicę na południe ku rzece. Niedokończona wieża Eiffla wyłoniła się na prawo od nas ze śnieżnej mgły. Wyglądała nedorzecznie niczym jakaś

konstrukcja Juliusza Verne'a pomyślana jako drabina na Księżyc.

– Potworność! – stwierdziłem. – Holmes się uśmiechnął. Byłem ciekaw, jak długo paryżanie wytrzymają z tą pioruńską wieżą.

Po wejściu do Luwru zaczęliśmy zwiedzanie od galerii w południowym skrzydle. Holmes zaskoczył mnie tam swoją rozległą wiedzą na temat kolekcji i przyjemnością, z jaką przedstawiał mi co cenniejsze eksponaty. Cieszyłem się, że jest odprężony psychicznie, gdyż niewiele rzeczy poza pracą i grą na skrzypcach mogło dać wytchnienie jego niespokojnemu umysłowi.

Pomyślałem, że może się myliłem, i ta podróż do Paryża będzie właśnie tym, co jest mu potrzebne, żeby dojść do siebie.

Przeszliśmy szybko przez kilka wielkich sal i przystanęliśmy przed niezwykłym portretem. Przesztawiał nieco ekscentrycznie wyglądającego dżentelmena ubranego w stylu bohemy sprzed około osiemdziesięciu lat. Miał szeroki futrzany kołnierz, jaskrawoczerwony szal, siwe włosy w nieładzie i diaboliczny, rozbawiony wyraz pełnej życia twarzy.

Holmes zatrzymał się przed tym portretem, wyraźnie nim zainteresowany.

– Kim jest ten dziwnie wyglądający jegomość, Holmesie, twoim znajomym?

– Bynajmniej, on od dawna nie żyje. Ale ten obraz to niedawny nabytek i czytałem o nim. Przedstawia Isabeya, słynnego miniaturzystę.

Nieco dziwna mina i strój dżentelmena na obrazie uderzyły mnie.

– Wygląda na trochę szalonego! – zauważyłem. – Lub może gotowego do jakiegoś niecnego czynu.

Holmes odwrócił się do mnie ubawiony.

– Możliwe. Z artystą nigdy nic nie wiadomo.

Przeczytałem nazwisko pod portretem. Namalował go Horace Vernet, brat babki Holmesa! Mało rozmawialiśmy o jego wychowaniu, ale raz wspomniał o tym.

– A, twój cioteczny dziadek jest artystą! – wykrzyknąłem. – Ale to jest niezwykle dla niego, nieprawdaż? Nie był bardziej znany z obrazów historycznych, a później batalistycznych i orientalnych? – Byłem dumny, że przynajmniej tyle wiem o sztukach wizualnych.

Holmes spojrzał na mnie z pewnym zaskoczeniem, a potem się uśmiechnął i wrócił do studiowania obrazu.

Zapoznałem się kiedyś z historią rodziny Vernetów, żeby zrozumieć mojego przyjaciela. Horace Vernet, dziwny gość, urodził się w Luwrze w czerwcu 1789 roku, a jego ojciec artysta (pradziadek Holmesa), Carle Vernet, ukrywał się tam podczas brutalnej rewolucji francuskiej.

Siostra Carle'a, aresztowana za zadawanie się ze szlachtą, została zawleczona, wrzeszcząc, na gilotynę. Carle już nie wrócił do malowania, ale jego syn Horace stał się sławnym

artystą. Nie wpadł w pułapki klasycyzmu, lecz wyrobił sobie własny, dużo bardziej naturalny styl i malował głównie żołnierzy oraz sceny orientalne.

Mimo że druga strona rodziny Holmesa składała się z angielskich ziemian, a zatem prawdopodobnie była bardziej konwencjonalna (choć nie mogłem mieć pewności), to odkąd dowiedziałem się o jego francuskim pochodzeniu, zawsze uważałem, że wyjaśnia ono jego teorię „sztuki we krwi”.

Holmes, chłodno rozumująca maszyna, miał jednocześnie głęboko emocjonalną osobowość. Pewne myśli, które przychodziły mu do głowy – oczywiście po zgromadzeniu faktów – świadczyły o wyobraźni zasługującej jedynie na miano artystycznej.

Kiedy przechodziliśmy do następnej galerii, Holmes przysunął się blisko i szepnął:

– Zauważyłeś, że ktoś nas śledzi?

Zacząłem się odwracać.

– Nie zdradzaj się z tym! Idź dalej.

– Miej do mnie więcej zaufania, Holmesie!

Weszliśmy do sali z rysunkami Ingesa. Te wykonane piórkiem studia kobiet i dzieci mogły być ładne, ale nie potrafiłem się skupić. Zerknąłem za siebie. Jest tam ktoś, kto natychmiast cofnął się za drzwi do następnej galerii? Czy też Holmes, będąc jeszcze w niepewnym stanie, tylko wyobraził to sobie?

Kto by wiedział, że tu jesteśmy, lub miałby jakiś powód, żeby nas śledzić? To musi być po prostu inny turysta. Nad czym ja się

zastanawiam?

Holmes wskazał dyskretnie głową w kierunku galerii, z której przyszliśmy.

– Dżentelmen z wielkim parasolem dobrze potrafi się ukrywać.

– Nikogo nie widzę, Holmesie – odrzekłem. – Większość ludzi zostawia parasole w szatni.

– No, właśnie.

Znów zerknąłem przez ramię. Nie zobaczyłem żadnego mężczyzny z parasolem. Zacząłem się trochę niepokoić i niecierpliwić.

– Napijemy się kawy?

– Za mną, Watsonie – odparł. – Zgubimy tego gościa.

Ruszył szybko naprzód.

– To niedorzeczne – mruknąłem, spiesząc za nim. Po co ta tajemnicza gra?

Dziesięć minut później, po wyczerpującym truchcie labiryntem galerii i dużych oraz małych sal trasą, którą mój towarzysz wydawał się dobrze znać, Holmes uznał, że zdołaliśmy się pozbyć naszego cienia.

– To dobrze – stwierdziłem. – Może nasz obserwator dołączył do jednej z grup amerykańskich dam i znajdzie sobie odpowiednią żonę, która mu umożliwi rezygnację z przestępczego życia.

Holmes mnie zignorował. Dotarliśmy do dużej klatki schodowej dla zwiedzających przed niezwykłym posągiem

kobiety bez głowy, która kroczyła zdecydowanie naprzód z rozpostartymi skrzydłami.

– Podziwiał Nike z Samotraki – polecił Holmes. – Jeden z najwspanialszych przykładów sztuki hellenistycznej na świecie, jeśli nie najwspanialszy.

Ale moją wyobraźnię zawładnął nasz fikcyjny obserwator.

– Pewnie oczarowują go teraz swoimi wnikliwymi spostrzeżeniami na temat sztuki – powiedziałem. – Jedna z nich spodoba mu się. Przeniosą się razem do Filadelfii i otworzą sklepik z parasolami, gdzie...

– Powiedziałem ci, że go zgubiliśmy – warknął mój towarzysz.

– Nikogo tam nie było, Holmesie! – odparowałem rozdrażniony.

Ale zignorował mnie, zatopiony w kontemplowaniu posągu.

– Tylko spójrz, Watsonie. Czyż ona nie jest wspaniała? Zwróć uwagę na pełną życia pozę, ruch ciała, wygląd mokrej szaty – jakby na dziobie statku. To styl z wyspy Rodos, a rzeźba prawdopodobnie upamiętnia dawne zwycięstwo na morzu. Mówi się, że Marsylska Nike, o której wspominałem ci w pociągu, jest podobna do niej, co czyniłoby tamten posąg najbardziej pożądanym!

Wpatrywał się w rzeźbę zachwycony, urzeczony jakąś charakterystyczną cechą dzieła lub koncepcją artysty – nie wiedziałem. Przypuszczam, że kobieta była piękna. Z pewnością miała w sobie coś dramatycznego, co graniczyło z teatralnością. Brakowało jej głowy. Gdzie się podziała? Westchnąłem, nagle zmęczony.

Holmes posłał mi miażdżące spojrzenie.

– Herbaciarnia jest blisko? – zapytałem. – Może francuskie ciasto postawiłoby mnie na nogi.

– Watsonie, nie bądź takim filistrem. Stoisz przed jednym z najwspanialszych dzieł sztuki w zachodnim panteonie... – Urwał w pół zdania i wyciągnął zegarek kieszonkowy. – O, już czas! Jestem umówiony z kustoszem wystawy rzeźb na rozmowę o skradzionym posągu Nike. Zdaje się, że mają jakąś rzadką fotografię. Chodź, nie możemy się spóźnić.

– Co? Myślałem, że cię nie interesuje ten skradziony posąg.

– Robię przysługę mojemu bratu; nic więcej. I powoduje mną zwykła ciekawość.

Wątpiłem w to. Holmes zawsze działał celowo. Staralem się nie okazać niezadowolony.

– Ale kiedy zdążyłeś się umówić?

– Zatelegrafowałem z Dover, oczywiście – fuknął.

Typowo dla niego, Holmes ukrywał swoje zamiary nawet przede mną.

– Holmesie, nie chłonę więcej sztuki za jednym razem – powiedziałem nieco gniewnie. – Idę na filiżankę herbaty. Teraz.

Tak oto znalazłem się sam w galeriach, umówiony z Holmesem przy wejściu od ulicy Rivoli za trzy kwadransy. Upomniał mnie, żebym uważał i był widoczny dla innych.

Uznałem to ostrzeżenie za bezcelowe. Nikt nie mógł nas śledzić w Luwrze. Kto by wiedział, że tu jesteśmy, poza ekspertem, z którym Holmes miał teraz spotkanie? Zastanawiałem się, czy pozostałości kokainy i zbyt silna

stymulacja artystyczna nie działają za mocno na wyobraźnię mojego przyjaciela.

Próbowałem znaleźć drogę do herbaciarni, ale się zgubiłem i wędrowałem przez dobry kwadrans, coraz bardziej zmęczony i poirytowany. W końcu współczujący strażnik wskazał mi skrót do restauracji na dole drzwiami i schodami służbowymi.

Wyszedłem na ciemną klatkę schodową i zacząłem schodzić po spiralnych stopniach. Z perspektywy czasu oceniam to jako ryzykowne posunięcie. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak wysoce niebezpieczne jest nasze śledztwo.

Kiedy minąłem następny podest, drzwi na piętrze powyżej otworzyły się za mną z cichym szcęknięciem. Nie wierząc, że ktoś nas śledzi, zignorowałem to. Po chwili uświadomiłem sobie brak odgłosu kroków za sobą.

Czy ktoś wyszedł na klatkę schodową i stoi w drzwiach powyżej? Dziwne, pomyślałem, i zacząłem się odwracać, żeby spojrzeć w górę. Nagle zwała mnie z nóg jakaś wielka, ubrana na szaro postać w płaskim kapeluszu. Wymachiwała parasolem! Pokoziołkowałem w dół po marmurowych schodach niczym rzucona w złości dziecięca zabawka.

Uderzyłem z głuchym odgłosem w poręcz na następnym podeście i straciłem oddech. Poczulem ostry ból w żebrach i jęknąłem. Usłyszałem, jak drzwi na podeście powyżej się zamykają. A potem zemdlałem.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na jakiejś kanapie. Jak przez mgłę, zobaczyłem nad sobą twarz mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa. Jego mina wyrażała zaniepokojenie.



– Watsonie! Watsonie! – powiedział i poklepał moją rękę, żeby mnie pobudzić.

Odzyskałem ostrość widzenia. Za Holmesem stało dwóch strażników. Byliśmy w jakimś biurze. Zamrugalem kilka razy.

– Nic mi nie jest, Holmesie – zapewniłem z trudem. – To był niewielki upadek.

– Zepchnięto cię ze stromej kondygnacji schodów – odrzekł.

– No, tak.

– Ale nie widziałeś napastnika?

– To stało się za szybko – odparłem i spróbowałem usiąść. – Dostrzegłem tylko kapelusz. I parasol.

Holmes parsknął.

– Nie wierzyłem ci – przyznałem potulnie.

Holmes gwałtownie puścił moją rękę i odwrócił się do strażników.

– Zapytam jeszcze raz! Kto wychodził na klatkę schodową? – zwrócił się ostro do jednego z nich. Rozpoznałem w nim tego, który wskazał mi drogę na dół.

– Nikt – odrzekł defensywnie strażnik. – Ja iść. Ja nic nie widzieć.

– Nikt? – Holmes utkwiał w nim wzrok. – Idiota! – mruknął pod nosem i odwrócił się z powrotem do mnie. – Czujesz się na siłach chodzić, Watsonie? Musimy cię zaprowadzić do hotelu, a może i do lekarza.

Usiadłem szybko, dostałem mdłości i ostry ból przeszył mi nogi, zebra i potylicę. Ale zorientowałem się, że nie mam nic złamanego i jestem chyba tylko mocno posiniaczony.

– Nie potrzebuję lekarza – oznajmiłem – ale przydałaby mi się filiżanka herbaty. I może trochę odpoczynku przed wieczorem.

Holmes uśmiechnął się z ulgą.

– Zuch z ciebie, Watsonie – pochwalił.

## 5. *Les Oeufs*

Po krótkim odpoczynku w naszym hotelu głowa przestała mi dokuczać i pozostał tylko ból w żebrach. Przebraliśmy się w stroje wieczorowe, wstąpiliśmy na krótko na coś o nazwie *oeufs mayonnaise* i pojechaliśmy dorożką dalej w kierunku Montmartre'u. Cienka warstwa świeżego śniegu w złocistym blasku gazowych latarni nadawała Paryżowi tajemniczości.

– Oczywiście zaczynasz sobie uświadamiać, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się początkowo wydawała.

Po minie mojego przyjaciela poznałem, że wcale mu to nie przeszkadza.

– Jak myślisz, kto mnie zepchnął ze schodów?

– Ha! Bez wątplenia nasz „wymaglinowany” obserwator – odrzekł z uśmiechem.

– Tak, ale kto poza naszą klientką i tym ekspertem w Luwrze wiedział, że będziemy w Paryżu?

– Wiedza tamtych dwojga i na dodatek Mycrofta stwarza wiele możliwości – odparł Holmes ze zniecierpliwieniem. – Ale najprawdopodobniej ta osoba w mieszkaniu mademoiselle La Victoire, która nie była Bernice.

– Masz jakieś teorie?

– Cztery. Nie, pięć. Ale uważam, że mój główny podejrzany ujawni się dzisiejszej nocy.

Miałem świadomość, że nasza coraz niebezpieczniejsza sytuacja sprawia przyjemność mojemu przyjacielowi. W jego oczach płonęło podniecenie myśliwego.

Dotknąłem zimnego rewolweru w mojej kieszeni. Uspokajał mnie. Wbrew moim lepszym instynktom dreszcz emocji w obliczu przygody wzrastał we mnie jak niepożądana gorączka.

## 6. Czarny Kot

Nasza dorożka stopniowo opuszczała Wielkie Bulwary, gdy znów jechaliśmy coraz węższymi i bardziej stromymi uliczkami w kierunku Montmartre’u, kolebki barwnej bohemy i centrum artystycznego świata Paryża. Wałące się domy w otoczeniu gęstych drzew i winorośli tworzyły atmosferę jakiejś zwariowanej wioski.

Jeszcze stosunkowo niedawno ta okolica leżała na samym obrzeżu Paryża. Zastanawiałem się, czy wiatraki wciąż miały zboże.

Jeden na pewno tego nie robił. Le Moulin de la Galette był teraz jednym z najślawniejszych nocnych klubów na świecie, sceną szalonych wieczorów, gdzie paryżanie i przyjezdni z wielu krajów zbierali się, by posłuchać, jak piękne kobiety w przyciągających uwagę strojach śpiewają o miłości, rozpaczy i – używając ledwie ukrytych aluzji – bardziej intymnych sprawach.

Dziwni klauni dawali tam popisy obliczone na rozbrojenie i zaszokowanie publiczności, a rzędy zgrabnych tancerek wykonywały słynnego kankana, pokazując więcej, niż nakazywałaby przyzwoitość.

Ale nie traciłem nadziei.

Minęliśmy Moulin de la Galette i mój wzrok przyciągnęły kolorowe plakaty, które lśniły w zimnym wieczornym świetle i zwiastowały to wspaniałe przedstawienie. Zapowiadały wirujące spódnice, jaskrawe kolory i sznury elektrycznych świateł.

Z pewnością pod każdym względem byliśmy daleko od Londynu. Uśmiechnąłem się na myśl o Mary w domu i jej ewentualnym zdaniu na temat tego kolorowego otoczenia. Powiedziałyby, że zadowolili ją pocztówka.

Nasza dorożka zatrzymała się na Boulevard de Clichy przed numerem 68. Dumny szyld oznajmiał, że dotarliśmy do celu. Sam budynek wyglądał jak wiejski dom. Stał wciśnięty między dwa większe, przytulone do niego jak nadopiekuńczy krewni. Mieliśmy przed sobą słynny kabaret Le Chat Noir, Czarny Kot.

Wzięłem głęboki oddech i postanowiłem być czujny. Kiedy wysiedliśmy z dorożki, zerknąłem w obu kierunkach ulicy, ale nikt się nie wyróżniał w ruchomej ludzkiej masie.

W środku oddaliśmy nasze peleryny, kapelusze i laski blond kokietce, która mrugnęła do mnie z uśmiechem, po czym z niechęcią poczułem, jak wchodzący tłum porywa mnie w głąb wąskiego holu i w górę stromych schodów ozdobionych francuskimi karykaturami politycznymi. Choć przyznam, że nie podzielałam francuskiego poczucia humoru, uderzyły mnie gorzkie podteksty, ponure poglądy, pogarda i gniew zawarte w humorystycznych rysunkach.

Kontrast między zapraszającym uśmiechem hostessy a sarkastyczną krytyką polityczną był równie niepokojący, jak

skłonność niezwykle różnorodnego tłumu do pchania się.

A potem zobaczyłem główną salę.

Moje pierwsze wrażenie? Kompletny chaos – hałas, dym, paryżanie ze wszystkich klas społecznych ściśnięci niczym sardynki; ściany obwieszane obrazami, plakatami, ozdobnymi karniszami, latarniami, dziwacznymi rzeźbami. Jakieś ogromne wypchane stworzenie wodne zwisało z sufitu. Morświn? Gigantyczny sum? Nie byłem pewien.

Tłum kłębił się i śmiał. Hałas był dokuczliwy. Jeden róg zajmowało kilku gwardzistów szwajcarskich. Dowiedziałem się później, że Czarny Kot to rozrywkowa mekka tych osobliwych najemników w zadziwiających niebiesko-żółtych pasiastych renesansowych strojach z białymi kryzami. Głośny śmiech dobiegł od ich stołu.

Oczywiście słyszałem o Czarnym Kocie, ale nigdy sobie nie wyobrażałem, że odwiedzę to miejsce. Wydawało się domem wariatów.

Holmes i ja przepychaliśmy się przez gęsty tłum w kierunku dwóch wolnych miejsc. Jakiś brodaty opryszek w sztruksie wpadł nagle na mnie i ochlapał mi winem z kieliszka kamizelkę.

– Wypraszam sobie! – powiedziałem.

Mężczyzna stanął jak wryty i utkwiał we mnie przenikliwie ciemne oczy.

– *Anglais!* – Dosłownie wypluł to słowo i lepka ślina ledwo ominęła moje lśniące buty. – *Va te faire foutre, espèce de salaud!*  
*On ne veut pas de toi ici!*

Odwrócił się i zniknął w tłumie.

Rzuciłem Holmesowi pytające spojrzenie. Wziął mnie za ramię i skierował do naszych miejsc. Wytarłem wino chusteczką, czując, jak czerwienieję z powodu obrazy.

– Siadaj – polecił Holmes, gdy wcisnęliśmy się na dwa puste miejsca na końcu długiej ławy pod tylną ścianą. – Widzę, że pierwszy raz stykasz się z wrogością wobec Anglików, która się tu nasiliła w ciągu ostatnich lat.

– Chyba wciąż są na nas wściekli z powodu Azincourt – odrzekłem z poczuciem, że urażono moją godność.

– Nie rozumiesz Francuzów – powiedział.

– Nikt ich nie rozumie! – odparłem.

Holmes uśmiechnął się szeroko.

Ale istotnie koloryt tłumu i tego miejsca nie docierał do mnie. Rozglądając się wokół, wyczuwałem, że jesteśmy w epicentrum jakiegoś ruchu kulturalnego, ale nie pojmowałem jego rangi... ani znaczenia. Czuję się trochę jak wypchane stworzenie nad nami – odseparowany, wyobcowany i zupełnie nie na miejscu.

Moją uwagę przykuła ozdobna okrągła rama wokół dużego półprzezroczystego ekranu na ścianie za sceną. Holmes dostrzegł moje zdziwienie i wyjaśnił:

– To ekran słynnego *Théâtre d'Ombres*, Teatru Cieni. Co noc są tam pokazywane cienie lalek, postaci wycięte z cynku. To całkiem zabawne. Bardzo teraz popularne.

– Więc już to widziałeś? – zapytałem.

– Kilka razy. Ale... Aha! Jest i bohater dnia.



Wskazał głową wysokiego przystojnego wąsatego gościa w dobrze skrojonym garniturze w europejskim stylu, który sunął bez trudu przez tłum. Jego elegancki strój i typ urody sugerowały, że to Francuz.

– Właśnie jego się spodziewałem – powiedział Holmes.

Dżentelmen spojrzał w naszą stronę i Holmes skinął głową na powitanie. Wydało mi się, że wyraz niezadowolenia przemknął po twarzy mężczyzny, ale zaraz uśmiechnął się czarująco. Skłonił się drwiąco w naszym kierunku i usiadł.

– Stary znajomy? – spytałem.

– Poniekąd – odrzekł Holmes. – Nie znasz go przypadkiem?

Przyjrzałem się mężczyźnie, ale nie rozpoznałem go.

– Kto to jest?

Zanim Holmes zdążył odpowiedzieć, kelnerka postawiła przed nami dwie karafki wody i dwa kieliszki z małą ilością dziwnego zielonego płynu. Rodzaj perforowanego noża leżał na każdym z nich, a na nim kostka cukru.

Holmes zapłacił, odwrócił się do mnie z uśmiechem i pokazał, żebym polał cukier wodą.

– Później o tym porozmawiamy. Na razie spróbuj tego; ma wyjątkowy smak. Ale wypij tylko jeden łyk, Watsonie. Musisz dziś być trzeźwy.

Absynt! Czy on oszalał? Patrzyłem, jak dodaje wody, miesza i płyn nabiera upiornego blasku. Wyglądało to jak coś wypływającego spod morza w jakiejś powieści Juliusza Verne'a. Oczywiście czytałem o tym trunku. Słynna mikstura była silnie uspokajająca i znana z halucynogennego działania.

– Nie, dziękuję, Holmesie.

Odsunąłem swój kieliszek.

Wypił łyżeczek i zrobił to samo.

– Mądra decyzja – pochwalił. – Spędziłem kiedyś popołudnie w pewnym pobliskim zakładzie, żeby pozbyć się wywołanych przez absynt snów na jawie. – Wzruszył ramionami. – Warto raz spróbować, w imię nauki oczywiście.

Ponownie skupiłem uwagę na „starym znajomym” Holmesa. Siedział blisko drzwi, zatopiony w rozmowie z jakąś młodą parą. Dziewczyna patrzyła na niego ze szczerym podziwem. Po jej zachwyconej minie i jego gestach poznałem, że ma on ten bardzo szczególny galijski urok osobisty, który łatwo dostrzec i nie sposób naśladować. Dlaczego on interesuje Holmesa?

Zauważyłem z boku inną grupkę, która również obserwowała Francuza. Składała się z czterech mężczyzn, trzech bardzo wysokich i muskularnych i jednego drobniejszego, niemal delikatnego. Sprawiali dziwne wrażenie. Oprócz tego, że cali byli ubrani na czarno, niemal jak klerycy, wyglądali groźnie. Podczas gdy tłum wokół nich śmiał się i gestykułował, oni siedzieli nienaturalnie nieruchomo przy nietkniętych napojach. Najdrobniejszy z nich, którego zachowanie dawało subtelnie do zrozumienia, że jest przywódcą pozostałych, przypominał mi kota przycajonego przy mysiej dziurze.

Zacząłem ich pokazywać Holmesowi, ale wstał, wziął nasze trunki i poszedł przez salę w kierunku baru. Zauważyłem, że Francuz przygląda się bacznie Holmesowi, nie przerywając rozmowy. Tamci czterej dostrzegli to i też skierowali wzrok na

Holmesa. Nie spodobała mi się mina drobnego. Wskazywała, że go rozpoznaje i jeszcze coś. Mimo gorąca w zatłoczonej sali przeszedł mnie zimny dreszcz.

Holmes wrócił z karafką czerwonego wina i dwoma czystymi kieliszkami.

– Holmesie – zacząłem – tam jest czterech mężczyzn, którzy wydają się bardzo zainteresowani twoją obecnością tutaj.

– Tak, zauważyłem. To Amerykanie.

Nie powinienem być zaskoczony, ale byłem.

– Mówisz o dziwnie ubranych dżentelmenach w czerni? – zapytał z uśmiechem. – Nie wyglądają na uczestników wielkiego objazdu po Europie. Bardziej interesuje ich nasz francuski przyjaciel niż ja.

– Ale wydają się rozpoznawać ciebie – zauważyłem. – A przynajmniej ten drobny.

– To niedobrze – odparł Holmes. – Może to lekko zmienić nasze plany. – Zastanowił się. – Jeśli będą jakieś kłopoty lub jeśli ci to zasygnalizuję, odprowadź naszą klientkę w jakieś bezpieczne miejsce, ale nie do jej domu. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście, że cię rozumiem – odrzekłem z rozdrażnieniem.

– Ale czego się spodziewasz, co się może stać?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zagłuszyła nas głośna muzyka małej orkiestry.

Rozległ się pomruk niecierpliwego wyczekiwania, gdy nasza klientka weszła na scenę.

Część III  
LINIE SĄ NARYSOWANE

*Sztuka, tak jak moralność, składa się z rysowania gdzieś linii.*

G.K. Chesterton

## 7. Atak!

O ile tego popołudnia była piękna, to teraz przeistoczyła się w boginię! Ubrana cała na czerwono, mademoiselle La Victoire absolutnie błyszczała jako Cherie Cerise. Płomiennorude loki miała luźno upięte w modny tutaj kok na czubku głowy, jej wspaniałe blade łono obiecywało gorące serce. Szła przez scenę, jakby unosiła się w powietrzu, jej szelmowski uśmiech pobudzał wyobraźnię. Wszystkie oznaki jej tragicznego położenia skrywało obecne wcielenie wytrawnej artystki.

– Nie gap się tak, Watsonie – szepnął Holmes.

Być może to robiłem, ale wszyscy inni też. Poza nim.

– Cherie! – krzyknęła chórem widownia.

Nasza klientka, mademoiselle Emmeline La Victoire, była niekwestionowaną gwiazdą.

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że spodziewałem się sprośnego przedstawienia w stylu musicalu z na wpół wykrzykiwanymi piosenkami i szeleszczącymi spódnicami. Ale kiedy zagrała muzyka i ona zaczęła śpiewać, głos tego cudownego stworzenia okazał się anielski, wysoki i czysty. Wyrażał słodką melancholię, która chwytала za serce.

Siedziałem jak urzeczony prawie przez godzinę.

Gdy skończyła piosenkę o rzadkim egzotycznym ptaku, który przeleciał wiele kilometrów, aby być ze swoją ukochaną (lub może był to pies, nie jestem pewien), odwróciłem się do mojego przyjaciela i zobaczyłem, że miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Holmesa, zajmuje teraz gburowato wyglądający wieśniak z czerwonym od alkoholu nosem.

Gdzie on się podział, do diabła? Zlustrowałem wzrokiem salę i zauważyłem, że wskazanego przez niego wcześniej Francuza też nie ma, podobnie jak odzianych na czarno mężczyzn. Zaniepokoiłem się i wstałem. Ani śladu Holmesa. Niech szlag trafi tę jego tajemniczość!

Nagle zza kulis dobiegły krzyki, a po nich głośny trzask. Nasza klientka zamarła, muzyka ucichła. Potem wszystko stało się tak szybko, że ledwo to pamiętam.

Małe lalki na podświetlonym z tyłu ekranie teatru cieni przesłoniły zniekształcone sylwetki dwóch walczących mężczyzn. Zmagające się ze sobą postaci wpadły na naoliwione płótno.

Strumień jakiegoś ciemnego płynu trysnął szerokim łukiem na materiał. Tłum zrobił gwałtowny wdech.

Rozległ się odgłos darcia i nóż przeciął tkaninę. Rozpruty ekran odchylił się do przodu i odsłonił rozbryzg krwi!

Przepychałem się przez tłum w kierunku mademoiselle La Victoire, gdy jakiś mężczyzna wypadł przez rozdarcie i wylądował na scenie u jej stóp. Fontanna krwi z jego piersi strzelała wysoko w powietrze. Mademoiselle krzyknęła.

Tłum zerwał się i zaczął przepychać do wyjścia. Ruchoma masa ludzka zasłoniła mi naszą klientkę. Używając całej siły, torowałem sobie drogę pod prąd ku scenie.

Dotarłem do inspicjenta na podłodze i natychmiast się zorientowałem, że rana jest śmiertelna. Podniosłem wzrok. Mademoiselle La Victoire zniknęła. Zostawiłem umierającego człowieka w ramionach kolegi i wbiegłem za kulisy.

Chaos! W mrocznym pomieszczeniu, gdzie snop białego światła celował w tył ekranu, walczące postaci wpadły na duże drewniane ramy na kołach.

Reflektor oślepił. Przesłoniłem oczy.

– Mademoiselle! – zawołałem.

Usłyszałem tylko krzyki mężczyzn. Uchyliłem się, gdy lampa z łatwopalnym płynem uderzyła w podłogę obok mnie. Nastąpiła mała eksplozja. Ciemność zapadła i ogień zapłonął nieopodal moich stóp. Krzyków przybyło, kiedy kilku inspicjentów rzuciło się, by go ugasić.

– Jean! – rozległ się głos mademoiselle La Victoire.

Szerokie wejście dla aktorów otworzyło się gwałtownie na dziedziniec, który słabo oświetlała pojedyncza latarnia uliczna. Walka przeniosła się na dwór. Czarny lód lśnił na bruku. Zmagający się ze sobą mężczyźni poślizgnęli się i przewrócili na śliską nawierzchnię z okrzykami bólu.

Rozpoznałem tajemniczego Francuza, znajomego Holmesa, i dwóch z czterech odzianych na czarno mężczyzn, których wcześniej obserwowałem. Wyciągnąłem rewolwer i ruszyłem za nimi.

Mademoiselle La Victoire wybiegła z pomieszczenia za kulisami w krąg światła. Zamachnęła się wielkim wazonem i zdzieliła nim jednego z mężczyzn w czerni. Wazon odbił się od jego ramienia. Mężczyzna stęknął, obrócił się szybko i złapał ją za nadgarstek. Wrzasnęła.

Zbir z łysą, lśniąca w świetle latarni głową wycelował nóż pod jej żebra i pociągnął ją ku ścianie sąsiedniego budynku. Wysoki Francuz nadal walczył z drugim.

– Suka! – warknął łysy bandzior i przystawił nóż do jej twarzy. – Potnę cię za to.

Amerykanin? Wycelowałem, ale nie mogłem oddać czystego strzału. Schowałem broń i rzuciłem się naprzód w momencie, gdy Francuz powalił rudego napastnika i zrobił to samo. Obaj natarliśmy na człowieka z nożem i jakbyśmy się umówili, Francuz wykopał mu broń z ręki, a ja zadałem cios prosto w nerki. Łysy mężczyzna w czerni upadł na ziemię, jego nóż poszybował w ciemność.

Dwóch unieszkodliwionych. Ale przy stole siedziało czterech.

– Jean! – zawołała mademoiselle La Victoire i padła w ramiona Francuza.

– *Allez-y!* – krzyknął i odepchnął ją. – Uciekaj!

Zawahała się. W tym momencie jej łysy prześladowca powstał z ziemi niczym Łazarz i błyskawicznie popchnął mnie na ścianę. Zaczęliśmy walczyć, drugi zaatakował Francuza z nową energią.

Wszyscy czterej poślizgnęliśmy się i przewróciliśmy na lód jak pijani.



Rewolwer wypadł mi z kieszeni i zniknął w ciemności.

Kiedy walczyłem z napastnikiem, trzeci mężczyzna złapał mademoiselle La Victoire i wymierzył jej mocny policzek.

Wściekły, usiłowałem się oswobodzić, ale mój przeciwnik wykorzystał moment mojej nieuwagi. Poczulem, jak mnie dusi od tyłu, i z trudem wciągnąłem powietrze.

Czwarty mężczyzna w czerni, tamten drobny, którego uznałem za przywódcę, pojawił się w świetle. Nasze szanse zmalowały. Podbiegł do mnie i walnął mnie mocno w brzuch. Kolana ugięły się pode mną.

Wyciągnął długi sztylet, który zaśnił w bladym świetle jak zabójczy sopol. Duszący mnie mężczyzna zmienił chwyt, złapał mnie za włosy i pociągnął moją głowę do tyłu. Drobny uniósł wolno sztylet do mojego gardła i zaczął przesuwać płazem ostrza po skórze.

Ale Francuz zwyciężył i nagle Szczur został odrzucony na bok!

Wykorzystałem to, szarpnąłem się i pozbawiłem duszącego mnie mężczyznę równowagi. Kątem oka dostrzegłem, że Francuz walczy, ale nie mogłem się uwolnić od mojego przeciwnika, a on przydusił mnie mocniej. Opadłem na kolana, bliski omdlenia.

Mieli przewagę.

Szczur się pozbierał i zaatakował. Ale rozległ się ostry trzask uderzenia czymś twardym w kość i mężczyzna przekoziółkował przede mną z wrzaskiem wściekłości. Wykonał salto niczym

cyrkowy akrobata, zerwał się na nogi i odwrócił twarzą do nowego napastnika.

Na tle światła latarni ulicznej wysoka postać w pelerynie wymachiwała laską. Sherlock Holmes!

Nasze szanse wzrosły.

Wbiłem łokieć w brzuch mojego przeciwnika. Rozluźnił chwyt i zatoczył się do tyłu. Wykonałem obrót, zwarliśmy się, poślizgnęliśmy i wylądowaliśmy na ziemi.

Okrzyk Holmesa przebił się przez odgłosy walki:

– Rewolwer, Watsonie!

– Zgubiłem! – odkrzyknąłem. – Gdzie się, u diabła, podziewałeś?

Zauważyłem, że Szczur stawia czoło Francuzowi, a dwóch pozostałych zbliża się do mademoiselle La Victoire.

– Byłem zajęty! – krzyknął Holmes i pobiegł jej na pomoc.

Kątem oka dostrzegłem, jak okłada laską dwóch napastników, trzymając ją oburącz niczym wyszkolony w walce na kije fechmistrz, którym zresztą był. Obracał ją nad głową i zadawał atakującym go mężczyznom szybkie ciosy.

Mój przeciwnik wskoczył na mnie i gdy się zmagaliśmy, usłyszałem, jak laska Holmesa trafia napastników wśród ich wrzasków.

Wyrznąłem walczącego ze mną zbira potężnym hakiem i upadł. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Holmes potrzebuje pomocy. Ale powalił jednego mężczyznę i kiedy mademoiselle La Victoire schowała się za nim, zgrabnie posłał na ziemię drugiego ciosem w nogi.

Chwycił kobietę za rękę i pociągnął ją w ciemność.

Dokąd?

Szczur, który nacierał na Francuza po drugiej stronie małego dziedzińca, też to zobaczył. Ale nie ruszył w pościg. Zaklął, odwrócił się i sieknął mojego wysokiego sprzymierzeńca. Francuz upadł z krzykiem i Szczur wskoczył na niego.

Bez namysłu rzuciłem się w ich kierunku i przez chwilę wszyscy trzej toczyliśmy się po oblodzonym bruku jak marmurowe kulki. Zdołałem walnąć mocno Szczura w obojczyk i wrzasnął, ale odtoczył się na bok i poderwał z ziemi.

Francuz leżał nieruchomo. Zostałem sam!

Szczur zerknął szybko na mojego sprzymierzeńca. Trup? Warknął krótki rozkaz i jego trzej kompani – dwaj powaleni przez Holmesa i trzeci, który pomagał im wstać – spojrzeli w górę i zamarli. Potem wszyscy czterej zniknęli w ciemności.

Czekałem na następny atak. Cisza.

Z ziemi dobiegło westchnienie.

– Ech – odezwał się Francuz. – *Enfin, c'est fini!*

Podniósł się z zaledwie lekkim skrzywieniem i otrzepał swój elegancki garnitur.

Dyszałem ciężko, wyczerpany. Co się, u diabła, właśnie wydarzyło?

Dotknąłem mojej szyi. Wciąż krwawiła. Wyjąłem chusteczkę i przycisnąłem ją do skaleczenia. Spojrzałem na Francuza. Na jego twarzy malował się teraz wyraz bólu i trzymał się za ramię.

– Jak pan się czuje? – zapytałem. – Jestem lekarzem.

Posłał mi spojrzenie, którego nie zrozumiałem. Pełne winy? Zakłopotania? Po czym uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odparł, wyprostował się i otrząsnął z bólu, jakby zrzucał z siebie kroplę potu w letni dzień. Po raz pierwszy zauważyłem jego wzrost i wagę. Był co najmniej pięć centymetrów wyższy i dwadzieścia kilogramów cięższy od Holmesa; nietypowo na Francuza. Czy to rzeczywiście Francuz? Zerknął wokół, podniósł niedbale swój cylinder, który mu spadł podczas walki, i włożył go zawadiacko.

Przestałem mieć wątpliwości; zdecydowanie Francuz.

– Jean Vidocq – przedstawił się. – A pan musi być doktorem Watsonem.

– Skąd pan zna moje nazwisko?

– Dobrze pan walczył, doktorze – odrzekł, wciąż się uśmiechając. – Nie ucierpiał pan zbyt wiele?

Jego słowa brzmiały przyjaźnie, ale były podszyte drwiną.

– Nie – odparłem sztywno. – Dziękuję.

Rozejrzałem się dookoła. Ani śladu mademoiselle La Victoire i Holmesa.

Francuz też to zauważył.

– *Merde!* – zaklął. – Dokąd Holmes ją zabrał?

– Skąd pan nas zna?

W tym momencie Holmes wkroczył w światło. Był sam i niósł moją pelerynę i kapelusz.

– Dobra robota, Watsonie – pochwalił i wręczył mi moje rzeczy. – Twoja szyja!

– Nic mi nie jest – zapewniłem i odjąłem chusteczkę od gardła. Rana jeszcze krwawiła, ale tylko trochę. Przycisnąłem ją mocniej.

– Będzie...? – zapytał z troską.

– Będzie dobrze. To tylko draśnięcie. Będę ją uciskał.

Ulżyło mu.

– Miałeś szczęście.

Gdy zacząłem oddychać wolniej, poczułem zimno. Byłem wyczerpany i dezorientowany. Holmes i Francuz znali się, ale nie wiedziałem nic ponadto. Wziąłem od Holmesa pelerynę i kapelusz, włożyłem je i wyciągnąłem rękawiczki z kieszeni.

– Co zrobiłeś z Cherie? – zapytał ostro Francuz.

– O tej porze nie tak łatwo jest złapać dorożkę – odrzekł z uśmiechem Holmes. – Mademoiselle La Victoire jest teraz w drodze w bezpieczne miejsce.

– Wyszedłeś, żeby zatrzymać dorożkę? – spytałem.

– W jakie bezpieczne miejsce? – naciskał Vidocq.

– Do zaufanego przyjaciela – odparł Holmes, przyglądając się uważnie naszemu towarzyszowi walki. – O, widzę, że coś ci się stało w ramię, Vidocq. Nie spodziewałeś się takich umiejętności po tamtym małym człowieczku ze sztyletem, prawda? To najwyraźniej zawodowiec.

– Genialna dedukcja – zadrwił Francuz.

– Na szczęście byliśmy tutaj – odpowiedział niewzruszenie Holmes i wziął mnie za ramię. – Teraz my zaopiekujemy się panią. – Uśmiechnął się do Vidocqa. – Możesz się zająć

ważniejszymi dla ciebie sprawami. Niech ktoś obejrzy twoje ramię.

Kiedy się odwróciliśmy, żeby odejść, usłyszałem pełne niesmaku parsknięcie.

– Znam wszystkich jej przyjaciół! – zawołał mężczyzna nazwiskiem Jean Vidocq.

– To bardzo niedobrze – mruknął Holmes, gdy się oddalaliśmy.

## 8. Śliskie zbocze

Holmes pociągnął mnie ze sobą oblodzonymi ulicami. Pagórkowaty teren i śliski bruk utrudniały wędrówkę, a otrzymane ciosy dawały mi się we znaki. Robiłem, co mogłem, żeby nadążyć za moim długonogim towarzyszem. Dokąd właściwie idziemy?

Przystanął na skrzyżowaniu z ulicą Lepic. Wykorzystałem to.

– Ledwo dyszę. Wyjaśnij mi, co się dzieje.

– Nie teraz, Watsonie, musimy zdążyć przed Vidocqiem.

– Gdzie zdążyć? Kim jest ten człowiek i skąd go znasz?

– Jest detektywem i podaje się za prawnuka słynnego Eugène’a Vidocq’a, który przed stu laty założył Sûreté. Chodźmy.

– A, teraz sobie przypominam! Był pierwowzorem Jeana Valjeana w *Nędznikach*.

– Tak, lekcja literatury jest właśnie tym, czego nam potrzeba – warknął Holmes i ruszył pod górę.

– Ale było w nim coś dziwnego, nieprawdaż?

Zatchnąłem się, z trudem podążając za nim.

– Niegdyś Jean Vidocq był przestępcą i jednocześnie stróżem prawa. Był fałszerzem i mordercą i dograł się. Szybciej! Po ślubie stałeś się słaby.

– Ale ten dzisiejszy Jean Vidocq jest jego krewnym?

– Nie. W archiwach nie figurują żadni potomkowie. Możesz przyspieszyć, czy mam cię zostawić jak konającego na krze lodowej Eskimosa?

Wdrapywaliśmy się na wzgórze. Wokół nas walące się budynki wszelkiej wielkości przechylały się niczym podtrzymujący jeden drugiego pijak w drodze powrotnej z knajpy. Drzewa owocowe i ogródki warzywne były wciśnięte między domy, a na prawo od nas cmentarz rzucał upiorne cienie. Ulice stawały się coraz bardziej strome i niebezpieczne, nasze oddechy zamieniały się w obłoczki pary.

– Skąd znasz tego człowieka? – wysapałem.

– W zeszłym roku pracowaliśmy w Nicei nad pewną sprawą. Jest odpowiednio inteligentny, ale nie można mu ufać.

– Ma pewien styl – zauważyłem.

– Genialnie, Watsonie. Jest również wyjątkowo zazdrosny o mnie. Przyspiesz, proszę.

Na ulicy Lepic odwrócił się i zaczął wspinać na następne wzgórze. Złapałem go za rękaw, żeby zwolnił, obaj się poślizgnęliśmy na oblodzonej ulicy i omal nie upadliśmy na ziemię. To musiało być zmęczenie, ale nagle się roześmiałem.

– Do kroćset, Watsonie! – krzyknął Holmes.

– Nie nadążam! – oświadczyłem i zatrzymałem się. – Zaczekaj! Teraz pamiętam... Ten Vidocq... Czytałem... Czy to nie on dostał zadanie odzyskania tamtego skradzionego w Marsylii posągu Nike? Tego, o którym mi mówiłeś?

– Tak, tak. To jest we wszystkich gazetach.

– Ale jaki on ma związek z naszą klientką?



– Oto pytanie dnia. Jak szyja?

Usunąłem chusteczkę.

– Przestała krwawić.

– Chodźmy!

Ruszyliśmy pod górę, powietrze było tak zimne, że płuca mnie paliły. Obraz sytuacji stał się jaśniejszy.

– W Marsylii zabito czterech ludzi – powiedziałem. – Zadźgano sztyletem, jak mi się zdaje. Dziś tamten drobny mężczyzna o szczurzej twarzy...

– Błyszczysz, Watsonie. Tak, tak, oczywiście, że to ten sam człowiek.

– Ale zostałeś wezwany, jak mówiłeś, do sprawy tamtej Nike...

– Tak, i odmówiłem.

Holmes się odwrócił, żeby odejść.

– A jednak zajmujesz się tamtą sprawą. Bo wydaje mi się...

– Powiedziałem ci, że nie.

Lecz przecież Holmes umówił się w Luwrze ze znawcą Nike. Jego tajemniczość wywołała u mnie frustrację i przystanąłem.

– Jeśli chcesz, żebym z tobą współpracował, musisz mi wyjaśnić, co się dzieje! – krzyknąłem.

Mój głos odbił się echem na pustych ulicach.

Jakieś okno nad nami się otworzyło i Bóg wie co z kubła na pomyje wylądowało obok nas. Uchyliliśmy się odruchowo.

– *Fermez les gueules!* – wrzasnął ktoś z góry i zatrzęsnało okno.

Teraz z kolei Holmes się roześmiał. Chwycił mnie za ramię i zaczął ciągnąć pod górę. Rozpędziliśmy się.

– W porządku. Możliwe, że te sprawy się łączą – przyznał.

– Dobrze – wysapałem – ale powiedziałaś, że panna La Victoire jedzie w bezpieczne miejsce. Nie moglibyśmy kontynuować tego rano?

– Nie.

– Dlaczego? Puść moje ramię.

– Muszę porozmawiać z mademoiselle La Victoire dzisiejszej nocy. Vidocq może się tam wkrótce zjawić i będzie się wtrącał.

– Ten człowiek uratował mi życie, Holmesie. Nie może być całkiem zły.

Holmes westchnął.

– Dobrze znam Vidocq'a. Niczego nie pragnie bardziej niż naszego powrotu do Londynu. Uważa, że mogę przejąć jego sprawę.

– A może ty się niepokoisz, że on może przejąć twoją? – zapytałem i oswobodziłem się. – Idź przodem. Jaki to adres?

– Na rogu w prawo i jeszcze dwie przecznice. Ulica Caulaincourt 21.

– Spotkamy się tam.

– W porządku – odrzekł z uśmiechem. – A, i, Watsonie, mój drogi kolego, to Vidocq zepchnął cię ze schodów w Luwrze. Może chciałbyś zamienić z nim słowo?

Holmes znał mnie aż za dobrze. Ruszyłem biegiem.

## 9. *L'Artiste en Danger*

Chwilę później dotarliśmy do luksusowego budynku z pięknym łukowym portykiem i ozdobnymi kratami na rogu eleganckich ulic Tourlaque i Caulaincourt. Kiedy w przedpokoju apartamentu na czwartym piętrze służąca brała nasze płaszcze i kapelusze, zauważyłem na wieszakach aksamitne okrycie mademoiselle La Victoire oraz cylinder i pelerynę Vidocq'a. Rywal Holmesa przybył przed nami. Wrzała we mnie żądza policzenia się z nim. Ale oczywiście śledztwo było ważniejsze.

Wprowadzono nas do głównego salonu i zostawiono samych. W jasno oświetlonym pokoju otaczały nas najdziwniejsze osobliwości, jakie można sobie wyobrazić – istne cuda: kostiumy, trapez, namalowane tła, wanna, japońskie ryciny, światła teatralne, nargile... i wepchnięta w kąt sztaluga, płótna i farby. Alicja w króliczej norze nie mogłaby się czuć bardziej nie na miejscu niż ja w tamtym momencie.

W pokoju nie było nikogo i ogień buzował w dużym kominku z boku. Staliśmy i czekaliśmy, aż ktoś się zjawi.

– Mademoiselle?! – zawołał przeszywającym głosem Holmes.

Zamiast niej karłowaty mężczyzna w chińskiej jedwabnej piżamie i kapeluszu wszedł niepewnie do pokoju. Był potwornie brzydki i jednocześnie fascynujący. Miał grube

wargi, wielkie ciemne oczy i binokle na nosie. Mimo że mocno nietrzeźwy, emanował pewną subtelną godnością.

– Witajcie, przyjaciele! *Bienvenue!* – zawołał po angielsku z silnym francuskim akcentem. – Oczekiwaliśmy pana, monsieur Holmes!

Holmes podszedł do niego i pochylił się, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Monsieur Toulouse-Lautrec – powiedział. – *Bonsoir*. Muszę pomówić z mademoiselle.

Toż to ten światowej sławy malarz we własnej osobie!

Niski mężczyzna sięgnął w górę i z zapalem potrząsnął ręką Holmesa.

– Niebawem, niebawem. Jest w kąpielni. Czytałem o waszych dokonaniach, monsieur Holmes i doktorze Watson! Jestem wielkim anglofilem!

– To pilne, monsieur Lautrec – zaznaczył Holmes.

Ale Lautrec odwrócił się do mnie i teraz energicznie potrząsał moją dłoń. Przestał i pogładził mój rękaw.

– Ach, to wspaniałe angielskie krawiectwo – wymamrotał i mrugnął. – Jak widzicie, mój angielski jest doskonały! Lub prawie.

Dał nura, objął nas i francuskim zwyczajem ucałował w oba policzki. Woń alkoholu biła z każdego pora.

– Monsieur, co z panią? – zapytał Holmes.

Zaryzykowałem:

– I czy monsieur Vidocq jest dostępny?

– Najpierw musicie się pokrzepić – odrzekł Lautrec i strzelił palcami na pokojówkę, która natychmiast się zjawiała. – Marie! *Tremblements de terre pour tout le monde!* – zarządził i uśmiechnął się do nas. – Trzęsienie ziemi, ona jest mój przepis na trunek. Absynt i koniak. Zasmakujcie wam. Ziemia, ruch.

Mrugnął do Holmesa i dodał:

– Musimy poczekać. Pani kończy kąpiel. Zawsze po występie.

Zawsze? Skąd on wie? Jakby w odpowiedzi, odwrócił się do mnie.

– Mademoiselle pozuje mi. Kąpiel. Kabaret.

– A Vidocq? – podsunąłem.

Lautrec wzruszył ramionami.

– Plecy, może pomaga myć?

Mrugnął do mnie i odwrócił się do Holmesa, który nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Ach, monsieur jest zazdrosny – zauważył.

Holmes parsknął.

– Oczywiście, że nie! To moja klientka. Muszę z nią porozmawiać, to wszystko.

Niski mężczyzna podszedł bliżej i popatrzył w górę na mojego przyjaciela z tym właściwym artyście zainteresowaniem, podobnie jak robił to Holmes. Wzruszył ramionami ze współczuciem i uśmiechnął się.

– Wszyscy kochają mademoiselle Cherie. – Spojrzał zmrużonymi oczami na Holmesa. – Ale siadajcie. Ona przyjdzie.

Wdzięczny za możliwość odpoczynku, usiadłem na czerwonej aksamitnej kanapie zarzuconej jedwabnymi poduszkami.

Postanowiłem załatwić moją sprawę z Vidocqiem w odpowiednim czasie.

Holmes zbliżył się do ognia i zatarł szybko ręce. Był niespokojny i starał się to ukryć. Osobiste zainteresowanie klientką, nawet tak piękną jak ta, byłoby u niego niezwykle. Ale przy całym swoim chłodnym rozumowaniu potrafił być bardzo uczuciowy. W migotliwym blasku ognia widziałem wywołaną napięciem i zmęczeniem bladość jego oblicza.

– Usiądź, Holmesie – poprosiłem.

Zignorował mnie.

Lautrec nadal mu się przyglądał.

– Kości policzkowe bardzo mocne, a oczy... coś w nich jest. Pan, monsieur Holmes, musi usiąść do portretu – stwierdził.

Holmes się nie odezwał, dalej patrzył na płomienie.

– Pan jest udręczonym człowiekiem; uchwycę to! – powiedział Lautrec, wpatrując się intensywnie w Holmesa. – Tak. Kim są pańskie duchy?

Wyrwany nagle z zamyślenia Holmes podniósł wzrok.

– Nie wierzę w duchy!

Służąca wniosła koktajle, za nią wszedł wysoki ponury mężczyzna w konserwatywnym stroju. Przedstawił się nam jako doktor Henri Bourges, przyjaciel Lautreca. Holmes odmówił poczęstunku, niemal niegrzecznie skinął głową Bourges'owi i wrócił do kontemplacji. Ale ja rozpoznałem to nazwisko. Henri Bourges był młodym obiecującym medykiem, którego niedawna publikacja na temat dyfterytu wywarła na mnie wielkie wrażenie. Co on robi w tym domu wariatów?

Natychmiast stało się to jasne.

Mężczyzna odwrócił się do Lautreca, który już wypił połowę swojego trunku dwoma dużymi łykami.

– *Mon vieux* – zaczął, wyjął mu delikatnie szklanę z ręki i zastąpił ją szkicownikiem i ołówkiem – nie wolno ci stracić okazji do narysowania naszych honorowych gości.

Zaprowadził Lautreca do innej kanapy i posadził go tam. Szybkim ruchem wylał ukradkiem resztę alkoholu malarza do doniczki z jakąś rośliną.

Holmes się zdenerwował i zaczął spacerować przed kominkiem. Podszedłem do niego i wziąłem go za ramię.

– Holmesie, usiądź, proszę! – szepnąłem.

Pokręcił gwałtownie głową, odszedł i podjął spacer przy oknie.

– Doktor Watson? To przyjemność, spotkać innego medyka. Mogę poprosić na słowo? – zagadnął przez pokój Henri Bourges.

Zostawiłem Holmesa i dołączyłem do niego.

Wymieniliśmy uprzejmości i pochwaliłem jego publikację. Podczas przerwy w rozmowie spojrzeliśmy na Holmesa i Lautreca. Holmes w końcu usiadł z zaciśniętymi zębami, ale nadal był w ruchu, bo kolano mu podskakiwało jak w tańcu świętego Wita. Czuję się jednocześnie zaniepokojony i zażenowany. Miałem nadzieję, że mademoiselle La Victoire wkrótce przyjdzie.

Doktor Bourges też patrzył na Holmesa.

– Mieszka pan tutaj? – zapytałem, żeby odwrócić jego uwagę od niego.

Bourges przytaknął.

– Czasami. Henri i ja przyjaźnimy się od dziecka. On jest wielkim malarzem. Ma talent, który płonie zbyt jasno. Powstrzymywanie go od ekscesów uważam za moją misję.

Uśmiechnęliśmy się ze wzajemnym zrozumieniem.

– Rozpoznałem ten temperament – powiedziałem.

– Widzę – odrzekł, przyglądając się Holmesowi. – Kokaina?

Zawahałem się, ale nie można oszukać medyka. Przytaknąłem.

– I praca.

– Oczywiście. Oni cierpią bez pracy – odparł Bourges.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu.

Mademoiselle La Victoire wkroczyła do pokoju. Była odświeżona i wyglądała oszałamiająco w zielonej jak las i wyszywanej opalizującymi paciorkami greckiej sukni, która podkreślała jej karnację i piękną figurę.

Vidocq wszedł za nią. Krew we mnie zawrzała na jego widok.

Holmes wstał, żeby ją powitać.

– Mademoiselle – rzucił sztywno.

– Dziękuję za pomoc dzisiejszej nocy, panie Holmes – odrzekła i nie bacząc na jego skrępowanie, ucałowała go w policzki.

Zarumienił się.

– Panu i doktorowi Watsonowi.

Posłała mi całusa.

Vidocq uśmiechnął się na to szeroko. Zauważyłem, że on też jest odświeżony, wytworny w swoim szytym na miarę



wieczorowym stroju, i niezle się trzyma po naszej zażartej walce. Owszem, uratował mi życie, ale ja jemu też. I zepchnął mnie ze schodów. Podszedłem prosto do niego.

– Nie jesteś pan dżentelmenem – oświadczyłem. – Masz pan mi coś do powiedzenia?

Roześmiał się i zerknął na Holmesa.

– Zostałem zdemaskowany. Pański przyjaciel – zwrócił się do mnie – może panu powiedzieć, że rzadko bywam dżentelmenem. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale czasami bywam sprzymierzeńcem.

– Ostatnia szansa – uprzedziłem. Żadnej reakcji. – Proszę mi wybaczyć, mademoiselle – zwróciłem się do naszej klientki – ale on nie zostawia mi wyboru.

Nie wahałem się dłużej. Odwróciłem się do Vidocq'a i walnąłem go mocnym prawym w szczękę. Runął jak kamień.

– *Mon Dieu!* – krzyknęła dama.

Vidocq patrzył na mnie z podłogi i masował podbródek.

– *Alors* – powiedział.

– To było za Luwr – oznajmiłem, potrząsając dłonią.

– A co się stało w Luwrze? – zapytała mademoiselle La Victoire.

Nikt jej nie odpowiedział. Holmes uśmiechnął się do Vidocq'a, który wzruszył ramionami i uśmiechnął się do nas szeroko z nonszalanckim wdziękiem.

– Drobnny konflikt – wyjaśnił. – Miałem nadzieję – zwrócił się do mnie – że pana odstraszę. Ale jest pan bardziej, jak by to

ująć... zdecydowany, niż się spodziewałem. Teraz jesteśmy kwita. Niech pan mi pomoże wstać.

Wyciągnął rękę do mnie.

Straciłem dobre maniery. Podszedłem do kredensu i nalałem sobie szklankę wody; a przynajmniej myślałem, że to woda. Wypiłem solidny łyk i zakrztusiłem się. Dżin! Bourges wręczył mi szklankę wody.

– Ja też nigdy go nie lubiłem – szepnął i mrugnął. – Lautrec uważa go, jak wy to mówicie, za zimnego drania?

Mademoiselle La Victoire podeszła do Holmesa.

– Monsieur Holmes! – zaczęła swoim czarująco akcentowanym angielskim. – Przepraszam, że kazałam panu czekać, i to po tym, jak uratował mnie pan łaskawie dzisiejszej nocy. Przyznam, że jestem wstrząśnięta.

Holmes zaprowadził ją do sofy i posadził delikatnie, ale sam nie usiadł. Vidocq zajął miejsce obok niej i otoczył ją ramieniem. Skuliła się lekko od jego dotyku.

– Monsieur Vidocq – odezwał się Holmes z wyraźną irytacją – chciałbym sam pomówić z mademoiselle.

Vidocq się nie ruszył.

– Cherie i ja mamy porozumienie. Zostanę, żeby chronić jej interesy.

– W interesie mademoiselle i moim jest odnalezienie i odzyskanie jej syna, Emila – oznajmił Holmes. – A ty jesteś na tropie Marsylskiej Nike, nieprawdaż? I na końcu tego tropu czeka cię niemała nagroda?

Vidocq w milczeniu odwrócił wzrok. Holmes zwrócił się do mademoiselle La Victoire:

– Mademoiselle, jak pani sądzi, co wyszło na jaw dzisiejszego wieczoru?

Dama wydawała się zaskoczona.

– *Mais, évidemment...* tamci ludzie przyszli do Le Chat Noir, żeby mnie zabić...

– Doprawdy? Tak pani powiedział ten dżentelmen?

Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście – wtrącił się Vidocq. – Taka jest prawda.

– Proszę zatem wytłumaczyć, mademoiselle, dlaczego nasi napastnicy nie podążyli za pani dorożką, lecz zostali, by walczyć z nami trzema?

Mademoiselle La Victoire wyglądała na niezdecydowaną.

– Pozwolę sobie odpowiedzieć – rzekł Holmes. – Ponieważ przyszli tam zabić Vidocq'a, a pani po prostu znalazła się na ich drodze.

Odwróciła się do swojego kochanka.

– Jean! Dlaczego mieliby chcieć cię zabić?

Wzruszył ramionami.

– Nie możesz tego dowieść – powiedział do Holmesa.

– To byli wynajęci zawodowi zabójcy, prawdopodobnie z kontraktem na morderstwo i tą samą bronią, której użyto w Marsylii – oznajmił Holmes. – A ty, Vidocq, jako jedyny prowadzisz śledztwo w sprawie kradzieży posągu, więc nie mogli cię ścigać? – Odwrócił się z powrotem do mademoiselle La Victoire. – Jestem ciekaw, mademoiselle, czy monsieur

Vidocq wypytał panią dokładnie o zwyczaje pani znajomego, earla Pellingham.

– Oczywiście – wtrącił się znów Vidocq. – On jest ojcem Emila. – Pocałował naszą klientkę w policzek. – Zrobię wszystko, żeby znaleźć twojego drogiego syna.

– To wygodne – skonstatował wesoło Holmes, ignorując gest Vidocq. – Czy pani wiedziała, mademoiselle, że earl jest głównym podejrzanym o kradzież Nike?

Mademoiselle La Victoire zawahała się.

– Nie, nie wiedziałam. – Odwróciła się do Vidocq. – Byłeś bardzo dociekliwy, Jean.

– *Cherie, ma petite!* – wykrzyknął Vidocq. – Darzę cię prawdziwym uczuciem!

Ale śpiewaczka wstała i odsunęła się od niego.

– Co to oznacza, panie Holmes?

Holmes odwrócił się do Vidocq.

– Twoje uczucie nie przeszkodziło ci w narażeniu jej na niebezpieczeństwo dzisiejszego wieczoru – stwierdził chłodno.

Vidocq parsknął.

– To śmieszne. Nie mogłem przewidzieć, że zaatakują dziś w nocy.

– Zauważyłeś ich na widowni, tak jak ja – odparł Holmes. – Widziałem to.

– Mam do ciebie pytanie – oświadczył Vidocq. – Skoro zajmujesz się sprawą mademoiselle, a nie Marsylskiej Nike, to dlaczego odwiedziłeś dziś Luwr i kustosa wystawy greckich rzeźb?

– Jestem miłośnikiem wielkiej sztuki – odrzekł gładko Holmes.

– To wszystko.

Mademoiselle La Victoire spoglądała niepewnie to na jednego, to na drugiego. Vidocq wyciągnął rękę do swojej kochanki.

– Chyba nie wierzysz w tę bzdurę? – zapytał z szerokim uśmiechem. – Gdzie twoje zaufanie, *ma petite*?

Zwlekała, po czym, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, rzuciła mu się w ramiona.

– Ufam ci, Jean – zapewniła namiętnie.

Objął ją i oboje odwrócili się twarzami do nas.

Holmes parsknął.

– Mademoiselle, proszę tylko o jedno. Pani wezwała mnie tutaj. Niech będzie mi wolno porozmawiać z panią w cztery oczy, zanim przedłoży pani uczucie nad logikę.

– Nie będzie słuchała – powiedział Vidocq.

Mademoiselle La Victoire odwróciła się do niego i uciszyła go spojrzeniem.

– Nie zmuszaj mnie do dokonania wyboru, Jean. Wierzę ci. Ale pomówię z panem Holmesem sama. Zostaw nas, proszę.

Vidocq zwlekał. Ale coś nastąpiło między dwoma mężczyznami. Wzruszył ramionami i znów zaczął roztaczać swój swobodny galijski urok.

– Ależ oczywiście – odparł z uśmiechem. – Będę w pokoju obok, gdybyś mnie potrzebowała.

Odszedł.

– Zabierz monsieur Lautreca ze sobą! – zawołał Holmes.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że niski mężczyzna siedzi na stercie poduszek i rysuje Holmesa, a wdzięczny za to Bourges stoi obok. Lautrec wzruszył ramionami.

– Może znów się napijemy? – zaproponował i podążył za Vidocqiem do sąsiedniego pokoju. Doktor Bourges skinął mi głową i poszedł za nim.

Zachowanie Holmesa natychmiast się zmieniło. Usiadł obok mademoiselle La Victoire i poklepał jej rękę zadziwiająco pocieszającym gestem.

– Mademoiselle – zaczął dużo uprzejmiej, ale wyraźnie przynaglającym tonem. – Uczucie monsieur Vidocqa może być lub nie być szczere. Ale zna pani jego reputację. Mogę panią zapewnić, że poza uczuciem do pani jego głównym zainteresowaniem jest Marsylska Nike, a nie pani syn. Słyszała pani o tym słynnym posągu?

– Słyszałam.

– A! Zatem kontynuujmy, proszę, żebym mógł pani pomóc odnaleźć Emila. Czy ktoś z tamtych ludzi, którzy zaatakowali dzisiejszej nocy, wyglądał znajomo? Może jeden z nich przypominał człowieka, który zaczepił panią na ulicy?

– *Non*. Jestem pewna, że nie było go wśród nich.

– Tak myślałem. A Jean Vidocq? Co pani czuje do niego?

Zwlekała. Miałem wrażenie, że jakaś zasłona opadła na nią i odgrodziła jej prawdziwe intencje od nas.

– Przyznam, że... staliśmy się sobie bliscy.

– Jesteście wyraźnie w zażyłych stosunkach – stwierdził kategorycznie Holmes. – A jednak ma pani zastrzeżenia.

Aż podskoczyła.

– Skąd pan to wie?

– To naprawdę widać, mademoiselle.

Poruszyła się niespokojnie.

– Proszę nie myśleć o mnie źle. Jestem artystką, więc oczywiście wiele osób uważa mnie za rozwiązłą. Ale jest to dalekie od prawdy.

– Zaufanie i zażyłość to dla pani oddzielne kwestie – wywnioskował Holmes. – Przychodzi mi do głowy, że może pani wykorzystywać tego dżentelmena, jeśli mogę go tak nazwać, do własnych celów.

Zabrzmiało to bardziej jak pewnik niż domysł.

Cień zaskoczenia przemknął po jej twarzy, ale szybko je ukryła.

– Kiedy dokładnie zaczął się ten związek z monsieur Vidocqiem? – spytał bez wahania Holmes.

– Około miesiąca temu. I kocham go.

Holmes chrząknął.

– Zatem niedawno. Ale jak długo przed atakiem?

– Nie pamiętam. Może trzy tygodnie. Skontaktowałam się z nim, żeby mi pomógł odnaleźć Emila. Jean odstraszył mojego napastnika! Jak dzisiejszej nocy! Zawdzięczam mu życie.

– Jak zaznaczyłem wcześniej, mężczyzna na ulicy tylko panią ostrzegł, mademoiselle – warknął Holmes. – Dlaczego napisała pani do mnie prośbę o pomoc, skoro ma pani pod ręką ukochanego?

Łzy napłynęły do jej oczu.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. W Jeanie... w monsieur Vidocqu... jest coś, czego nie rozumiem. On jest bardzo atrakcyjny i my... a jednak...

Holmes siedział nieruchomo i świdrował ją swoimi bystrymi szarymi oczami.

– A jednak nie jest pani pewna jego intencji. Ma pani dobry instynkt, mademoiselle. – Urwał i uśmiechnął się. – Nagrodą za odzyskanie Marsylskiej Nike dla Francji będzie prawdopodobnie tytuł kawalera.

– Nie widzę związku.

– Ależ widzi go pani bardzo dobrze, mademoiselle. Oczywiście wie pani, że pani dawny kochanek, earl, jest jednym z wielkich światowych kolekcjonerów sztuki. Nigdy nie przyszło pani na myśl, że może być zamieszany w sprawę Nike, o której piszą gazety? Pani informacje o nim mogą być przydatne dla detektywa na jego tropie.

Dama wstała.

– *Oui*, zatem dobrze, panie Holmes. Tak, to możliwe, że Jean Vidocq chce mnie wykorzystać w jakiś sposób, by dotrzeć do earla. Choć... nie mogę pomóc. Od lat nie mam kontaktu z earlem. Poprosiłam Jeana, żeby mi pomógł odnaleźć Emila i prowadzi dochodzenie tutaj, w Paryżu. Być może, jak pan wspomniał, ja też wykorzystuję monsieur Vidocq'a tak, jak pańskim zdaniem on mnie.

– Ale on panią zawiódł. A ja zostałem zaangażowany rezerwowo, jak przypuszczam – powiedział trochę gorzko Holmes.



– Zrobię wszystko, żeby odnaleźć Emila – oznajmiła biedna kobieta. – Tylko to mnie obchodzi. Wierzę, że jest pan tutaj wyłącznie z tego powodu, jako że odmówił pan swojemu bratu zajęcia się sprawą Nike i musiał on zatrudnić monsieur Vidocq'a.

To zaskoczyło Holmesa.

– Jak pani się dowiedziała, że mój brat zatrudnił Vidocq'a?

Wyglądało na to, że nawet Holmes dotąd nie wiedział o tym.

– Przypadkiem zobaczyłam telegram od pana Mycrofta Holmesa, zanim Jean go zniszczył.

– Rozumiem. To czyni mnie pani drugim wyborem do odnalezienia Emila, a Vidocq'a drugim wyborem brytyjskiego rządu do zlokalizowania posągu Nike. – Holmes się roześmiał. – To wszystko jest bardzo zabawne.

Dama się wściekła, podeszła do Holmesa i wymierzyła mu policzek. Cofnął się zaskoczony.

– Pan się śmieje, a mój syn zaginął, panie Holmes – powiedziała. – Dwóch spośród najślawniejszych detektywów na świecie zaoferowało pomoc, a jednak uważam, że żadnego z was nie obchodzi ten fakt, tylko antyczny kawał wyrzeźbionego kamienia. Emil ma dziesięć lat. Gdziekolwiek przebywa, jeśli żyje, jest śmiertelnie przerażony. Albo gorzej. Nie obchodzi mnie pańska rywalizacja z Jeanem Vidocq'iem, ani jakiś grecki posąg, bez względu na jego wartość. Nie możecie działać razem? Pomoże mi pan czy nie?

Holmes podszedł i ujął czule jej rękę.

– Przepraszam. Jestem do pani usług, mademoiselle. I znaję Emila. Po to tu jestem.

Dama rozważała jego słowa.

Wystąpiłem naprzód.

– Mademoiselle. Pan Holmes dotrzymuje obietnic. Ja również. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć pani syna.

– Wierzę panom – odrzekła. – Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Proszę mi wybaczyć moje wątpliwości.

– Zapomnijmy o tym – zaproponował Holmes. – Mam powód uważać, że Emil nadal jest w Anglii. Ktokolwiek go zabrał, jest prawdopodobnie związany z earlem i będzie czujny. Rano we troje udamy się do Londynu. Jest teraz godzina czwarta. Musimy trochę odpocząć przed podróżą.

– O jedenastej przed południem z Gare du Nord odchodzi pociąg do Calais – poinformowała, otulając się szalem.

– Pojedziemy nim – odrzekł Holmes.

– We czworo.

– Zobaczymy – odparł ostro Holmes.

## 10. Opowieść mademoiselle La Victoire

Spaliśmy kilka godzin na dwóch spośród różnych szezlongów w mieszkaniu Lautreca. Jego służąca szybko i z wprawą przygotowała poduszki i koce, co wskazywało, że nie jesteśmy pierwszymi awanturnikami, którzy nocują w tym salonie cudów. Ale zmęczenie prędko przesłoniło tę atrakcję.

Rano podano nam kawę i croissanty. Potem, mimo deklarowanego zaufania do Holmesa, nasza klientka znów zaczęła nalegać, aby Vidocq udał się z nami do Londynu. Przeciwnie niż w nocy, Holmes łatwo się zgodził.

Pożegnałem się z wdzięcznością z doktorem Bourges'em, zabrałem z hotelu nasze rzeczy i w dorożce na dworzec zapytałem go dlaczego.

– Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej – odrzekł z uśmiechem Holmes. – I tak podążyłby za nami. A tak możemy mieć go na oku.

Wkrótce jechaliśmy Chathamem do Londynu w prywatnym wagonie pierwszej klasy.

Zmrożona wiejska okolica przelatywała obok nas. Gdy Vidocq drzemał przy oknie naszego przedziału, Holmes dokładniej wypytywał naszą klientkę o Emila.

– Proszę mi opowiedzieć, mademoiselle, o okolicznościach towarzyszących pani krótkiemu związkowi z earlem. Każdy szczegół może być ważny; niech pani niczego nie pomija. Miała pani osiemnaście lat, nieprawdaż? I pracowała gdzie?

Dama się zawahała i naciągnęła na ramiona miękkiego wełnianego płeda podróżny. Wyraz rozmarzenia zagościł na jej twarzy, gdy zaczęła relacjonować swoje początki w Paryżu.

– Przyjechałam z Prowansji, z miasteczka Èze. Miałam list polecający i zaczęłam pozować najpierw w l'École des Beaux Arts, a niedługo potem prywatnie kilku malarzom w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie poznałam Degasa i Renoira, a później Lautreca. Kochałam muzykę – ciągnęła z uśmiechem – i miałam nadzieję zostać śpiewaczką. Od pewnej małej grupy pisarzy zwanych Hydropatami dostałam zaproszenie do występu podczas jednego z ich *soirées*. Wkrótce zaczęłam śpiewać w kilku kabaretach, ale nadal pozowałam malarzom.

Dowiedzieliśmy się z jej opowieści, że lord Pelligham zobaczył ją pewnego wieczoru w jednym z tych małych kabaretów. Przystojny earl hulał po Europie incognito, najwyraźniej na pijackiej włóczędze pod pozorem, że podróżuje w celu nabywania dzieł sztuki, w ścisłej tajemnicy przed wszystkimi, łącznie z Izbą Lordów i jego rodziną.

Zachowałem dla siebie myśl, że śpiewaczka była zapewne najważniejszym z jego „nabytków”.

Po jej występie ona i earl – znany jej jako „hrabia Wilford” – mieli krótki romans, który trwał trzy upojne dni i noce w Grand Hôtel du Louvre. Tam młoda dziewczyna była przez niego

ugaszczana i adorowana w taki sposób, że sugerowało to wspólną przyszłość.

Młoda śpiewaczka była w siódmym niebie. Rozumiała, że jest podejmowana przez jakiegoś drugorzędnego członka rodziny królewskiej. Ale trzeciego ranka, gdy „hrabia Wilford” odsypiał wypitego w nocy szampana, do ich apartamentu przyniesiono na srebrnej tacce list, który przyjęła.

Jej kochanek spał dalej, więc z ciekawości otworzyła kopertę. W środku było pilne zawiadomienie o kryzysie w jednym z największych przedsiębiorstw dżentelmena, fabryce jedwabiu niedaleko siedziby rodziny w Lancashire. List opisywał robotnicze rozruchy i katastrofalną sytuację finansową. Ale nie tylko. Ujawniał również szczegóły jego życia, co sprawiło, że zamarła. „Hrabia Wilford” istotnie okazał się parem, lordem Pellinghamem, Haroldem Beauchamp-Kayem, kolekcjonerem sztuki, ważną figurą w Izbie Lordów i – co ją najbardziej zaszokowało – żonatym mężczyzną.

Jego amerykańska żona, Annabelle, zachorowała i proszono go o natychmiastowy powrót do ich domu w Lancashire.

Po przeczytaniu tego wszystkiego i uświadomieniu sobie, że żonaty i do tego sławny mężczyzna wzbudzał w niej fałszywe nadzieje, młoda dziewczyna włożyła starannie list z powrotem do koperty, zebrała cicho swoje rzeczy i zniknęła w mgiełce paryskiego przedświt.

Wędrowała po Montmartrze przez cztery dni, przybita oszustwem i wściekła na siebie, bo rzuciła posadę śpiewaczki w kabarecie, karmiąc się nadzieją prawie każdej biednej, pięknej

młodej kobiety na świecie, że zostanie ocalona przez kogoś z rodziny królewskiej i rozpocznie zupełnie inne życie, które jest jej przeznaczone. Miała dopiero osiemnaście lat i można jej było wybaczyć te romantyczne i niestety naiwne marzenia.

Pellingham nie odezwał się w ciągu następnych dni i próbowała wyrzucić go z pamięci.

Zatrudniono ją w innym kabarecie i dzięki swojemu talentowi i oszałamiającej urodzie wróciła w światła rampy. Po miesiącu zorientowała się, że jest w ciąży, ale ukrywała ją pod ekstrawaganckim strojem ze zwiewnych jedwabnych apaszek we wszystkich kolorach tęczy, które maskowały jej coraz bardziej krągłe kształty. To wtedy zyskała przydomek *la Déesse des Mille Couleurs*, Bogini Tysiąca Barw.

Po odkryciu, że jest brzemienna, mademoiselle La Victoire napisała do lorda Pellinghama, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Wysłała dwa następne listy z tym samym skutkiem.

Dziewięć miesięcy później w domu przyjaciółki na Montmartrze urodziła chłopca, któremu dała na imię Emil. Miała ciężki poród, ale dziecko okazało się zdrowe, ładne i dobrze się rozwijało.

Holmes słuchał cierpliwie tej opowieści. Ale w tym momencie pochylił się do przodu z żywym zainteresowaniem.

– Jakie dokładnie były ustalenia w sprawie oddania Emila earlowi? – spytał.

– Dwa tygodnie po narodzinach Emila – odrzekła dama i jej oczy się zaszklily na to wspomnienie – przyszedł do mnie mężczyzna nazwiskiem Pomeroy.

– Proszę go opisać.

– Ciemnowłosy i krępy, jak to wy mówicie. Anglik francuskiego pochodzenia. Rozmawiał ze mną po francusku. Podał się za bliskiego współpracownika lorda Pellinghama. Miał dla mnie propozycję. Ach, żałuję...

– Proszę dokładnie opisać tę propozycję.

– Lord Pellingham zaadoptowałby Emila i wychowywałby go w posiadłości jako swoje dziecko ze swoją amerykańską żoną Annabelle. Nasz syn miałby wszelkie korzyści i odziedziczyłby posiadłość po śmierci lorda Pellinghama. Ale pod pewnymi warunkami.

– Naturalnie, pod jakimi?

– Miałam nikomu nie mówić o tym. Musiało wyglądać na to, że moje dziecko zmarło. Musiałam podpisać dokument prawny. Nie otrzymałabym żadnych pieniędzy. Ale lord Pellingham, przez swoje kontakty w Paryżu, umożliwiłby mi występy w całej Europie.

– I zrobił to?

– Wolę uważać, że nie potrzebował tego robić.

– Oczywiście, że nie; pani talent nie podlega dyskusji – zauważyłem.

Uśmiechnęła się, ale szybko spoważniała i ciągnęła swoją opowieść. Jak wspomniała wcześniej, wolno jej było widywać Emila raz do roku, w Boże Narodzenie, w Londynie, pod określonymi i niezmiennymi warunkami.

Holmes naciskał ją, żeby zdradziła szczegóły.

Każdego roku to bożonarodzeniowe spotkanie odbywało się w herbaciarni hotelu Brown. Gdy ją obserwowałam, kiedy opisywała żałośnie krótkie godziny z własnym dzieckiem, serce mi pękało. Przedstawiono ją tylko jako przyjaciółkę rodziny. Każdego roku przywoziła dziecku jakiś drobny prezent, zwykle piękną, cenną, ręcznie robioną zabawkę – raz miniaturowy teatr, później ręcznie rzeźbionego konia, który zachwyił dziecko i stał się jego ulubioną zabawką.

Emil wydawał się reagować czułą wdzięcznością na towarzystwo swojej matki i podarunki od niej. Przysięgała, że jest między nimi więź, choć niewypowiedziana. Zgodnie z umową chłopiec nie miał się nigdy dowiedzieć, co naprawdę ich łączy.

Holmes słuchał tego opisu z zamkniętymi oczami, odchylony do tyłu na swoim siedzeniu. Teraz uniósł powieki i popatrzył na mademoiselle La Victoire z zaciekawieniem.

– Wydaje się pani inteligentna. Co panią skłoniło do powierzenia własnego syna człowiekowi, który tak okrutnie panią oszukał? – zapytał.

Mademoiselle La Victoire zawahała się.

– Instynkt. Czułam... nie wiem czemu... że tak będzie najlepiej dla Emila. I początkowo na to wyglądało. Emil był szczęśliwym dzieckiem...

– Dlaczego w czasie przeszłym?

– Eee... bez powodu.

– Czy w ostatnie Boże Narodzenie nic w zachowaniu dziecka nie wskazywało na zaniepokojenie? Niepewność? – spytał



Holmes.

– Nie – zaprzeczyła, zaskoczona.

– Proszę dobrze pomyśleć! Czy dziecko nie było zamknięte w sobie, ponure? A może jakoś się zmieniło?

– Nie zauważyłam niczego takiego – odpowiedziała mademoiselle La Victoire. – Tylko... tylko że kiedy odchodził, obejrzał się na mnie. Zobaczyłam łzy. Nigdy przedtem nie było łez.

Holmes zrobił gwałtowny wydech.

– I nic pani nie zrobiła?

Jej oczy zwilgotniały.

– Pomyślałam, że może stęsknił się za mną.

Holmes się nie odezwał, ale wyczuwałem, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach. Odwrócił wzrok i popatrzył w okno. Wiejska okolica południowej Anglii mknęła obok nas, tworząc lodowatą niewyraźną niebieskobiałą plamę. Śnieg zamienił się w deszcz ze śniegiem i nawet w naszym ogrzewanym przedziale czułem chłód od okien.

Vidocq wstał i opuścił na krótko nasz przedział. Holmes natychmiast to wykorzystał, pochylił się do przodu i cichym, poważnym tonem powiedział:

– Ostatnia rzecz, tylko przypuszczenie. Wciąż pani wierzy, że pani syn żyje?

– Tak – rzuciła bez wahania. – Jestem tego tak pewna, jak pańskiego słowa, panie Holmes.

Zamilkła na chwilę.

– Proszę. Popełniłam straszny błąd; wiem, że pan tak uważa. Ale nie odnajdę Emila sama. Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Holmes.

– I dlatego jesteśmy do pani usług, Watson i ja.

– A teraz mam do pana pytanie – powiedziała. – Czemu jedziemy do Londynu? Nie wyjaśnił pan tego dokładnie.

– Nie jestem pewien, że on jest w samym mieście – odparł. – Ale uważam, że jest w Anglii. Ktokolwiek ma Emila, może chcieć zapewnić mu opiekę. To byłoby zbyt trudne w innym kraju. A co do Londynu, to jest tam bardzo wielu garbarzy. Moim zdaniem Emil mógł zostać zabrany przez kogoś przyjaznego, ponieważ z jakiejś przyczyny znalazł się w niebezpieczeństwie. Dlatego musimy postępować bardzo ostrożnie, żeby nie sprowadzić na niego zagrożenia.

– Rozumiem. Ale przez kogo i dlaczego?

– Musimy się dużo dowiedzieć. Ale uważam, że niebezpieczeństwo jest realne. Muszę panią o coś poprosić.

– Zrobię wszystko, co pomoże – odrzekła.

Holmes przeszył ją tym dziwnym świdrującym spojrzeniem.

– Nie wolno pani dopuścić do tego, że pani uczucie do Jeana Vidocq'a stanie nam na drodze – ostrzegł, przyglądając się jej uważnie.

Mina mademoiselle La Victoire nie wyrażała nic. Jako artystka miała zadziwiającą umiejętność bycia prostolinijną w jednym momencie i nieprzeniknioną w następnym.

– Oczywiście, że nie – odezwała się w końcu.

A potem się uśmiechnęła. W przedziale natychmiast zrobiło się cieplej.

# Część IV

## ZA KULISAMI

*Artysta musi być w swoim dziele, jak Bóg jest w tym, co stworzył,  
niewidoczny i wszechmocny; musi się go wszędzie czuć, ale nie  
widzieć.*

Gustaw Flaubert

## 11. Nieprawidłowości na Baker Street

Po powrocie do 221B zobaczyliśmy, że pani Hudson zrobiła porządek w salonie po ostatniej przygodzie Holmesa z ogniem. Przyjemnie było wrócić do znajomych pokoi, gdzie nawet meble przywrócono do stanu z czasów, kiedy tam mieszkałem.

Wszystkie dowody spowodowanej przez narkotyk klęski Holmesa zostały usunięte, jego papiery i przybory chemiczne oczyszczone, pokój wywietrzony i wyszorowany. Ogień płonął wesoło, a na stole czekały na nas herbata, brandy i babeczki.

Był również list od Mary. Potrzeby jej matki zmuszały ją do pozostania z nią dłużej, więc byłem wolny, przynajmniej na razie, i mogłem dalej towarzyszyć Holmesowi. Napisała: *Proszę tylko, drogi Johnie, byś mi obiecał, że będziesz dbał o siebie tak, jak o mnie... i o swojego przyjaciela. Uważaj na siebie.*

Z wielką ulgą postawiłem nasze walizki, powiesiłem mój płaszcz i nalałem sobie filiżankę herbaty. Jednakże Holmes zaskoczył mnie, proponując Vidocqowi i mademoiselle La Victoire moją dawną sypialnię, gdzie mieli być jego gośćmi na czas poszukiwań Emila w Londynie.

Odkąd się ożeniłem, pokój służył jedynie za laboratorium i składowisko sprzętu, papierów i projektów badawczych

Holmesa. Wszystko zostało natychmiast wyniesione do piwnicy przez panią Hudson i chłopca do pomocy.

– Holmesie, to do ciebie niepodobne – powiedziałem, kiedy mademoiselle La Victoire i Vidocq poszli na górę odpocząć. – I więcej niż trochę niestosowne.

– Watsonie, wiesz, że mało dbam o stosowność. Tak mogę lepiej zapewnić bezpieczeństwo mademoiselle.

– Zatem chodzi tylko o jej dobro, jak przypuszczam – odrzekłem. – Nie jesteś nią zauroczony? Ani trochę?

Holmes parsknął.

– Watsonie, doprawdy. Czy gdybym był, ulokowałbym ją tak przytulnie z kochankiem tuż pod moim nosem? – Zawahał się i uśmiechnął szelmowsko. – Czy przypadkiem nie chciałeś wrócić do swojego dawnego pokoju?

W istocie nie mogłem się tego doczekać.

– Nie – odparłem ostrzej, niż zamierzałem.

Niemniej jednak, ociągałem się z pisaniem notatek, spędzając błogo popołudnie, gdy Holmes był zajęty telegramami, wizytą Nieregularnych i czytaniem. Jednakże, gdy nasi francuscy goście pojawiali się i znikali, mieszkanie coraz bardziej pachniało miękkimi dojrzałymi serami i wypełniało się kwiatami, jakby Francja zaanektowała nasze stare pokoje. Holmes wyszedł później w jakiejś sprawie bez wyjaśnienia i kiedy czekałem na jego powrót, moja irytacja stała się nie do zniesienia. Zebrałem swoje rzeczy, żeby się wynieść.

W tym momencie wszedł Holmes i opadł z westchnieniem na kanapę. Znowu zauważyłem, że jest wyraźnie blady ze

zmęczenia.

– Co robiłeś, Holmesie? – zapytałem.

Wskazał wzrokiem mój pokój na górze, gdzie przebywali jego goście.

– Później, Watsonie.

– Odpocznij – doradziłem. – To zalecenie lekarza. Muszę teraz wyjść.

– Zostań na kolacji.

– Zobaczymy się rano – odrzekłem i wyszedłem.

Wstąpiłem do pubu na kanapkę i wróciłem do siebie, żeby się przespać. Rozdrażniony i wyczerpany, padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem. Po zaledwie kilku minutach, jak mi się wydawało, obudził mnie głośny dzwonek do drzwi. Zerknąłem na zegar.

Była dopiero szósta rano i nasza gospodyni jeszcze się nie obudziła, żeby otworzyć. Powłokłem się niechętnie do drzwi w szlafroku narzuconym na nocną bieliznę.

Za progiem stał stary włóczęga z powyłamywanymi i pożółkłymi zębami, skulony niczym groźny szczur. Jakiś marynarz, sądząc po stroju.

– O co chodzi, człowieku?! – zagrzmiałem niezbyt przyjaznym tonem.

– Ubieraj się, Watsonie – polecił głosem Holmesa. – Zostaliśmy pilnie wezwani do Mycrofta.

## 12. Wiszący most

Zawsze utrzymywałem, że życie z Holmesem jest trochę jak przechodzenie przez most zawieszony na linach nad otchłanią dżungli. Adrenalina może pobudzać, ale nigdy nie wiadomo, co leży poniżej, i człowiekowi stale grozi niebezpieczeństwo utraty równowagi.

Wszelki spokój, jaki mogłem odzyskać po nocnym śnie we własnym łóżku, szybko zniknął, gdy pędziliśmy z hałasem dorożką przez miasto do Klubu Diogenesa, tego osobliwego matecznika jeszcze bardziej osobliwego starszego brata Holmesa, Mycrofta.

Po co? Po co ten pośpiech? Po co to przebranie? Po co Mycroft wezwał nas obu? Kiedy Holmes usunął sztuczne zęby, zdjął perukę, poodrywał gumę od twarzy i zaczął ścierać mahoniowy kolor i brud z policzków, wyjaśnił to częściowo.

– Tej nocy – no, wczesnym rankiem – odwiedziłem doki jako stary marynarz, który nie może usiedzieć na miejscu, proponując przyjacielski poczęstunek.

Uniósł podniszczoną piersiówkę ukrytą w jego łachmanach.

– I czego się tam dowiedziałeś? – zapytałem. – Zostawiłeś trochę pod lewym okiem.

Holmes ścierał dalej.



– Po prostu tego, że ostatnio przyplęły trzy ładunki i każdy z nich mógłby być naszym zaginionym posągiem. Jednakże jeden wydawał się pilniej strzeżony niż inne i zdołałem, z niemałym trudem, zerknąć na jego zawartość. Jestem całkiem pewien, że to nasza Nike.

– O! – powiedziałem, przetrawiając to.

Nie piłem jeszcze porannej kawy. Gdy dorożka mknęła z turkotem po ulicach, Holmes skończył się przebierać w swój zwykły strój.

– Ale co z mademoiselle La Victoire? Myślałem, że udzielenie jej pomocy interesuje cię bardziej niż kradzież tego dzieła sztuki.

– To poranne zadanie było tylko działaniem uzupełniającym i podjąłem się go na żądanie mojego brata – odparł z nutą niechęci. – Muszę wiedzieć tyle co Vidocq.

– Słusznie – przyznałem.

Wyraźnie rywalizowali ze sobą. Podejrzewałem, że Holmes w rzeczywistości dokonał tego nocnego rozpoznania, żeby pokonać swojego francuskiego odpowiednika.

– Mycroft wezwał nas dziś prawdopodobnie z powodu moich starań.

– Ale skąd wiedział, że ci się powiodło?

Holmes nie raczył odpowiedzieć.

## 13. Mycroft

Czekaliśmy na starszego brata Holmesa w Pokoju Obcych w klubie dżentelmenów Mycrofta, Diogenes. Ściany pokrywała gruba boazeria z wiekowego drewna orzechowego, wszelkie hałasy tłumiły puszyste orientalne dywany w kolorze zieleni i złota, wykuszowe okno wychodziło na Pall Mall. Otaczały je półki z książkami i zbiorem pięknych wiekowych globusów. Byliśmy tu daleko od innych i mogliśmy swobodnie rozmawiać. Regulamin tego osobliwego klubu zobowiązywał członków do milczenia we własnym towarzystwie, gdy przebywają w ogólnodostępnych salach.

Zamówiłem kawę u służącego, usadowiłem się wygodnie w fotelu przy kominku i zapaliłem mojego porannego papierosa, starając się odprężyć. Mój towarzysz spacerował przed wysokim oknem.

– Usiądź, Holmesie – poprosiłem.

Zignorował mnie i nadal spacerował.

Zorientowałem się, że wielki mężczyzna wszedł cicho jak kot, stoi przy drzwiach i przygląda się nam z pogardą. Mycroft, wyższy, dużo postawniejszy i siedem lat starszy od swojego brata, przebył pokój majestatycznie niczym pancernik. Był nieskazitelnie ubrany, jego buty lśniły jak lustro i emanował

niewątpliwą powagą. Opuścił się wolno na fotel przy kominku i znieruchomiał. Inteligentne oczy błyszcząły na jego lwim obliczu, gdy patrzył na swojego młodszego brata z wyrazem, który ktoś mógłby zinterpretować jako dezaprobatę.

– Powiodło ci się – stwierdził, nie zapytał.

– Tak, Nike jest w Londynie – odrzekł niedbale Holmes.

– Zamiast w Liverpoolu – powiedział Mycroft. – To dziwne.

– Owszem, i niewygodne dla nich, jeśli jej miejsce przeznaczenia jest tam, gdzie myślimy. Ale muszą mieć swoje powody. Posąg odjeżdża jutro. Nawiasem mówiąc, jest dobrze strzeżony.

– Tak myślałem – odparł Mycroft. – Kosztował już życie czterech ludzi. Usiądź.

Holmes zignorował go i nadal spacerował.

– Nie lekceważ ludzi wynajętych do jego ochrony – doradził. – Ich związki z mafią zostały potwierdzone przez amerykańskich przyjaciół w Nowym Jorku.

– Tak, tak, są groźni, wiem. Tak jak kolekcjoner, który zapewne wprowadził to w ruch – przyznał Mycroft. – Dlatego przydzielam cię do tej sprawy, Sherlocku. Ty i doktor Watson pojedziecie do Lancashire południowym pociągiem. Będziecie w posiadłości Pellinghama, kiedy posąg tam dotrze, co może nastąpić już jutro późną porą. I mimo że earl nikomu nie pokazuje swojej tajnej kolekcji, tym razem wystawił ci osobiste zaproszenie, żebyś mógł zobaczyć ustawianie Nike na własne oczy.

Mycroft wziął ze stolika obok siebie długi wąski list na eleganckiej papeterii i wyciągnął go do Holmesa. Mógłbym przysiąc, że się uśmiechał, kiedy to robił, ale bez śladu uroku.

Holmes przestał spacerować i stał w milczeniu przy oknie, ignorując list. Był odwrócony tyłem do światła i nie widziałem jego miny, ale jego głos zabrzmiał lodowato.

– Zrobiłem, o co prosisz, Mycroftcie. A czego ty się dowiedziałeś o Emilu?

– W tej chwili chłopiec jest bezpieczny. Zlokalizowałem dom w Londynie, gdzie jest ukrywany; przez przyjaciół, mogę dodać. Ale plan gry się zmienił. Wysyłam Vidocqa po Emila. Niedługo podam mu informacje. Ty jesteś przeniesiony do sprawy Nike.

– Mycroftcie! Powiedz mi, gdzie jest Emil. Tak się umówiliśmy.

– Nie jesteś ciekaw tego zaproszenia? Na pewno jesteś. – Zamachał listem.

Holmes nie zareagował. Mycroft skinął głową.

– No dobrze, zatem marchewka. – Odłożył z westchnieniem list. – Usiądź.

Jeśli miał marchewkę, to na pewno i kij. Nie podobał mi się ton tej rozmowy. Holmes wreszcie usiadł.

– W pełni rozumiem, że kradzież dzieła sztuki cię nie interesuje, mój młodszy bracie – zaczął uspokajająco Mycroft. – Niedola zaginionych lub dręczonych dzieci działa na twoją, eee... naszą, wrażliwość. Ale kiedy będziesz w Lancashire, robiąc to dla mnie, zajmiesz się również zabójstwem trojga dzieci, które zniknęły z fabryki earla. Wszystkie były sierotami i moim zdaniem zatrudniano je nielegalnie. Rzeczona fabryka

leży na odludziu i unikała dokładnej kontroli. Pieniądze zmieniały właściciela.

Holmes pozostawał bierny. Mycroft westchnął, przyglądając się uważnie bratu.

– Earl jest poza naszym zasięgiem – kontynuował Mycroft. – Musisz to zrozumieć. Dopiero kiedy dowiedzimy mu kradzieży dzieła sztuki o międzynarodowym znaczeniu i towarzyszących temu zabójstw, będziemy mogli rozpocząć pełne śledztwo w sprawie jego afer, obejmujące również los tych trzech chłopców i jego zaginionego syna. Na razie jest chroniony przez przyjaciół w Parlamencie. Jeśli odzyskamy małego Emila jawnie, zanim...

Holmes milczał z zaciśniętymi dłońmi.

– Rozumiesz? – spytał Mycroft.

– Oczywiście – odrzekł Holmes. – A lady Pellingham? Jakie masz informacje o niej?

– Jej rola, jeśli jakkolwiek odgrywa, jest nieznana. To twoje następne zadanie – ciągnął Mycroft. – Musimy poznać sytuację w Lancashire, aby zapewnić chłopcu bezpieczeństwo. Vidocq i mademoiselle będą tu niedługo. Dostaną ode mnie adres, pod którym jest ukrywany Emil, i ochronę, kiedy będą go odbierali. Możliwe, że po aresztowaniu earla mademoiselle wróci z synem do Francji, a wtedy ich bezpieczeństwem zajmie się Sûreté.

Holmes wyglądał przez okno, jakby nie słuchał.

– Tobie, bracie, przypadnie ustalenie, dlaczego chłopiec został ukryty i przed kim – mówił dalej Mycroft. – Twoja wskazówka, że jako broni użyto narzędzia charakterystycznego dla przemysłu garbarskiego była kluczowa; dziękuję ci za nią. Emil

przebywa w Bermondsey, w domu Charlesa i Merielle Eagletonów. Pan Eagleton jest garbarzem. Pani Eagleton to siostra kamerdynera earla, Pomeroya, który był łącznikiem z francuską matką Emila.

– Nie można od razu wysłać tam policji? – wyrzuciłem z siebie.

Obaj obrócili się twarzami do mnie. Mycroft popatrzył na mnie z politowaniem.

– To szachy, doktorze Watson. Po pierwsze, policja musiałaby zwrócić Emila ojcu. Chłopiec mógłby nie być bezpieczny. Niech pan weźmie pod uwagę możliwość, że został zabrany przez przyjaciół, gdyż w domu coś mu groziło. Po drugie, to Vidocq musi go uratować. Trzeba go odciągnąć na krótko od posągu, bo inaczej może spróbować zdobyć go dla Francji.

Odwrócił się z powrotem do Holmesa.

– Niech ci wystarczy to. A co do Vidocqa i tej mademoiselle La Victoire, to wiem z moich źródeł, że się kochają.

– Ona mu nie ufa – odparł Holmes. – A twój plan jest niebezpieczny dla niej i chłopca. Vidocqa bardziej obchodzi jego nagroda niż to dziecko.

Mycroft spojrzał surowo na Holmesa.

– Możliwe. Ale jest inna kwestia. Darzysz uczuciem tę damę. Kardynalny błąd, mój młodszy bracie.

– Nie bądź śmieszny, Mycrofcie – warknął Holmes. – Przecież mnie znasz.

Mycroft obrócił się twarzą do mnie.

– A jednak doktor Watson zgodziłby się ze mną, prawda, doktorze?

– Nie, nie powiedziałbym tego – wydukałem.

Mycroft przez chwilę taksował mnie wzrokiem.

– A jednak to prawda – stwierdził, odwrócił się z powrotem do brata i popatrzył na niego wyzywająco. Mój przyjaciel wytrzymał jego spojrzenie. Mycroft wzruszył ramionami. – To znakomita artystka. I inteligentna. Rozumiem twoją chwilową słabość. Ale pomyśl o swoim rywalu. Vidocq, przystojny, znany bawidamek, zapewne zawładnął jej sercem. Jak to Francuz, jest nie tyle dwulicowy, co... skomplikowany. Jeśli ona również go pociąga, to chłop może spróbować schrupać ten smaczny kąsek – dodał z chichotem.

Holmes odwrócił się nagle od brata.

– Masz papierosa, Watsonie? – warknął.

Wyszperałem jednego, dałem mu i zapaliłem zapalniczkę. Przez moment wydawało mi się, że ręka mu drży. Siedział tyłem do brata.

Mycroft przyglądał się nam spokojnie. Lekki uśmiech błąkał się po jego kamiennej twarzy. Miałem ochotę udusić tego człowieka.

Holmes zaciągnął się głęboko papierosem i powrócił do swojego flegmatycznego zachowania.

– Nie jestem osobiście zainteresowany tą damą poza tym, że powierzyła mi swoje bezpieczeństwo – oświadczył. – Francuz może być niedbały. Jeśli tylko Vidocq będzie chronił mademoiselle La Victoire, chłopiec pozostanie bezbronny.

– Nie dopuszczę do tego, żeby coś im groziło – odrzekł Mycroft. – Obiecuję.

Zapadło milczenie. Holmes palił. Mycroft nalał sobie małą brandy i wypił łyżeczek. Była dziewiąta rano. Gdzie moja kawa?

– Przejdźmy do szczegółów – powiedział Mycroft. – Mój plan jest faktem dokonanym i opiera się na twoich najmocniejszych stronach. Earl korespondował z Fritzem Prendergastem z Muzeum Brytyjskiego, czołowym znawcą legendy Nike i wszystkich odnoszących się do niej dzieł sztuki. Przechwytywałem tę korespondencję i zastawiałem tę pułapkę przez ponad dwa lata – długi cienki klin; znasz moje metody.

Pociągnął następny łyk brandy.

– Earl wpadł w moje sidła, zapraszając tego człowieka do obejrzenia czegoś, co w pełni doceni tylko ta jedna jedyna osoba, na co on nie może się już doczekać. – Mycroft postukał w kopertę na stoliku obok niego. – Nawet najbardziej skryty obsesjonista potrzebuje czyjś uznania. Teraz chyba rozumiesz to wszystko, Sherlocku? – dodał, uśmiechając się znów do mnie.

Holmes chrząknął.

– Jednakże earl i Prendergast nigdy się nie spotkali, i ty wcielisz się w tego człowieka, drogi bracie, kiedy dziś wieczorem dotrzesz z Watsonem do posiadłości. Będzie wystawna kolacja i zwiedzanie jego rzadko oglądanej kolekcji.

Przeraziłem się.

– Nie dam rady! Chodzi mi o to, że nie jestem aktorem!



– To z pewnością prawda, ale bez obaw, doktorze – odparł Mycroft. – Fritz Prendergast jest przykuty do wózka inwalidzkiego i cały czas towarzyszy mu jego osobisty lekarz. Musi pan tylko przybrać nowe nazwisko. Poza tym pozostanie pan sobą.

– To niedorzeczne! – wybuchnął Holmes. – Nawet gdybym się na to zgodził, nie mogę prowadzić śledztwa z wózka inwalidzkiego. Nie mogłeś wymyślić jakiegoś pełnosprawnego...?

– Nie – zaprzeczył Mycroft. – Fritz Prendergast to prawdziwa osoba i korespondował przez jakiś czas z earlem, choć nigdy nie spotkali się twarzą w twarz. Jest sparaliżowany od pasa w dół po pewnym wypadku w wieku dwudziestu lat. Łatwo się w niego wcielisz. Zobacz.

Mycroft wyjął z teczki na stoliku fotografię i pokazał nam. Przedstawiała szczupłego, ascetycznie wyglądającego mężczyznę, kilka lat starszego od Holmesa. Miał długie bokobrody, małe okulary w złotej oprawce i bystrą twarz.

Istniało podobieństwo. Sprytne!

Holmes zerknął na fotografię i odłożył ją.

– Jak załatwiłeś... gdzie jest teraz prawdziwy Prendergast? – zapytał.

Nie jestem pewien, ale wydało mi się, że dostrzegłem zmieszanie Mycrofta, które natychmiast zniknęło.

– W Wiedniu, nie ma z nim kontaktu.

– Co tam robi?

– Jest na terapii u prywatnego lekarza. Mniemam, że dochodzi do siebie po nawrocie uzależnienia od kokainy.

Holmes zeszywniał. Zaciągnął się wolno papierosem. Poczulem niepokój.

– Wygodne – zauważył.

– Bardzo – przyznał Mycroft.

– A ten nawrót? – spytał Holmes. – Jak to się stało?

– Do tych rzeczy dochodzi tajemniczymi sposobami – odrzekł Mycroft.

Przyglądał się bratu z jakimś zamiarem. Nie rozumiałem, co następuje między nimi, ale zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, Holmes wstał tak szybko, że przewrócił boczny stolik. Trząśnięcie z wściekłości. Jeszcze nie widziałem u niego takiej furii.

– Niech cię szlag trafi, Mycroft! Chodź, Watsonie.

Podniosłem się zaskoczony jego gwałtowną reakcją.

– Doktorze Watson – powiedział Mycroft. – Jeszcze jedno, zanim pan wyjdzie.

Zatrzymałem się, uwięziony między nimi. Holmes zadzwonił niecierpliwie po nasze płaszcze.

– Doktorze – ciągnął Mycroft. – Może pan nie być zorientowany, ale mój brat wie, ile wysiłku kosztowało mnie ostatnio wydostanie go z aresztu.

– Areszt! – wykrzyknąłem wbrew sobie. – Sprawa Rozpruwacza? Czyż tamte oskarżenia nie okazały się fałszywe i nie zostały wycofane?

Holmes parsknął.

– Zostały sfabrykowane. Dobrze o tym wiedziałeś, ale pozwoliłeś mi pokutować przez tydzień!

Mycroft westchnął.

– Polityka nigdy nie była twoją mocną stroną, Sherlocku. Masz szczęście, że jesteś wolny – dodał. – A to tylko dlatego, że wysoko postawiona osoba, którą obraziłeś, potrzebuje twoich usług w tej sprawie. To jest dla ciebie szansa na odzyskanie jego przychylności; nie wolno ci jej zmarnować.

– Kto to jest? – zapytał ostro Holmes.

– Pewnie już to wydedukowałeś, więc nie wymienię jego nazwiska. Ale to ktoś spośród najważniejszych ludzi w kraju. Czego nie wiesz, to tego, że on żywi głęboką osobistą urazę do Pellinghama. A jednak earl pozostaje nietykalny dzięki własnym koneksjom na wysokich szczeblach.

– A dlaczego mam ci ufać? – spytał Holmes.

– Dlatego, drogi bracie, że nie masz wyboru – odparł Mycroft i odwrócił się do mnie z zatroskaną miną. – Doktorze, zakładam, że pan nadal dba o dobry stan zdrowia mojego brata. Wygląda mi na zmęczonego. I chyba ostatnio zażywał kokainę, hm?

Stałem bez ruchu. Nie zamierzałem ujawniać stanu mojego przyjaciela. Ale podobnie jak jego brat, Mycroft potrafił mnie łatwo przejrzeć.

– A, widzę, że mam rację. Doktorze, jeśli ta niewymieniona z nazwiska osoba dowiedziałyby się o odmowie mojego brata, to nie mam wątpliwości, że znalazłby się jakiś powód, by go z powrotem uwięzić – skazać na dłuższy okres ciężkich robót – i uwolnienie go mogłoby się okazać niemożliwe, nawet dla mnie.

Holmes się nie poruszył. Dostałem mdłości. Mycroft uśmiechnął się do mnie łagodnie.

– Jak pańskim zdaniem może pójść mojemu bratu?

Słońce skryło się za śnieżnymi chmurami i pociemniałe niebo odzwierciedlało nastrój mojego przyjaciela, gdy opuściliśmy Diogenesa. Niosłem pod pachą grubą teczkę i list od Mycrofta, zawinięte teraz w woskowany materiał dla ochrony przed deszczem ze śniegiem. Czekala nas długa podróż pociągiem i dużo pracy, żeby przyswoić sobie potrzebne nam informacje z tych opasłych akt.

Jeszcze nie widziałem Holmesa w gorszym humorze.

Ze wzrokiem utkwionym w chodniku i skłębionymi myślami, Holmes stanowił obraz tłumionej furii. Gdy opuściliśmy Waterloo Place i dotarliśmy do Pall Mall, wszedł przez roztargnienie prosto w gęsty ruch prawie pod koła szybko jadącego powozu.

– Holmesie! – krzyknąłem, chwyciłem go za ramię i wciągnąłem z powrotem na chodnik. Powóz potoczył się z turkotem dalej, woźnica krzyknął przekleństwo, kiedy nas mijał.

Holmes się otrząsnął i poszliśmy dalej w milczeniu. Relacje między braćmi były bardziej skomplikowane, ale wolałem nie pytać. Jako samotny mężczyzna, bez bliskiej rodziny z wyjątkiem Mary, często żałowałem, że nie mam krewnych. Po

dzisiejszym dniu pomyślałem, że może powinienem być za to wdzięczny. Kij Mycrofta zamienił się w maczugę.

Na Pall Mall spotkaliśmy Vidocq'a i mademoiselle La Victoire w drodze do Diogenesa. Krzykliwie ubrany w drogi płaszcz i kolorowy fular zarozumiały Francuz szedł ku nam dumnym krokiem pod rękę z damą. Wyglądała elegancko w bordowej wełnie z futrzanymi mankietami i czarnym sutaszem, twarz ukrywała za woalką.

Kiedy Vidocq nas zobaczył, zmarszczył brwi, ale mademoiselle La Victoire przystanęła, uniosła z wdziękiem woalkę i uśmiechnęła się wyczekująco do Holmesa.

– Monsieur Holmes, jak rozumiem, mamy się spotkać z pańskim bratem, który wie, gdzie jest Emil. Ale pan nie przyłączy się do nas?

Zerknąłem na Holmesa i ujrzałem, że wszelkie ślady jego złego nastroju zniknęły. Jako wytrawny aktor Holmes w pełni panował nad swoim wyrazem twarzy. Uśmiechnął się do mademoiselle La Victoire i szarmancko pocałował ją w rękę.

– Niestety, to nie jest możliwe – odrzekł. – Ale mój brat ma dobre wieści. Wkrótce będzie pani ponownie z Emilem. Muszę panią przeprosić. Obiecałem pani, że osobiście odnajdę Emila, ale zostałem odwołany.

– Odwołany? – Zatchnęła się. – Ale...

Niezauważany za jej plecami Francuz posłał Holmesowi triumfalny uśmiech. Objął damę opiekuńczo w tali. W jego geście było coś wyraźnie zaborczego.

– *Attendez*, mademoiselle – powiedział Holmes. – Dobre wieści są takie: Emil jest bezpieczny i przebywa tutaj, w Londynie. Usłyszy pani szczegóły od mojego brata, który dostarczy monsieur Vidocqowi informacji potrzebnych mu do oddania Emila z powrotem pod pani opiekę.

Holmes odwrócił się do Vidocq.

– Gdyż, jak rozumiem, twoim celem jest udzielenie pomocy mademoiselle.

Vidocq nie zareagował.

– Zatem zostawia nas pan, panie Holmes? – zapytała mademoiselle La Victoire, szukając na jego twarzy wyjaśnienia.

– Nie zostawiam, droga pani. Mam pilną sprawę i muszę wyjechać dziś po południu. Proszę zrozumieć, że tak będzie najlepiej. Zapewnię temu wszystkiemu powodzenie, pozostając w ścisłym kontakcie z moim bratem. I zamierzam niedługo wrócić. Jeśli nie jest pani zadowolona – urwał i spojrzał na Vidocq – to zapewniam, że wtedy wkroczę i pomogę pani.

– Ale możemy nie mieć tyle czasu – odrzekła cicho.

Łzy złości napłynęły do jej oczu. Wahałem się, czy nie nalegać, żebyśmy zostali w Londynie, mimo grożącego Holmesowi niebezpieczeństwa.

– Jest pani w dobrych rękach z mężczyzną, który... naprawdę panią kocha – powiedział z więcej niż nutą ironii.

Vidocq stał z tyłu i obserwował uważnie Holmesa.

– Co to za pilna sprawa zmusza cię do pozostawienia tej damy, której obiecałeś pomóc? – zapytał.

Holmes się zawahał.

– Niestety, nie mogę ci tego wyjawić – odparł. – Ale nie zwlekaj, Vidocq. To niebezpieczny świat. Im prędzej mademoiselle odzyska syna, tym mniej będzie mu groziło. Sugeruję, żebyś się dowiedział, co mój brat ma do powiedzenia. Żegnam.

## 14. Uzbrojeni w kłamstwa

Holmes i ja zdążyliśmy na Euston Station pięć minut przed odjazdem naszego pociągu. Usadowiliśmy się w naszym przedziale pierwszej klasy, który zarezerwował Mycroft, żeby Holmes mógł przestudiować swoje teksty o sztuce, a ja moje informacje o „doktorze Richardzie Laurelu z Harley Street” w całkowitej samotności.

Spakowałem się w pośpiechu, wróciwszy do mojego domu, gdzie wszystkie drobne domowe akcenty mojej żony – koszyczek z robótkami ręcznymi, filiżanki do herbaty w kwiatki i pokrywające się kurzem w słabym popołudniowym świetle pokrowce na meble – wrzeszczały do mnie, że jestem jakimś szaleńcem, który znów rykoszetuje od normalnej rozsądnej egzystencji i wpada w obłądny wir mojego dawnego życia z Sherlockiem Holmesem.

Byłem dziwnie szczęśliwy.

Nie miałem czasu na posiłek. Gdy usiadłem w relatywnym komforcie naszej luksusowej kolejowej kwatery, nieco zdyszany i łaknący karafki wody, a jeszcze bardziej czegoś mocniejszego, w odpowiedzi na moje myśli rozległo się energiczne stukanie w szklane drzwi naszego przedziału.



Otworzyłem je i zobaczyłem stewarda, który trzymał tacę z wodą, kanapkami, herbatnikami i owocami.

– Dzięki uprzejmości pana Mycrofta Holmesa – oznajmił młody człowiek, kiedy wziąłem od niego tacę. – Aha, i jeszcze coś, czego mogą panowie potrzebować.

Wyciągnął z za siebie niezwykły wózek inwalidzki, wymyślnie skonstruowany i elegancko ozdobiony uproszczonymi motywami kwiatowymi, prawie w japońskim stylu, cały wyściełany czerwonymi aksamitnymi poduszkami. Miał mechanizm do składania go jak akordeon, toteż zmieścił się łatwo nawet w naszym małym przedziale.

– Hm – mruknął Holmes, gdy tylko młodzieniec wyszedł. – Jeśli jakiś światowej sławy znawca sztuki potrzebowałby takiego urządzenia, to na pewno miałyby właśnie to.

– Twój brat niewiele pozostawia przypadkowi – zauważyłem.

– Ta przekłeta rzecz utrudni mi śledztwo.

– Mycroft wydaje się radzić sobie całkiem dobrze prawie bez ruchu – odrzekłem. Jego brat prowadził siedzący tryb życia.

– Mój brat całkiem dosłownie ma armię, a czasem też marynarkę wojenną, na każde zawołanie. Ja będę miał tylko ciebie.

– Więc w razie potrzeby będę twoimi oczami i uszami – odparłem.

Holmes uniósł brwi, ale nie odezwał się. Zaczął odpakowywać teczkę od Mycrofta.

– Co właściwie masz nadzieję znaleźć? – zapytałem.

– Nie jestem jeszcze pewien. Dla Mycrofta oczywiście Nike. – Zamachał listem dołączonym do informacji. – Mam zadepeszować do jego ludzi ukrytych w Sommersby, wioski trzydzieści dwa kilometry na południe od posiadłości earla, kiedy posąg tam dotrze. Wtedy wkroczą, żeby dokonać aresztowania.

– Trzydzieści dwa kilometry? Nie można wykorzystać kogoś bliżej, na przykład lokalnych stróżów prawa?

– Istnieje podejrzenie, że mogą być współwinni – wyjaśnił Holmes. – Jest prawdą, że w tych odległych miastach lokalni stróże prawa – czasem od konstabli, aż po sędziów pokoju – mogą być uzależnieni finansowo od rządzących w ich regionie ziemian. W ostatnich latach jest mniej takich przypadków, ale na północy i wzdłuż granicy ze Szkocją...

– Tak, na północy sprawy wyglądają inaczej – przyznałem.

– Jest możliwe, że zostali opłaceni, żeby niczego nie widzieli – powiedział, przebiegając wzrokiem pierwsze strony niczym jastrząb szukający myszy.

– Ale czego się spodziewasz w naszej sprawie?

– Musimy ustalić, dlaczego Emil został odesłany, jaka była tam jego przeszłość i co go czekało. Dopiero wtedy będziemy mogli coś doradzić naszej klientce. Jeśli dziecko było narażone na niebezpieczeństwo lub źle traktowane, a tak podejrzewam, to będziemy musieli zlikwidować to zagrożenie.

– Jeśli earl zostanie aresztowany za kradzież dzieła sztuki, czy to nie wystarczy? – spytałem.

Ale Holmes już był pochłonięty czytaniem. Po chwili spojrział w górę, uświadomiwszy sobie, że moje pytanie zawisło w próżni.

– Najprawdopodobniej stanie przed sądem – odparł. – A Mycroft zamierza go oskarżyć o szereg przestępstw, łącznie z okrucieństwem i wyzyskiem dzieci w jego fabrykach. Czytam tutaj, że w ostatnich latach jego majątek gwałtownie stopniał; być może to spowodowało te czyny. Czy poniesie karę, to inna sprawa. Miałeś już przedsmak tego, jak to działa.

Zadrzałem. Skoro Holmes mógł zostać uwięziony tak po prostu, oznaczało to, że prawem manipuluje się łatwiej, niż kiedykolwiek przypuszczałem. Przyznam, że wstrząsnęło to mną do głębi. W wieku trzydziestu pięciu lat często doświadczałem zderzenia mojego idealizmu z rzeczywistością. Upłynie wiele lat, zanim to się zmieni.

Holmes stwierdziłby zapewne, że nigdy całkowicie nie wyzyłem się optymizmu co do ludzkiego postępowania.

– Są jeszcze inne czynniki, Watsonie. Earl ma podobno bardzo długie ręce. Niewiele wiemy o jego charakterze. Jeśli postrzega mademoiselle La Victoire jako wroga, to ona i być może Emil mogą być w niebezpieczeństwie, dopóki on żyje. Jest jeszcze lady Pellingham. Niewiele wiadomo o niej i jej roli w sprawie. Jest po prostu zbyt mało faktów.

– Zastanawiałem się nad lady Pellingham. Co o niej wiesz w tym momencie?

– Tylko tyle, że jest Amerykanką, że jej duży posag, który zawdzięcza fabrykom tekstyliów swojego ojca w New Jersey,

uratował earla od bankructwa, że jest niezwykle piękna i zadaje szyku podczas pobytów w Londynie swoimi projektowanymi w Paryżu jedwabnymi sukniami i że niestety jest niepłodna po poronieniu – wyrecytował bez ironii Holmes.

– Ha! – powiedziałem.

– Ale nie wiem nic o jej charakterze, a on wiele mówi.

– No, cóż – odrzekłem – wiemy, że ona wydaje się kochać Emila jak syna. A przynajmniej tak twierdzi mademoiselle La Victoire. To świadczy o dobrym sercu.

– Nie jest wcale jasne, że to prawda. Lady Pellingham ma powód pogardzać chłopcem i czuć się zagrożona przez jego obecność – zauważył Holmes. – W tej chwili mamy za mało danych, żeby w pełni rozumieć sytuację. A teraz pozwól, że wrócę do mojej lektury, Watsonie.

Znów zaczął przeglądać papiery, które dostarczył Mycroft.

Z niepokojem otworzyłem akta „doktora Laurela”. Z wielką ulgą zorientowałem się, że jego przeszłość i rysopis są bardzo podobne do moich, z wyjątkiem nazwiska. Nabrałem pewności, że podstęp się powiedzie.

Godzinę później zamknąłem akta, dumny z mojego osiągnięcia. Ta duma trwała krótko. Po takim samym czasie mój towarzysz skończył studiować informacje o earlu i osobie Fritza Prendergasta i przeszedł do czytania grubszego pliku dokumentów na temat greckiego posągu. Przekładał kartki bardzo szybko.

Do wielu umiejętności Holmesa należała zdolność do przyswajania sobie dużej ilości faktów, zachowywania ich w

pamięci i porządkowania, jakby był chodzącą encyklopedią. Wiele z tych faktów było dziwnych i niejasnych, łącznie ze szczegółami dotyczącymi popiołu z cygara i papierosa, wojskowych mundurów i odznaczeń, rodzajów błota i ziemi, fleksji i regionalnych akcentów, perfum i kosmetyków, i mnóstwa innych rzeczy, czego w tamtym czasie nie wiedziałem.

Teraz zapoznał się z informacjami o greckim posągu i legendą Nike w takim tempie, że skończył to zadanie zaledwie godzinę po tym, jak ja skończyłem moje. Odłożył dokumenty i popatrzył ponuro w okno.

– Mniemam, że jesteś teraz dobrze zaznajomiony z Prendergastem i jego domeną – powiedziałem.

– Oczywiście. Jest znawcą greckiego rzeźbiarstwa, a zwłaszcza legendy Nike.

– Ale co z nim samym? – spytałem. Mój doktor Laurel znalazłby oczywiście swojego pacjenta.

– Nic wielkiego. Nieżonaty. Nie klubowiec. Garstka przyjaciół. Najwyraźniej cokolwiek kostyczny, kiedy rozmowa nie toczy się na temat jego hobby.

– To nie powinno stanowić wyzwania.

Minęło kilka minut. Nasz pociąg dudnił. Na dworze gasnące światło nadawało zaśnieżonemu wiejskiemu krajobrazowi niebieską barwę.

– Co spowodowało jego paraliż? Tutaj nie jest to wyjaśnione. – Wskazałem moją cienką teczkę. – Jako twój lekarz, wiedziałbym.

– Wypadł z powozu w wieku dwudziestu lat podczas jazdy przez wieś z jakąś młodą damą. Potem najwyraźniej z nikim się nie związał. Teraz ma czterdzieści cztery lata.

– Dziesięć więcej niż ty. Mogę jeszcze raz zobaczyć fotografię?

Wymizerowany Prendergast patrzył z niej wyniośle ponad okularami w złotej oprawce. Zauważyłem napoleoński gest, „ręka za kamizelką”, który nadawał mu władczy wygląd.

– Sprawia wrażenie pedanta – zauważyłem. – Lub może frankofila. Klasyczna napoleońska poza.

Holmes się uśmiechnął.

– Jest pedantyczny, ale mylisz się w drugim punkcie, Watsonie. On tu nie naśladuje Napoleona. To postawa rodem ze starożytnej Grecji, gdzie uważano, że wygłaszanie mowy z ręką na zewnątrz szaty jest niewłaściwe. On wzoruje się po prostu na tym, co jest przedmiotem jego pasji.

– Hm. Chudy. Prawie zabiedzony. Kokaina, zapewne. – Westchnąłem. – Nie tknąłeś kanapki, Holmesie.

Nagle przestał się uśmiechać i wrócił do swoich studiów.

– Jakie to wygodne, że z Prendergastem nie można się łatwo skontaktować – dodałem mobilizująco.

Wciąż mnie intrygowała gwałtowna reakcja Holmesa na wieść o terapii Prendergasta w Wiedniu. Czy Mycroft rzeczywiście posunął się do tego, że to zorganizował?

Holmes zmienił temat.

– Na pewno ciekawi cię przemysł jedwabniczy – odezwał się.

– Niezbyt.

– Cóż, mnie też nie, ale muszę się teraz dalej zapoznawać z najdrobniejszymi szczegółami dotyczącymi podupadającego przedsiębiorstwa earla. Pozwól, że będę kontynuował.

Holmes wrócił do swoich studiów, a ja odwróciłem się do okna. Płaski teren pod rozległym białym niebem stopniowo zastępowały faliste wzgórza i pola ogrodzone zaśnieżonymi żywopłotami. Krajobraz stawał się coraz bardziej pagórkowaty, gdy podróżowaliśmy na północ, zbliżając się do Krainy Jezior i granicy ze Szkocją. Nagie stare dęby rosły wokół nas, ich czarne gałęzie wyginały się groteskowo w głąb nieprzeniknionej bieli powietrza.

Holmes nadal czytał, coraz bardziej przygnębiony. W końcu zrobił gwałtowny wdech, odrzucił na bok papiery, odwrócił ode mnie głowę i popatrzył w ciemność. Gdybym dobrze nie znał mojego przyjaciela, powiedziałbym, że ukrywa łzy.

– Holmesie, co się stało?

Odwrócił się zaskoczony, jakby zapomniał o mojej obecności. Jego twarz wyrażała smutek.

– Ta historia jest bardziej ponura, niż się obawiałem – odrzekł. – Spójrz na to.

Wręczył mi trzy fotografie.

Nigdy ich nie zapomnę. Troje dzieci, wszystkie martwe, ich małe ciała zastygłe w nienaturalnych pozycjach, jedno w rogu czegoś o wyglądzie boksu dla konia, a dwa na dworze, częściowo przykryte śmieciami i liśćmi.

Żółć podeszła mi do gardła.

– Dobry Boże, Holmesie! Co to jest?

– Naruszenia prawa w fabrykach earla obejmują nielegalne zatrudnianie dzieci, najwyraźniej chłopców werbowanych w jakimś sierocińcu, łącznie z tą trójką na zdjęciach. Każdy zaginął, a ich ciała odkryto w takim stanie, jak widać. Potem zniknęło jeszcze czwarte dziecko.

– Kto wykonał te fotografie? – zapytałem.

– Nie wiadomo. Ale Mycroft dostał je pocztą od anonimowego nadawcy, który wysłał je z wioski jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów dalej.

– Te dzieci wyglądają tak, jakby je... wyrzucono. Prawie jak śmieci!

Trudno mi było znaleźć słowa.

Rysy Holmesa stwardniały. Często myślałem, że choć wydaje się nieczułą maszyną do rozumowania, nie jest to prawda. Holmes miał bardzo głębokie uczucia, lecz potrafił uszeregować swoje emocje, gdy sytuacja tego wymagała.

Przerażający los tych dzieci zdawał się pobudzać mojego przyjaciela. Wyjął ze swojej walizki teatralny zestaw do charakteryzacji i rozłożył potrzebne przybory na siedzeniu obok siebie. Szybko zaczął się przeistaczać fizycznie w Prendergasta, sławnego historyka sztuki.

Po niecałej godzinie stał się nie do rozpoznania. Zrobił to po mistrzowsku, nie zapominając o takich szczegółach, jak kolorowa chusteczka w górnej kieszonce marynarki czy buty z nieużywanymi podeszwami. Pobielił włosy na skroniach, poźółcił lekko zęby i założył złote okulary na nos. Dokończył transformację subtelną zmianą postury i wyrazu twarzy.



Nie miałem już przed sobą Sherlocka Holmesa, lecz zupełnie innego mężczyznę.

– Coś niezwykłego, Holmesie – stwierdziłem, usiłując pozbyć się zatrwających obrazów, które wryły się w mój umysł. – To jedno z twoich najlepszych przebrań.

Na dworze kładły się cienie i niebieskobiały śnieg za oknem naszego zimnego teraz przedziału kolejowego zdawał się unosić w powietrzu w postaci mrożącej krew w żyłach mgły. Nie mogłem się powstrzymać i wzdrygnąłem.

– Spokojnie, Watsonie – powiedział Holmes, i gdy odwróciłem się do niego, przemówił cicho: – Tam, dokąd się udajemy, jest wiele zła; wyczuwasz je i nie mylisz się. Bądź stale czujny.

Dotknąłem rewolweru w kieszeni mojej tweedowej marynarki.

– Jestem gotowy, Holmesie – odparłem.

Usiadł wygodnie i z dziwnym uśmiechem przeistoczył się ponownie w Prendergasta.

– Dobrze... doktorze Laurel – odezwał się nosowym głosem.

Nasz pociąg jechał dalej, gdy zapadła ciemność.

Część V  
BRZUCH WIELORYBA

*Artyści, którzy dążą do doskonałości we wszystkim, to ci, którzy  
nie mogą jej osiągnąć w niczym.*

Eugène Delacroix

## 15. Przyjazd

Nasz przyjazd do Clighton, wielkiej posiadłości Pellinghama, poszedł gładko, zwyczajnie – jeśli wizytę w ogromnej posiadłości earla w Lancashire można uznać za zwyczajną. O ile Holmes bywał w takich kręgach przy wielu okazjach, to ja miałem dużo mniejsze doświadczenie w obcowaniu z ziemiaństwem.

Początkowo mieliśmy się przesiąść w Lancaster z naszego pociągu do lokalnej kolejki, żeby dojechać do najbliższej wioski, Penwick. Jednakże kolejkę zatrzymały ostatnie opady śniegu. Informacja o tym najwyraźniej dotarła do Clighton, toteż kiedy wysiedliśmy w Lancaster, podeszli do nas urękawiczeni lokaje i zaprosili nas do wiekowego, lecz pięknego powozu, ładnie i wygodnie urządzonego w środku, z aksamitnymi poduszkami i pledami dla ochrony przed zimnem. Wózek inwalidzki Prendergasta został sprawnie przypasany z tyłu i ruszyliśmy galopem w drogę, by jechać przez pełną godzinę w gasnącym świetle.

Na północy Brytanii było mroźniej i cieszyłem się, że mam grube palto i wełniany szalik.

W dużej mierze nie znałem Lancashire. Ograniczone od zachodu nierównymi piaszczystymi plażami, tonęło we mgle,

smagane zimnymi wiatrami od oceanu. Mijaliśmy małe miasta przemysłowe, kopalnie węgla i fabryki, które wypluwały nieczystości w lodowate powietrze. Otaczały je przygnębiające, nędzne osady, które w końcu ustąpiły miejsca wzgórzom upstrzonym z rzadka drzewami.

Tych przybywało i stopniowo tworzyły gęste lasy, przydające okolicy atmosfery nieprzeminiętej średniowiecznej Anglii. Ciemny dym z fabryk zniknął w smugach mgły między czarnymi drzewami, gdy nasz powóz toczył się dalej ku posiadłości earla.

Wreszcie wyłoniliśmy się spomiędzy drzew i znaleźliśmy u stóp nagiego wzgórza – czystej, granatowobiałej połaci śniegu, zapewne trawiastego i koszonego w cieplejszej porze roku obszaru. Na szczycie wzniesienia stał okazały dom, Clighton. Wielki jak pałac, z żarzącymi się nocą złociście oknami, wydawał się amalgamatem stylów gotyckiego, tudorskiego i wiktoriańskiego. Tchnął bogactwem, historią i specyficznym gustem.

Wzdłuż długiego podjazdu rosły wiązy i gdy jechaliśmy między nimi w ciemności pod górę, zaskoczył mnie – o tej godzinie i z okazji wizyty zaledwie historyka sztuki? – rząd służących, którzy czekali przy drzwiach, żeby nas powitać. Ubrani tylko w liberie do noszenia wewnątrz, trzęśli się z zimna i naradzali ze sobą.

– Earl musi cię wysoko cenić – szepnąłem do Holmesa.

– Jeszcze nie wspomniałem, Watsonie – odrzekł równie cichym głosem – że Prendergast sam jest baronem, stąd

zaufanie earla do niego, jako do równego sobie. Przynajmniej można przypuszczać, że to pomogło.

– Baronem! – wykrzyknąłem.

– Od czterech lat, za zasługi dla kultury Imperium – wyjaśnił Holmes. – Co niestety oznacza, że jako mój lekarz musisz się do mnie zwracać „milordzie”.

– Dobrze, że mnie uprzedziłeś – powiedziałem. – Zapomniałeś o tym?

– Oczywiście, że nie – odparł z szerokim uśmiechem. – Po prostu nie chciałem dręczyć cię dłużej, niż to konieczne.

– O, to mnie dręczy – przyznałem. – I tylko dlatego, że ciebie będzie to bawiło.

– Każdy ma swoje drobne przyjemności. – Uśmiechnął się. – A, zauważyłem potajemny romans wśród służby. Nie, dwa. Ale jeden właśnie się skończył.

– Skąd, u diabła...

– Watsonie, to aż nadto oczywiste. Widzisz blond pokojówkę z lokami, tam, i ciemnowłosego lokaja dwie osoby od niej w rzędzie? Podał jej liścik, kiedy zajmował swoje miejsce w szeregu, a ona... O!

Nasz powóz się zatrzymał. Młody człowiek w liberii podbiegł do nas z wyrazem gorliwości na szczerej twarzy i otworzył drzwi. Skłonił się nisko.

– Witam, milordzie. I doktorze Laurel. Jeffrey, do usług. Czy możemy pomóc panom opuścić powóz?

Kilku służących pomogło wnieść po schodach Holmesa w wózek inwalidzkim i dotarliśmy do imponujących dębowych

drzwi. Czekał tam na nas wysoki, elegancki majordomus, który przedstawił się jako Mason. Schylił lekko głowę.

– Witam w Clighton, milordzie.

Mason budził jednocześnie szacunek i onieśmienie. Wyczułem, że taksuje nas szybko wzrokiem, obrzucając dyskretnym spojrzeniem nasze twarze, ubrania i postury – pozornie wcale tego nie robiąc. Cieszyłem się, że moje fałszywe wcielenie jest tak podobne do prawdziwego. Mój strój, łącznie z butami, został odpowiednio dobrany.

Holmes i jego brat bardzo się przyłożyli do ubrania Prendergasta i byłem im za to głęboko wdzięczny. Holmes często mówił, że dla uważnego obserwatora ubranie to niezawodna oznaka klasy, zawodu i charakteru. Wyższym sferom i ich służącym zdradza ono prawie wszystko.

Wtoczyłem Holmesa imponującym wejściem do wielkiego holu. Prowadził przez starą część rezydencji do głównej sali, gdzie czuło się historię. Ogromne pomieszczenie w średniowiecznym stylu mogło pochodzić z końca XV wieku. Na niskim kamiennym murze spoczywały belki, podłoga z kamiennych płyt była tu i ówdzie nierówna, ale gładka w miejscach, gdzie przez setki lat wydeptywały ją ludzkie stopy. W górze przestrzeń przecinało pięć belek wspornikowych z wyrzeźbionymi na końcach aniołami, które patrzyły na to, co dzieje się poniżej z rozbawionymi minami cherubinków.

Cuchnęło stęchlizną, i choć wszystko było wypolerowane do czysta, ogień płonący przez setki lat w rozległym palenisku na jednym końcu i biesiady z tańcami z udziałem setek niemytych

ciał pozostawiły po sobie dziwnie niezdrowe, zadymione powietrze.

– Ta część domu ma ponad czterysta lat – wyjaśnił Mason. – Jest teraz rzadko wykorzystywana, tylko do dużych zgromadzeń. Każę Jeffreyowi odprowadzić panów do ich pokoi w nowszym skrzydle, gdzie znajdą panowie mały poczęstunek po podróży i będą mogli przebrać się w wolnej chwili. Kolacja zostanie podana za godzinę w jadalni i Jeffrey wróci po panów.

– O, Tycjan! – wykrzyknął Holmes, gdy toczyłem go za Masonem do nowszego skrzydła. – Zatrzymajmy się tutaj! – Popatrzył na obraz z żywym zainteresowaniem. – Wspaniały okaz. Podobny do *Mężczyzny z rękawiczką*, który wszedł w posiadanie Francuzów po tym, jak nasz nieszczęsny Karol I został ścięty, tylko że ten jest lepszy. Widzę, że o kilka lat późniejszy. Bardzo niewiele portretów pędzla Tycjana ocalało. Tego się spodziewałem po earlu. A przy okazji, gdzie on jest?

– Obecnie odpoczywa i powita panów przy kolacji – odrzekł majordomus, nie rozwijając tematu. – Ale to jest nabytek jego ojca, zmarłego earla – dodał sztywno. On również patrzył na obraz z podziwem. – To, co pan zobaczy w starszym domu i części późniejszego skrzydła, jest kolekcją ojca. Obecny earl umieścił wszystkie własne, nowsze nabytki w sali Palladium pod kluczem.

Wydało mi się, że uchwyciłem nutkę niechęci i zastanawiałem się dlaczego.

– Jego lordowska mość będzie pierwszą osobą spoza rodziny, która zobaczy kolekcję w całości.

– To dla mnie zaszczyt! – wykrzyknął Holmes nosowym, wysokim głosem, który wymyślił dla Prendergasta. – Oczekuję tego z wielką przyjemnością. A teraz muszę trochę odpocząć przed kolacją.

Majordomus zadzwonił na lokaja.

– Mniemam, że podpisał pan z earlem umowę, że nie ujawni pan tego, co pan tutaj zobaczy? – powiedział zniżonym głosem. – Czuję się w obowiązku zapytać, milordzie. Earl ma ostatnio dużo na głowie.

Zastanawiałem się, czy to właściwe, że majordomus zadał takie pytanie swojemu znamienitemu gościowi, i Holmes zareagował. Na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz pogardy.

– To prywatna sprawa – odparł lodowato. – Chcę teraz odpocząć.

– Jak pan sobie życzy, milordzie – odrzekł Mason.

Po chwili zostaliśmy zaprowadzeni do sąsiadujących ze sobą pokoi przez lokaja Jeffreya, który pomógł nam przy naszych bagażach.

Holmes zajął miejsce przy oknie i popatrzył w ciemność, gdzie wiązy wzdłuż długiego podjazdu były ledwo widoczne na tle niebieskiej połaci śniegu. Jeffrey i ja rozpakowaliśmy walizki i powiesiliśmy nasze ubrania w każdym z dwóch pokoi.

– Coś jeszcze, milordzie, lub... panie? – zapytał.

– Nie, dziękujemy – rzekłem, chcąc, żeby już wyszedł.

– Chłopcze – zwrócił się do niego Holmes. – Jest jedna sprawa. Potrzebuję fachowej pomocy. Moje dobre buty uległy



zniszczeniu podczas podróży. Kto ze służby może mi najlepiej pomóc?

– Mogę je wyglansować, milordzie – zaproponował Jeffrey.

– Nie! – krzyknął Holmes, aż chłopak podskoczył. – To są bardzo delikatne buty z Włoch. Potrzebuję kogoś, kto zna się na pielęgnacji skóry.

Chłopak rozejrzał się nerwowo wokół siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Ale Holmes wiedział, jak uspokoić służącego. Podjechał do przodu.

– Młody człowieku – odezwał się uprzejmie, wciskając monetę w dłoń chłopaka – twoja pomoc byłaby bardzo cenna. Chyba jest tu ktoś, kto zna się dobrze na skórze?

– Kamerdyner earla, Pomeroy – odrzekł Jeffrey. – To wyjątkowa umiejętność, tak, milordzie. Przyślę go tutaj, gdy tylko będzie wolny.

– Doskonale – rzucił Holmes.

Kiedy tylko Jeffrey wyszedł, odwrócił się do mnie z triumfalnym uśmiechem.

– Nasz podejrzany sam do nas przyjdzie. Człowiek, który zagroził naszej klientce nożem garbarskim, na pewno zna się na skórze.

## 16. Potrzebne naprawy

Kilka minut później rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Ciemnowłosy, blady, umięśniony mężczyzna przed trzydziestką miał szczerą twarz. Ubrany w liberię, sprawiał wrażenie, że można na nim polegać. Przedstawił się jako Pomeroy. Zaprosiliśmy go do środka i Holmes pokazał mu jeden, bardzo delikatny but, który celowo zniszczył haczykiem do zapinania guzików.

Pomeroy wziął but do ręki i obejrzał go dokładnie.

– Niestety, rysa jest głęboka, milordzie – oświadczył. – Ale może będę mógł pomóc.

– Watsonie, zarygluj drzwi – polecił Holmes. – A teraz, panie Pomeroy, niech pan uprzejmie postawi but na podłodze. Wezwaliśmy pana tutaj z zupełnie innego powodu.

Pomeroy podniósł wzrok, zaskoczony.

– Chodzi o Emila – wyjaśnił Holmes – syna earla. Jak rozumiemy, miał go pan przyprowadzić w to Boże Narodzenie do Browna na spotkanie z jego matką, panną Emmeline La Victoire – którą być może zna pan jako Cherie Cerise – ale zostało to odwołane.

– Ja... ja... – wyjąkał kamerdyner, cofając się.

– Powiedziano nam, że chłopiec „wyjechał” na jakiś czas.

– Ja nic o tym nie wiem! – wykrztusił kamerdyner. Jego głos przybrał wysoki ton i zmienił się w jęśliwy szept: – Proszę!

– Niech pan się uspokoi. Jeśli powie nam pan to, co chcemy wiedzieć, nie ujawnimy pańskiej tajemnicy. Ale wiemy, że jest pan współwinny. Gdzie jest Emil?

– Kim panowie są? – wyjąkał.

Holmes westchnął.

– Nazywam się Sherlock Holmes, a to jest doktor Watson. Jesteśmy tu, żeby pomóc panu... i Emilowi, i działamy w imieniu mademoiselle La Victoire. Ale jeśli pan nas zdradzi, to na własne ryzyko. Gdzie jest teraz chłopiec?

– Emil? – zapytał głupio mężczyzna. – Ja naprawdę nic nie wiem, sir.

Zachowanie Holmesa zmieniło się.

– Do diabła, człowieku! Gdzie pan był w ostatnią środę wieczorem?

– Tu... tutaj!

Pomeroy dał nura do drzwi. Stałem przed nimi i zablokowałem mu drogę ucieczki.

– Czy pańska młoda panna potwierdzi to? – spytał Holmes.

Pomeroy zbladł.

– Tak, pokojówka z blond lokami?

Ach, to Pomeroya i tę dziewczynę zauważył Holmes, kiedy tu wjechaliśmy.

– Nellie! Skąd pan...? Och, proszę, sir...

– Przypuszczam, że był pan w Paryżu, nieprawdaż? Czy to wygląda znajomo?

Holmes wyjął dziwne narzędzie, „chochlę z ostrą krawędzią”, jak to opisała mademoiselle La Victoire, i przysunął je do twarzy Pomeroya. Garbarski skrobak do suchego wyprawiania skóry. Musiał go zdobyć w Londynie z myślą o tej chwili.

Pomyślałem, że to trochę teatralne, ale odniosło zamierzony skutek.

Pomeroy jęknął i kolana ugięły się pod nim. Złapałem go, kiedy się osuwał na podłogę, i posadziłem.

– Groził pan mademoiselle La Victoire. Dlaczego? I co pan zrobił z jej synem?

– Nigdy bym jej nie skrzywdził – odrzekł mężczyzna z oczami pełnymi łez. – Ona jest... uroczą kobietą. I kocha swojego syna. Chciałem ją tylko ostrzec.

– Tak myślałem. Przed czym?

– Ona jest silną osobą. Bałem się, że będzie próbowała odnaleźć Emila. A gdyby to zrobiła... Chciałem tylko pomóc im obojgu. Ona go tak bardzo kocha!

– Chciał pan dobrze – pochwalilem i poklepałem go po ranieniu.

– Watsonie, proszę! – powiedział Holmes. – I to był pański pomysł, żeby ukryć chłopca w Londynie? Porwać go, że się tak wyrażę?

– Nie! Nigdy bym tego nie zrobił! To był pomysł jego matki. – Widząc, że jesteśmy zdezorientowani, a przynajmniej ja, wyjaśnił: – To znaczy, lady Pellingham. Poprosiła mnie o pomoc.

– Lord i lady Pellingham wydają się całkowicie polegać na panu – zauważył oschle Holmes. – Jak to jest, że powierzono

panu dobro tego dziecka dziesięć lat temu? Musiał pan mieć wtedy... ile, osiemnaście, dziewiętnaście lat?

Pomeroy zwiesił głowę.

– Uratowałem psa rodziny z potrzasku i wyleczyłem go.

Holmes popatrzył na niego surowo.

– I wyświadczyłem im kilka innych przysług. Od tamtej pory...

– Tak, tak. Czy earl lub lady Pellingham wiedzieli, że pan co roku zabiera chłopca na spotkanie z jego prawdziwą matką?

Pomeroy zbladł.

– Tylko jego lordowska mość. Lady była informowana, że to wyprawy po osobiste zakupy, ubrania, prezenty świąteczne i temu podobne.

– Pozwalała dziecku podróżować do Londynu po zakupy? – zapytał z niedowierzaniem Holmes.

– Eee... to było później. Jego lordowska mość powiedział, że chce także, żeby chłopiec był co pół roku badany przez jego londyńskiego lekarza.

– Hm. Ale po co go teraz ukrywać? – spytałem.

– Dojdziemy do tego, Watsonie – warknął Holmes i odwrócił się do Pomeroya. – Gdzie jest dziecko?

Na twarzy Pomeroya odmalowało się kolejno kilka uczuć. W końcu wyznał:

– W Londynie. Bezpieczne.

– Gdzie dokładnie?

– U mojej siostry i jej męża.

– Charlesa i Merielle Eagletonów?

- Tak. Skąd...?
- Nóż. Garbarski. W Bermondsey?
- Tak.
- Dlaczego lady Pellingham poprosiła pana o ukrycie chłopca?
- zapytał ostro Holmes podniesionym głosem.
- Ciii! – syknąłem.
- Ona... moja pani... powiedziała mi, że tutaj czai się niebezpieczeństwo. Nellie i ja też je wyczuwamy.
- Jakie niebezpieczeństwo? Szczegóły, człowieku! – rozkazał Holmes.
- Lady Pellingham nie powiedziała. Nie mogę jej wypytywać, sir.
- Oczywiście. Ale coś pan zaobserwował. Niech pan to opisz.
- Pomeroy zaczął się trząść. Holmes stanął nad nim, pochylił się i czekał na wyjaśnienia.
- Nellie pierwsza to zauważyła. Emil ostatnio się zmienił. Zawsze był pogodnym dzieckiem – rozmownym, przyjaznym. Czytał. Ale niedawno przestał się uśmiechać. I przestał... mówić.
- Czy earl to skomentował? – spytał Holmes.
- Nie jestem pewien, czy to dostrzegł, sir – odrzekł młody człowiek. – Ma dużo na głowie...
- Ktoś zapukał do drzwi. Pomeroy aż podskoczył i wszyscy zamarliśmy.
- Milordzie? – To był majordomus. – Czy kamerdyner earla jest u pana?

– Jest! – zawołał Holmes wysokim głosem Prendergasta. – Wezwałem go w sprawie moich butów! – Potem, *sotto voce*, zwrócił się do Pomeroya: – Będziemy kontynuowali po kolacji. Ani słowa o tym, bo pana wydamy.

Pomeroy skinął drętwo głową.

– Ufam, że się przydał? – dobiegł głos Masona.

Holmes odprawił gestem przerażonego kamerdynera. Pomeroy otarł łzy i wciągnął spazmatycznie powietrze. Ruszył do drzwi, zapomniawszy buta. Złapałem go za rękaw i wręczyłem mu trzewik. Wziął go z ulgą i otworzył drzwi. Mason spiorunował kamerdynera wzrokiem.

– A więc?

– Tak, sir – powiedział Pomeroy. – Mogę pomóc milordowi, sir.

Majordomus przyjrzał mu się uważnie i pozwolił mu przejść. Ociągał się przy wejściu do naszych pokoi. Zobaczywszy, że jeszcze nie jesteśmy ubrani do kolacji, uniósł brew.

– Mam polecenie zaprowadzić panów do jadalni. Życzą sobie panowie pomocy przy ubieraniu? Mogę kogoś przysłać.

– Dziękujemy, poradzimy sobie – odparłem.

– Będę czekał na panów w holu – oznajmił majordomus. – Łatwo się zgubić w tym domu – dodał.

Zamknął drzwi.

– Do diabła – szepnął Holmes. – Po kolacji musimy zgubić tego podstępного typa, żeby kontynuować naszą rozmowę z Pomeroyem. A teraz, szybko, ubierajmy się. Potem coś ci pokażę.

– On czeka na nas, Holmesie! – przypomniałem.

– Pamiętaj, że jestem „sparaliżowany”. Ubieranie zajmuje czas. Ale pospieszmy się!

– Ten Mason przykleił się do nas – stwierdziłem, gdy zacząłem wyjmować mój strój wieczorowy. – Myślisz, że coś podejrzewa?

– Nie. Biała muszka, Watsonie, nie tamta. On jest urodzonym psem łańcuchowym, lojalnym wobec rodziny ponad wszystko. Earl jest wrażliwy na punkcie swoich nabytków z dziedziny sztuki. Ja pierwszy je zobaczę. Jest ostrożny, to wszystko.

– Przypuszczam...

– Ty możesz przypuszczać, ja tego nie robię. Szybko, człowieku. „Bulterier” czeka.

Wszedłem do mojego pokoju i przebrałem się prędko. Ale Holmes okazał się szybszy. Gdy wróciłem do niego, był już gotowy i rozpościarał na łóżku jakiś duży papier. Przywołał mnie gestem i zobaczyłem szczegółowy plan rezydencji.

– Jak Mycroft to zdobył? – zapytałem, pełen podziwu dla zaradności braci Holmesów. – W waszym rodzinnym domu chyba nic nie było bezpieczne!

Holmes nie raczył odpowiedzieć. Wskazał plan.

– To istny labirynt. Przyjrzyj się dobrze, Watsonie.

– Co nam to teraz da? Przecież nie możesz tu chodzić.

Westchnął.

– Nie. Ale ty możesz.

Skupiłem uwagę na planie. Pokazywał gęszcz korytarzy i różnych pomieszczeń. Studiowaliśmy go przez kilka minut – do



diabła z Masonem – a potem udaliśmy się na kolację z majordomusem na czele.

## 17. Na łonie rodziny

Wkrótce potem majordomus doprowadził nas drogą z wieloma skrętami do jadalni. Wózek inwalidzki nie mieścił się łatwo w starym domu i zajęło to trochę czasu.

Kiedy dotarliśmy do jadalni, Mason odwrócił się do mnie i oznajmił:

– Zajmę się lordem Prendergastem za pana, doktorze. Może pan zjeść z personelem lub jeśli pan sobie życzy, przyślę kolację do pańskiego pokoju.

Zatem uznał mnie za służącego! Zacisnąłem zęby.

– Mason – wtrącił się ostrym tonem Holmes – doktor nie jest moim służącym, lecz zaufanym znajomym i kolegą, odznaczonym bohaterem wojennym. To, co pan proponuje, jest nie do pomyslenia. Będzie jadł ze mną albo nie będziemy jedli w ogóle.

Mason przełknął zaskoczenie i skłonił się uprzejmie. Ostatecznie Prendergast był baronem.

– Jak pan sobie życzy, milordzie. Poinformuję o tym earla.

Odwrócił się i szybko kazał jednemu z członków personelu przygotować dodatkowe miejsce przy stole.

Jadalnia była ogromna, wyłożona grubą boazerią, po obu stronach wisiał rząd obrazów. Na stole znajdowało się dość

porcelany, kryształów i sreber, by dorównać wartością średniej wielkości willi w Mayfair. Przygotowano sześć miejsc. Zapalono świece i migotliwe płomienie odbijały się w lśniącej zastawie.

Zaproszono nas w jeden koniec sali, gdzie stały trunki. Służący nalał sherry każdemu z nas. Holmes zauważył za kredensem wysoki, raczej niepokojący portret.

– Cóż za piękny Géricault! – wydyszał z podnieceniem. – Przypomina jeden z portretów, które ukończył w szpitalu psychiatrycznym. Zwłaszcza *Portret kleptomana!*

Służący, który nalewał nam trunek, wzdrygnął się, odszedł szybko i naradził z majordomusem. Nachyliłem się do Holmesa i szepnąłem:

– Przesadzasz z wiarygodnością! W jakim celu?

– Zapewniam cię, że wszystko, co mówię, jest prawdą – odrzekł z szelmowskim uśmiechem. – Taki portret rzeczywiście istnieje!

Majordomus o sokolim wzroku krążył wokół stołu, poprawiał precyzyjnie zastawę i sporadycznie zerkał na nas. Prawdopodobnie liczył srebra. *Portret kleptomana*, w rzeczy samej.

Z trunkiem w dłoniach, wciąż czekaliśmy na earla.

Minęło pięć minut. Weszli następni służący i stanęli pod wyłożonymi ciemną boazerią ścianami. Za nimi wisiały inne ponure portrety i patrzyły smętnie na salę. Kroki tłumił gruby dywan. Majątek wielu pokoleń zdawał się unosić w powietrzu niczym kurz.

Mimo mojej ciekawości co do earla obawiałem się, że to będzie długi wieczór. Stłumiłem ziewanie.

Boczne drzwi jadalni otworzyły się z hałasem i przestraszeni służący natychmiast się poprawili. Niski, ale muskularny, może pięćdziesięcioletni mężczyzna przy kości wtargnął do sali niczym podmuch wiatru. Miał rumiane policzki, szczerą twarz i przyjazną minę.

– Baronie! – krzyknął, podchodząc do Holmesa z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem, który nadawał mu wygląd przerośniętego rozentuzjasmowanego dziecka. – Witamy w naszych skromnych progach – zagrzmiał i roześmiał się z własnego żartu.

Amerykanin. Ojciec lady Pellingham bez wątpienia.

– Pan Strothers, jak mniemam – odrzekł cicho Holmes z obojętnością barona, który spędza czas w muzeum. – Bardzo mi miło. – Potrząsnął słabo dłonią mężczyzny.

– Zgadza się. Daniel G. Strothers z Nowego Jorku i New Jersey. Znajomi mówią mi Danny. Przyjechałem na ślub.

– I postanowił pan zostać? – zapytałem.

– Córka nalegała. Przydaję się, i niech mnie kule biją, jeśli mi się tu nie podoba! Mój zięć stara się mnie wykształcić w dziedzinie sztuki, ale obawiam się, że to przegrana bitwa.

Holmes uśmiechnął się uprzejmie.

– Słyszałem, że naprawdę zna się pan na sztuce – ciągnął Strothers. – Chyba ma pan mnóstwo czasu na studia, unieruchomiony na tym wózku. Co się stało?

Holmes popatrzył na niego wyrozumiale.

– Wypadek. Dawno temu. Powóz. Ale przystosowałem się.

– Przytrafiło się mojemu znajomemu. Pieruńska szkoda! Więc jest pan sparaliżowany?

– Mhm – przytaknął Holmes i odwrócił wzrok.

Strothers potrzebował nie tylko wykształcenia w dziedzinie sztuki, żeby nabrać ogłady. Ale to mnie nie obchodziło; jego szczere spojrzenie i miły uśmiech natychmiast sprawiły, że poczułem się swobodnie. Co do Holmesa, to nie pokazywał klasy, jeśli nie miało to znaczenia dla śledztwa.

– Przepraszam – powiedział Amerykanin, wyczuwając, że się zagalopował, i odwrócił się do mnie. – A pan jest kim? – spytał z uśmiechem. Amerykańska prostolinijność.

Zawahałem się na ułamek sekundy i Holmes szybko mnie wyręczył.

– To jest doktor Laurel, mój lekarz, a także przyjaciel.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Strothersa była ciepła i silna.

– Pan, Laurel, też jest znawcą sztuki? – zagadnął z uśmiechem.

– Kiepskim – odparłem.

– Zatem myśliwym? Sportsmenem? – zapytał z nadzieją. Przyszło mi na myśl, że ojciec lady Pellingham jest tak samo nie na miejscu w tej dusznej sali jak ja.

– Lubię strzelanie – odrzekłem.

– To rozumiem! – wykrzyknął. – To wspaniała okolica do tego. Dziś po południu upolowałem trzy ptaki! W tę pogodę, niech pan sobie wyobrazi. Może wybierzemy się jutro.

Sytuacja wyglądała coraz lepiej.

Zaanonsowano pana Fredericka Bodena i dołączył do nas sztywny, dobrze zbudowany mężczyzna pod czterdziestkę. Jego prosta postawa i świeżo wyprasowane ubranie świadczyły o wojskowej przeszłości. Był przystojny, ciemne krzaczaste brwi, wąsy i blizna po pojedynku na policzku nadawały mu groźny i nieco brutalny wygląd. Na moje lekarskie oko rana musiała być poważna i odniesiona dawno, ale umiejętnie wyleczona.

Został poczęstowany alkoholem, ale odmówił. Jego tenorowy głos kontrastował silnie z męską aparycją.

Holmes się oddalił i zaczął robić Strothersowi wykład o Géricaulcie. Spróbowałem nawiązać rozmowę z drugim mężczyzną, ale okazało się to trudne; był tak zainteresowany częstą pogawędką jak Holmes, więc poruszyłem temat armii, zakładając, że służył w wojsku. Boden w końcu wspomniał, że brał udział w bitwie pod Abu-Kleą.

– A, czworobok! – wykrzyknąłem. – Niezwykły wyczyn!

Siły brytyjskie, mimo dużej przewagi liczebnej przeciwnika, odniosły tam zwycięstwo dzięki sformowaniu nieprzeniknionego czworoboku. Bitwa była sławna; Boden musiał uczestniczyć w ekscytującej akcji. Ale nie dał się sprowokować do opowieści o tym.

– Służyliśmy, kiedy byliśmy potrzebni – odpowiedział chłodno na moje zapytanie. Potem uśmiechnął się sztywno, jakby po namyśle.

Było w nim coś dziwnego. Postanowiłem spróbować pociągnąć go za język. Miał akcent uprzywilejowanego i

wykształconego człowieka. Czując, że Holmes byłby dumny z moich wniosków, kontynuowałem.

– Zatem co pana sprowadza do Lancashire? – zagadnąłem.

Spojrzał na mnie ostro, a potem, jakby świadomym gestem, ukrył wyraz twarzy.

– Zostałem zaangażowany do nadzorowania sześciu fabryk earla – odparł.

Zatem pracownik? A jednak wyraźnie wysoko urodzony. Kim on jest i dlaczego zaproszono go na taką kolację u earla?

– Wyświadczyłem earlowi przysługę, oczywiście – dodał, jakby czytał w moich myślach. – Moja rodzina posiada ziemię gdzie indziej.

Czyjś drugi syn, domyśliłem się – w czepku urodzony, ale bez towarzyszącego temu majątku. Tacy mężczyźni często szli do wojska, wcielani jako oficerowie, i zachowywali swoje przywileje podczas służby, a po powrocie czekały na nich preferowane stanowiska.

– Rozumiem, że powiodło się panu – powiedziałem. – Jedwab earla jest uważany za najlepszy w kraju.

Popełniłem błąd. Jego ton stał się lodowaty.

– Pan Strothers jest bardzo utalentowanym przedsiębiorcą. Wykorzystując jego gwarantujące sukces strategie, przywróciłem interesom earla – w tym należącemu do mniejszych jedwabnictwu – ich poprzedni stan. Dlatego earl może nadal być mecenasem sztuki, jak przed nim jego ojciec i dziadek.

– Eee... to bardzo dobrze – wymamrotałem.

– Inaczej ani lorda Prendergasta, ani pana nie byłoby tutaj.  
Zrobił pauzę, jakby czekał na podziękowania.

Milczałem. Zastanawiałem się, czy ten człowiek może być w jakiś sposób powiązany z tajemniczymi zniknięciami i zgonami wokół fabryki jedwabiu. Po kilku sekundach zaryzykowałem ponownie.

– Ile fabryk teraz pan nadzoruje, panie Boden? – zapytałem.

– Żadnej. To była tylko krótkotrwała przysługa. Teraz jestem lokalnym sędzią pokoju.

Dziwne. Ale jakie on ma tu teraz powiązania? Postanowiłem się dowiedzieć. Może jest towarzyszem Amerykanina do polowań i jego przyjacielem, choć różnią się osobowościami jak noc i dzień. Ale w końcu można to powiedzieć o wielu przyjaźniach.

– Poluje pan? – zagadnąłem. – To moje zamiłowanie. Pan Strothers wspomniał, że jest tu dużo zwierzyny.

– Owszem, poluję – przytaknął. – Poniękad. Głównie na jelenie. W przeciwieństwie do pana Strothersa, nie jestem zainteresowany drobną zwierzyną. – Uśmiechnął się, a potem gwałtownie odwrócił. – Zmieniłem zdanie – warknął do jednego ze służących. – Nalej mi sherry.

Choć w jego słowach nie było nic niestosownego, ulżyło mi, że nasza rozmowa się skończyła. Ten człowiek wywoływał u mnie niepokój. Emanował czymś, czego nie potrafiłem dokładnie określić, ale wyczuwałem pewną skłonność do przemocy.

Byłem ciekaw, czy Holmes zauważył to samo. Wydawał się całkowicie pochłonięty ożywioną rozmową ze Strothersem,



usiłując mu objaśnić jakiś szczegół innego ponurego portretu w pobliżu. Ale gdy Boden odszedł ode mnie po trunek, zobaczyłem, jak Holmes zerka badawczo na niego.

Boden i ja przez kilka następnych minut słuchaliśmy w krępującym milczeniu wykładu Holmesa o sztuce, a nasi gospodarze wciąż się nie zjawiali. Choć w pewnych kręgach mógł być zwyczaj oczekiwania na efektowne wejście, teraz graniczyło to z niegrzecznością.

Wreszcie drzwi do jadalni zostały szeroko otwarte i cisza zapadła w sali. Gdyby rozległy się fanfary, nie byłoby to wcale nieodpowiednie. Długim korytarzem zbliżał się nasz gospodarz. Szedł wolno z wystudiowanym dostojeństwem. Okazało się, że jest sam.

Earl był wysoki, dobrze zbudowany, jasnowłosy i wciąż niezwykle przystojny w wieku prawie pięćdziesięciu lat. Miał na sobie drogi strój wieczorowy, jednocześnie modny i przypominający minione czasy. Kamizelka była ręcznie haftowana, a frak po mistrzowsku uszyty w Londynie.

Jego wolny chód dawał nam mnóstwo czasu na chłonięcie przepychu, który wyraźnie miał nadzieję roztaczać.

Postawa earla emanowała arogancją, połączeniem wielkopaństwa, pretensjonalności i energii, charakterystycznymi dla najgorszych przedstawicieli jego klasy. Na jego twarzy malowało się lekceważenie, leniwe ruchy zdawały się obliczone na wywoływanie irytacji. A może po prostu byłem głodny jak wilk.

Earl w końcu wszedł do sali i służący dostrzegalnie zeszywnieli. Strothers odwrócił się do swojego zięcia.

– A, jesteś, Harry, mój chłopcze! Wreszcie jemy! Zabierajmy się do tego!

– Danielu – skwitował to earl z chłodną uprzejmością, po czym odwrócił się do nas wszystkich i utkwiał wzrok w przestrzeń nad naszymi głowami.

– Lady Pellingham jest niedysponowana – oznajmił. – Być może dołączy do nas później.

Potem odwrócił się wolno do mojego przyjaciela.

– Lordzie Prendergast. Witam w Clighton. To wielka przyjemność, móc pana wreszcie poznać.

Uśmiechnął się apatycznie. Najwyraźniej uchodziło to za entuzjazm wśród parostwa. Natychmiast poczułem niechęć do niego.

Czterech służących podeszło do stołu i odsunęło krzesła dla nas, gdy piąty prowadził nas do naszych wyznaczonych miejsc. Holmes został dotoczony do honorowego miejsca na prawo od earla. Bodena posadzono przy nim, a Strothersa naprzeciwko. Mnie skierowano obok Strothersa. Krzesło lady Pellingham, na wprost earla, pozostało puste.

Earl usiadł wolno na swoim miejscu przy stole. Pozostali zrobili kolejno to samo. Zawahałem się, niepewny, jaki jest protokół.

– Niech pan siada... Laurel, tak? – powiedział lekceważąco earl.

Odwrócił się do Holmesa.

– Nie będziemy czekać na lady Pellingham. Szczerze mówiąc, znając nasze wspólne zainteresowanie, mogłaby być znudzona naszą rozmową. Zaczniemy bez niej.

Skinął do służących, żeby zaczęli podawać, i z powrotem skupił uwagę na Holmesie.

– Rozumiem, że spodobał się panu Tycjan mojego ojca – zwrócił się do niego, wreszcie ożywiony. – Nabyłem jeszcze dwa, lepsze od tamtego.

– Lepsze?! – wykrzyknął Holmes. – Chętnie je zobaczę! Z jakiego okresu?

Kolacja upływała wyłącznie na rozmowie o kolekcji sztuki earla i jej wspaniałościach. Sytego jedzenia było w bród: zupa żółwiowa, jedno danie z owoców morza, potem drugie. Nie musiałem się odzywać; earl i Holmes dominowali przy stole, rozmawiając z coraz większym ożywieniem o sztuce wśród brząkających ciężkich srebrnych sztućców i cichych ruchów służących.

Kiedy jako czwarte danie podano ostrygi, zerknąłem na Holmesa. Nie lubił tych śliskich stworzeń i usiłował to ukryć. Wtem drzwi znów się otworzyły i lady Pellingham weszła do sali.

Wszyscy spojrzeli na nią. Ubrana według najnowszej paryskiej mody w ciemnoróżową jedwabną suknię, która podkreślała bladość jej delikatnej twarzy i odcień blond włosów, dorównywała urodą naszej klientce, choć całkowicie się różniły. W przeciwieństwie do jej krzepkiego ojca, była porcelanową lalką o talii osy, delikatnych nadgarstkach, jasnych

lokach i łagodnym wyglądzie. Weszła szybko, zatrzymała się na chwilę przy earlu i wymamrotała przeprosiny.

Earl popatrzył na nią chłodno, ale z pewną troską.

– Czujesz się lepiej? – zapytał, ujął jej dłoń i poklepał ją.

Cofnęła gwałtownie rękę. Potem, żeby to ukryć, uśmiechnęła się do męża.

– Tak, owszem, dziękuję.

Usiadła prędko na swoim miejscu u szczytu stołu.

Earl się uśmiechnął.

– Moja żona jest jak paproć. Mało je i wydaje się żyć powietrzem.

Jej ojciec zachichotał.

– Zawsze tak było. Jedz, Annabelle, bo ulecisz.

Lekki rumieniec wystąpił na policzki lady Pellingham po tych słowach, lecz odwróciła się do Holmesa z wymuszonym uśmiechem. Miała amerykański akcent, ale dużo słabszy niż jej ojciec.

– Lordzie Prendergast. Doktorze Laurel. Witam. Proszę mi wybaczyć spóźnienie. Oczywiście bardzo mi miło widzieć pana. Mój mąż dużo mówił o pana rozległej wiedzy.

Gdy kolacja trwała dalej, zauważyłem dwie rzeczy. Lady Pellingham mało mówiła i prawie nic nie jadła. Sprawiała wrażenie przygnębionej. Jej mąż i ojciec byli zaniepokojeni, spoglądali na nią z troską i na przemian zachęcali ją a to do mówienia, a to do jedzenia, a to do odprężenia się.

W pewnym momencie Holmes zdołał zagadnąć ją o jej rodzinę. Wyjaśniła, że jej matka nie żyje od wielu lat. Gdy to

powiedziała, cień smutku przemknął po twarzy jej ojca, ale jej zachowanie skrywało bardziej skomplikowane uczucia. Smutek i... może gniew?

Holmes zmienił temat.

– Rozumiem, że pani i earl jesteście szczęśliwymi rodzicami chłopca.

Lady Pellingham upuściła z hałasem widelec.

– Jest teraz nieobecny – odrzekła, gdy doszła do siebie.

– Cierpiał na chroniczny kaszel – wytłumaczył earl. – Annabelle postarała się, żeby przezimował w cieplejszym klimacie, czyż nie, moja droga?

Strothers parsknął.

– Osłabia chłopaka. Zły pomysł!

– Mam nadzieję, że to nie gruźlica – wtrąciłem się.

Earl i jego żona posłali mi jadowite spojrzenia. Popełniłem *faux pas*. W tych kręgach gruźlicę uważano za chorobę biedoty, ale wiedziałem, że cierpi na nią wiele utytułowanych osób.

– Oczywiście, że nie – odparła lady Pellingham. – Jest pod dobrą opieką.

Wkrótce potem przeprosiła, wstała od stołu i wyszła, zapewne do swojego pokoju.

Bardziej wyczułem, niż zauważyłem rozczarowanie Holmesa. Ale kontynuował, jakby nic się nie stało. Pod koniec posiłku udało mu się nakłonić earla do pokazania mu prywatnej kolekcji – jeszcze tego wieczoru, zaraz po kolacji – bo nie może się doczekać.

Ku mojemu zaskoczeniu earl przystał na to. Wydawał się tak samo niecierpliwy jak Holmes.

## 18. Pierwsze spojrzenie

Kiedy earl oddalił się z Holmesem w kierunku swojego prywatnego muzeum w sali Palladium, zostałem zaproszony przez Bodena i Strothersa na cygaro i koniak w palarni. Lecz gdy po naszej krótkiej rozmowie o broni i polowaniach pojawił się temat przemysłu, poczułem zniecierpliwienie. Strothers był sympatyczny, ale Boden wywoływał u mnie niepokój, a rozmowa o produkcji i transporcie nudziła mnie. Udałem zmęczonego, przeprosiłem i wyszedłem.

Wdzięczny, że jestem sam, postanowiłem przystąpić do śledztwa. Patrząc teraz wstecz, popełniłem błąd, pierwszy tamtego wieczoru. Miałem nadzieję spotkać Pomeroya i być może kontynuować rozmowę, którą zaczął Holmes. Rozumowałem tak, że po podaniu nam kolacji służący są zapewne w kuchni i jedzą spóźniony wieczorny posiłek.

Udałem się w tamtą stronę tylnymi schodami, które prowadziły do dużo mniej eleganckiej części domu z ciemną boazerią i prostymi gipsowymi ścianami, słabo oświetlonej gazowym, przygaszonym światłem. Dotarłem do tylnych drzwi pokoju kredensowego i... jakbym trafił na żyłę złota. Nellie i Pomeroy stali pół metra ode mnie, ukryci w ściennej szafie.

Trwali w łzawym uścisku, więc wsunąłem się za drzwi, żeby ich podsłuchać. Holmes miał rację co do nich.

– Freddie, Freddie... – łkała dziewczyna. – Nie możemy wyjechać dziś w nocy?

– Spokojnie, Nellie. Nie daj się zastraszyć Dickiemu. Potrzebuję jeszcze tylko jednego dnia.

– Ale on lada chwila powie im o nas! Czuję to!

Pomeroy westchnął.

– Nam nic się nie stanie. Boję się o Emila i lady.

– Zostaw to, Freddie. Mogłeś pójść do więzienia!

– Ale lady jest tak samo przerażona jak my! Muszę jej pomóc.

Lady Pellingham boi się? Ale kogo i dlaczego?

Nagle wyczułem, że jestem obserwowany. Odwróciłem się wolno. Mason stał na końcu korytarza i patrzył na mnie. Był poza zasięgiem głosu, ale na pewno widział, jak podsłuchiwałem.

– Szukam ciepłego mleka – oznajmiłem donośnie w nadziei, że ostrzegę dwoje młodych ludzi. – Przygotowuję lordowi Prendergastowi wieczorne leki.

Cisza zapadła za drzwiami. Mason podszedł do mnie z surową miną.

– Zawsze może pan zadzwonić po to, czego pan potrzebuje. – Zrobił krótką pauzę. – Sir.

– A, znalazłeś ich! – zawołał Holmes piskliwym głosem Prendergasta.

Zobaczyłem Jeffrey'a, który toczył korytarzem Holmesa. W samą porę.



– Mason, cóż za nadzwyczajną kolekcję zgromadził pański pracodawca. Jestem w siódmym niebie! – ciągnął mój przyjaciel. – Nie mogę się doczekać jutra, żeby ją dokładnie obejrzeć.

– Milordzie – odrzekł sztywno Mason z lekkim ukłonem i odwrócił się do Jeffreya. – Gdzie jest earl, Jeffrey?

– Udał się do siebie, sir. Zawiadomiłem jego kamerdynera.

– Muszę jeszcze ostatni raz towarzyszyć earlowi – powiedział Mason – ale czy mogę przedtem odprowadzić panów do ich pokoi?

– Earl wspomniał o znakomitym obrazie Vigée Le Brun w waszym frontowym holu, który chciałbym zobaczyć, zanim udam się do siebie – oświadczył Holmes. – Doktor Laurel jest przyzwyczajony do tej mojej obsesji. Znajdziemy drogę powrotną.

– Po tym domu trudno jest się poruszać w pańskim stanie, milordzie. Jeffrey towarzyszy naszym gościom ze światłem. A potem w drodze do ich pokoi.

Zostawili nas i Holmes szybko nachylił się do mnie.

– Uparty czort. Ale mamy szczęście, Watsonie. Zdołałem zidentyfikować dość skradzionych dzieł sztuki w posiadaniu earla, by otworzyć dodatkowe skrzydło w Muzeum Brytyjskim, nie wspominając o postawieniu mu poważnych zarzutów. Kolekcja lorda Elgina nie może się równać z tutejszą!

– A co z Nike?

– Będzie dostarczona jutro w południe! Mycroft dostanie to, czego potrzebuje. A my będziemy mogli zająć się tajemnicą

Emila i pozostałych dzieci. – Uśmiechnął się triumfalnie. – Earl ma bzika na punkcie rzeźby. Jest obsesjonatem.

– Ale co teraz? – spytałem, myśląc o tym, że różnica między miłośnikiem a obsesjonatem łatwo się zaciera.

– Mam nadzieję zobaczyć pokój dziecinny. I spotkać się z lady Pellingham, jeśli to będzie możliwe.

Ale ani z jednego, ani z drugiego nic nie wyszło, a przynajmniej nie w taki sposób, jak Holmes miał nadzieję. Jeffrey wrócił ze światłem i po przebyciu krętej drogi przez ciemny dom, podczas której Holmes umiejętnie ośmielał młodego człowieka żartami, dotarliśmy do czarującego portretu rosyjskiej szlachcianki, która patrzyła na nas figlarnie z mroku.

Kiedy się jej przyglądaliśmy, Holmes zagadnął:

– A co z dziecięcymi rysunkami? Są moją pasją.

– Być może są w pokoju dziecinnym, milordzie.

– Zabierz nas tam!

– Przykro mi, sir, ale to jest ściśle zabronione. Nikomu z nas nie wolno tam wchodzić.

Holmes użył swojego wielkiego uroku osobistego.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć, Jeffrey, a ty uszczęśliwisz starego barona.

– Nie mogę, milordzie. Żałuję, ale tak jest.

– Szkoda – odparł Holmes. – Uwielbiam dziecięcą sztukę. I same dzieci. Przypominają mi o moich szczęśliwszych, beztroskich dniach.

– Wiem, co pan ma na myśli, sir – powiedział Jeffrey.

Holmes zaryzykował.

– Znasz tutejsze dziecko?

– Tak, sir. Wszyscy je znamy. Bardzo pogodny, wesoły chłopczyk. Zawsze uśmiechnięty.

– Zawsze?

– To znaczy, do niedawna.

– A co się niedawno stało? – spytał Holmes.

– Nikt nie wie. Ale przestał mówić blisko miesiąc temu.

– Naprawdę? Dlaczego, jak myślisz?

Jeffrey zamilkł.

– Wygadałem się, milordzie – przyznał po chwili.

Nie mogliśmy dowiedzieć się od niego niczego więcej i wkrótce wróciliśmy do Masona. Czekał na nas tam, gdzie się z nim rozstaliśmy, i nagle nabrałem podejrzeń. Szedł za nami przez dom?

Złożyłem moje obawy na karb zmęczenia. Nie mogłem się doczekać końca tamtego dnia i pomyślałem, że może udziela mi się mania niektórych moich kolegów.

– Podobał się panu obraz Vigée, lordzie Prendergast? – zapytał.

– O, szalenie, Mason! – wykrzyknął Holmes. – Portrety jej pędzla są tak ożywione, jakby w każdej chwili mogły przemówić. Będę dobrze spał, śniąc o tym, co zobaczyłem dzisiejszej nocy.

Gdybyż to tylko okazało się prawdą. Obaj byliśmy potem świadkami czegoś tak przerażającego, że obraz tego na zawsze zapadł nam w pamięć. Minęło dużo czasu, zanim znów mogliśmy dobrze spać.

Część VI  
CIEMNOŚĆ ZAPADA

*Naszą główną sprawą nie jest widzieć to, co zamglone w oddali,  
lecz robić to, co jest wyraźne pod ręką.*

Thomas Carlyle

## 19. Morderstwo!

Mason znów mi towarzyszył, gdy toczyłem Holmesa w kierunku naszych pokoi. W drodze do głównych schodów mijaliśmy bibliotekę z rzędami lśniących książek w skórzanych oprawach widocznych przez otwarte drzwi. Wszystkich nas zaskoczył nagły hałas. Czyżby jakaś ciężka książka upadła? A potem podniesione głosy dwóch osób w połowie rzędu na końcu biblioteki.

Rozpoznałem pierwszy; lady Pellington prawie krzyczała.

– Twoja bezduszność jest... jest... nie do przyjęcia! Mimo twojej pasji do sztuki jesteś ślepy!

Czyjś baryton odpowiedział przyciszonym gniewnym tonem; nie mogliśmy rozróżnić słów, ale brzmiały jak earla.

– Dlaczego nie mogę cię zmusić, żebyś przejrzał na oczy? – rozległ się wrzask lady.

Mason zamknął dwuskrzydłowe drzwi do biblioteki. Następny dźwięk był przytłumiony, ale głos niewątpliwie należał do earla, który teraz krzyczał.

Mason szybko poprowadził nas dalej kolejnym korytarzem, i w końcu dotarliśmy do stóp długich schodów, które wiodły w górę do naszych pokoi na trzecim piętrze.

– Proszę tu zaczekać – powiedział. – Zadzwoń na dwóch służących, żeby wnieśli lorda Prendergasta i jego wózek.

Kobięcy wrzask przerażenia zabrzmiał w głębi korytarzu i nagle ucichł.

– Mój Boże! – wykrzyknąłem.

Majordomus ścisnął moje ramię jak kłamra.

– Niech pan się nie rusza – prawie krzyknął mi w twarz i pobiegł w głąb korytarza.

Holmes natychmiast usiadł prosto.

– Szybko, Watsonie. Skręć z tego korytarza i biegnij ze mną co sił w nogach.

– Ale...

– Już! Tamten wrzask doszedł z biblioteki. Znam drogę z powrotem!

Bez wahania chwyciłem wózek i potoczyłem Holmesa biegiem innym korytarzem. Kierowany przez niego, skręciłem w prawo, potem w lewo i znów w lewo. Po chwili znaleźliśmy się przed wejściem do mrocznego przedpokoju, który wypełniały szafki z książkami i kilka biurka. Za tym małym pomieszczeniem zobaczyliśmy otwarte drzwi do biblioteki, gdzie paliły się jasne światła.

Wtoczyłem Holmesa do przedpokoju i omal się nie poślizgnąłem na stosie zrzuconych z biurka na podłogę papierów.

– Tam! – szepnął Holmes. – Bliżej tamtych drzwi!

Drzwi na drugim końcu małego pomieszczenia były uchylone i mogliśmy zajrzeć przez szparę do biblioteki. Służący biegali w

panice w jasnym świetle gazowym. Kilku zebrało się wokół czegoś pod nim. Tłumek się rozstał i dostrzegłem rozpostartą na podłodze różową suknię, a obok niej bladą rękę. Lady Pellingham!

– Spóźniliśmy się! Co za dureń ze mnie! – syknął Holmes. – Zajmij się nią, Watsonie!

Ale ja już przeskoczyłem obok niego i wbiegłem od razu do pokoju.

– Jestem lekarzem, dajcie mi pomoc! – wrzasnąłem. – Cofnijcie się!

Gromadka służących wokół leżącej twarzą w dół lady Pellingham zrobiła mi miejsce. Ukląknąłem przy niej. Nie oddychała. Sprawdziłem tętno na jej nadgarstku; nie wyczułem go. Pochyliłem się, żeby dokonać dokładniejszych oględzin, ale Strothers wpadł do pokoju, odepchnął mnie na bok, wziął córkę w ramiona, uniósł ją i przytulił mocno do siebie.

– Annabelle! – jęknął z rozpaczą. – Moje dziecko! O mój Boże!

– Proszę mi pozwolić zbadać ją! – krzyknąłem.

Ale mężczyznę zaślepił żal i nie puścił jej. Zaczął łkać. Spróbowałem delikatnie uwolnić bezwładne ciało lady Pellingham z jego rąk. Zdołałem sprawić, że Strothers ją oswobodził, i położyłem ją ostrożnie na podłodze.

Wtedy zobaczyłem jej twarz. Jej piękne rysy wykrzywiały wyraz grozy, oczy miała wybałuszone, wargi rozchylone, język wysunięty. W górnej części jej piersi tkwił wbity głęboko srebrny nóż do papieru. Strużki krwi wokół ostrza plamiły górę jej różowej sukni.

Choć wiedziałem, że jest martwa, zrobiłem swoje. Jeszcze raz sprawdziłem puls. Nic. Wyjąłem chusteczkę i drżącymi rękami delikatnie zakryłem jej twarz, żeby zasłonić straszny widok. Spojrzałem w górę. Krąg przerażonych twarzy wisiał nad nami.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem. – Nie mogę już nic zrobić.

Za plecami obecnych Holmes wjechał do pokoju i badał go uważnie wzrokiem.

Łkający Strothers znów przypadł do ciała córki.

– Odejść od zwłok, wszyscy.

To tenorowy głos Bodena przebił się przez szepty. Wszyscy się odwrócili. Sędzia pokoju stał w drzwiach z earlem i Masonem, który najwyraźniej sprowadził ich obu. Milczeli. Mason opiekuńczo podtrzymywał ramię earla.

Boden łatwo wziął sprawy w swoje ręce.

– Popelniono morderstwo, to oczywiste – oznajmił. – Niech każdy się cofnie i niczego nie dotyka.

– W rzeczy samej – warknął Holmes, wychodząc na chwilę z roli.

Boden spojrzał na niego ostro.

Earl wystąpił niepewnie naprzód.

– Annabelle? – szepnął. – Annabelle?

Służący się odsunęli, żeby widział ciało. Klęczałem po jednej stronie zwłok, Strothers po drugiej.

Earl zobaczył swoją martwą żonę i osunął się z jękiem na kolana. Mason i jakiś służący chwycili go, kiedy upadał.



– Doktorze! – zwrócił się do mnie Mason, gdy usiłował opuścić swojego pana na podłogę.

Nie mogłem już nic zrobić dla lady, więc pospieszyłem z pomocą earlowi. Leżał nieprzytomny na grubym dywanie, trzepotał powiekami, tętno miał mocno przyspieszone. Szok? Żal? Tak czy owak, cierpiał.

– Brandy! – zawołałem i rozluźniłem mu kołnierzyk.

Podano mi ją natychmiast.

– Opuścić pokój! – rozkazał Boden i zwrócił się do Strothersa: – Danielu, gdybyś mógł...

Strothers spojrzał w górę stamtąd, gdzie znów przytulał do siebie ciało martwej córki. Z jękiem rozpaczony położył ją delikatnie z powrotem na dywanie.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty – ciągnął Boden – ale to jest miejsce zbrodni. Wszyscy muszą się wycofać. Natychmiast.

Strothers poruszał się jak w transie z pomocą dwóch służących, gdy trzeci wywoził Holmesa na korytarz. Boden podszedł do zwłok, odrzucił moją chusteczkę i znów odsłonił straszny widok.

– Smutne – stwierdził. – Bardzo smutne.

Rozejrzał się po pokoju. Tylko majordomus, earl i ja zostaliśmy. Earl siedział teraz prosto i patrzył ze zgrozą na wykrzywioną twarz żony. Zaczęło mu się zbierać na wymioty i wszedłem między nich, żeby zasłonić mu jej widok.

– Doktorze, niech pan zabierze lorda Pellinghama z tego pokoju – polecił mi Boden.

– Panie Boden – zacząłem. – Możliwe, że lady nie zmarła na skutek...

Ale Boden zlekceważył mnie, przerywając mi gwałtownie.

– O ile nie jest pan doświadczonym policjantem, doktorze, niech pan zostawi śledztwo mnie. Niech pan robi, co mówię. Już.

Wyszliśmy wszyscy na korytarz i earl został posadzony w fotelu. Niechętnie nadal się nim zajmowałem. Odzyskał wcześniej przytomność, ale teraz dyszał i jęczał. Dla odmiany Strothers siedział naprzeciwko w milczeniu i ronił łzy.

Holmes trzymał się z tyłu i obserwował uważnie.

Zaaplikowałem earlowi silny środek uspokajający i zaczął oddychać wolniej.

– Annabelle, Annabelle – powtórzył bezsensownie i ucichł.

Młody, jasnowłosy i chudy jak szczapa lokaj pobiegł w kierunku biblioteki. Mason go zauważył i zawołał:

– Richard! Wracaj na swoje miejsce!

– Pan Boden mnie wezwał, sir – wysapał młody człowiek.

Wyczułem lekką reakcję Holmesa w bok ode mnie.

Mason się zawahał, a potem kiwnął głową.

– Więc idź, Dickie.

Blondyn wszedł do biblioteki i zamknął drzwi za sobą.

Dickie!

Środek uspokajający działał i earl skinął głową.

– Trzeba będzie go zanieść – powiedziałem.

Kiedy Mason kazał dwóm ludziom zabrać Pellinghama, odwróciłem się do Holmesa. Siedział nieruchomo na swoim

wózku, ale wiedziałem, że jest pełen żalu i frustracji.

– Spokojnie – szepnąłem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Boden się ukazał, a za nim jasnowłosy lokaj.

– Gdzie jest earl? Rozwiązałem sprawę.

Holmes i ja wymieniliśmy zaskoczone spojrzenia.

– Earl dostał środek uspokajający – odrzekłem. – Został zabrany do swojego pokoju. Obawiam się, że będzie nieświadomy do rana.

Boden tupnął nogą.

– Mason, niech pan mi przyprowadzi kamerdynera, Pomeroya. Natychmiast, żeby nie uciekł. Może próbować!

Obok mnie Holmes palił się do działania, a nie mógł nic zrobić. Mason przywołał kilku lokai, gdy postąpiłem naprzód, żeby sprawdzić, co ze Strothersem. Starszy człowiek był zapłakany i trzął się z rozpacz. Chwycił mocno moją rękę.

Holmes nagle podjechał do cierpiącego mężczyzny.

– Nic... nic mi nie będzie – wyjąkał Strothers. – Ja... ja tylko...

– Chce pan środek uspokajający? – zapytałem.

– Może chce pan po prostu porozmawiać – podsunął łagodnie Holmes.

Strothers się poruszył i otarł łzy.

– Ani jednego, ani drugiego, ale dziękuję. Muszę... muszę... Czego Annabelle życzyłaby sobie ode mnie?

W tym momencie pojawiło się dwóch krzepkich służących, którzy wlekli między sobą przerażonego Pomeroya. Postawili go przed Bodenem.

– Oto złoczyńca – oznajmił Boden. – Przynajmniej pan Strothers pozna dzisiejszej nocy zabójcę jego córki. Pomeroy, jesteś oficjalnie oskarżony o morderstwo.

Holmes i ja wymieniliśmy szybkie niedowierzające spojrzenia.

– Sir! Nie miałem z tym nic... – zaczął przerażony kamerdyner.

Boden postąpił naprzód i zdzielił go na odlew w twarz.

– Panie Boden! – wykrzyknął Holmes wysokim głosem Prendergasta. – Musi pan być taki brutalny?

– Mam dowód. Tego człowieka widziano, kiedy wchodził do biblioteki, niosąc na srebrnej tacy list i narzędzie zbrodni – nóż do papieru – zaledwie chwilę przed zabójstwem. Lady była w tym czasie sama, a w pobliżu jej ciała znaleziono tackę. – Boden znów spoliczkował mocno Pomeroya. – Co masz do powiedzenia?

Kamerdyner był zastygły z przerażenia.

– N... nieprawda, sir! W ogóle nie wchodziłem do biblioteki!

– Widziano cię – odparł Boden.

Jasnowłosy lokaj imieniem Dickie wystąpił naprzód z lekkim uśmiechem i kiwnął głową.

– Miałeś sposobność i środki – stwierdził Boden. – Wkrótce ustalę motyw.

Odwrócił się do reszty z nas.

– Czas, żeby wszyscy udali się na spoczynek i zostawili tę sprawę lokalnym konstablom. Wezwiemy ich i koronera. Panie

Strothers, sprawiedliwości stanie się zadość. Dopilnuję tego.  
Mason, proszę odprowadzić wszystkich do ich pokoi.

## 20. Pokojówka

Kilka minut później byliśmy z powrotem w naszych pokojach i drzwi zamknęły się za nami. Holmes wyskoczył ze swojego wózka inwalidzkiego jak wystrzelony i zaczął spacerować tam i z powrotem, wyłamując sobie ręce z wściekłości.

– Jestem idiotą! – jęknął. – To katastrofa! Wrabiają Pomeroya. Muszę się dostać do tamtego pokoju!

– Holmesie! Twoje buty! – powiedziałem.

Przystanął, zdezorientowany. Potem nagle je zdjął.

– Dziękuję, Watsonie.

Buty sparaliżowanego nie mogły mieć na podszwach śladów używania! A do chwili aresztowania earla Holmes musiał udawać Prendergasta. Zaczął z powrotem spacerować w skarpetach.

– Do diabła! Muszę jeszcze raz zobaczyć zwłoki!

– Nie możemy ryzykować, Holmesie – odrzekłem.

– Gdybym miał pół minuty więcej, znalazłbyśmy teraz mordercę!

– Nie sądzisz, że to earl?

– Dane! Dane! Nie mamy wszystkiego, co jest nam potrzebne! Jeśli to earl, musimy mieć niepodważalny dowód!

Warknął ze złości. Opadł na fotel i wpatrzył się w nikły ogień w małym kominku, masując klatkę piersiową z wyraźnym bólem i zmęczeniem. W pokoju szybko się ochładzało. Nie dołożono do ognia, pozwalając, żeby zgasł.

Holmes był wyczerpany, ja też.

– Holmesie, chodźmy spać. O tej porze nic już nie zrobimy.

– Noc jeszcze się nie skończyła, Watsonie. Musiano zauważyć alians Pomeroya z lady Pellingham. Ktokolwiek, czy też jakiegokolwiek siły stanęły przeciwko niej – jej zabójca, lub nie – spiskują teraz, żeby usunąć go ze sceny.

Ktoś zapukał do drzwi i aż podskoczyliśmy.

– Kto tam?! – zawołałem.

Holmes szybko wrócił na wózek inwalidzki.

Okazało się, że to Nellie. Drobna jasnowłosa pokojówka, którą Holmes dostrzegł w chwili naszego przyjazdu, była blada ze strachu i zapłakana. Wpuściłem ją i zamknąłem drzwi za nią. Stała przed nami, roztrzęsiona i niezdolna wymówić słowo.

Holmes zbliżył się do niej i delikatnie ujął jej dłonie.

– Pan Pomeroy cię przysłał, prawda? Masz na imię Nellie?

Zdołała tylko kiwnąć głową.

– Wiem, że jesteś damą serca pana Pomeroya – ciągnął łagodnie. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– P... pan Holmes? – wyjąkała.

– A, powiedział ci to – odrzekł Holmes, spojrzał na mnie z frustracją i wstał z wózka inwalidzkiego. – O co chodzi?

– O Freddiego. On tego nie zrobił!

– Też tak sędzę. Ale czy możesz tego dowieść?

– To nie mógł być mój Freddie. Był ze mną, kiedy lady krzyknęła!

Zaszlochała.

– Komu to powiedziałaś?

– Tylko Janie, pomywaczce. To znaczy, nie powiedziałam. Ona widziała.

– Dlaczego nie powiedziałaś Masonowi? – zapytał Holmes.

– Freddie powiedział, żeby nikomu nie mówić o nas. Stracilibyśmy pracę.

– Każdy głupi by zauważył, że wy... nieważne... ale kto to jest ten Dickie i dlaczego miałby skłamać, że twój luby był w bibliotece?

– Dickie zalecał się kiedyś do mnie. Ale Freddie i ja... a potem Freddie zameldował o jego kradzieży porto, więc rozumie pan...

Urwała i zaczęła głośno szlochać.

– Ależ oczywiście – odparł Holmes – rozumiem. Uspokój się. Dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jutro przedstawię twój dowód.

– Jeszcze dziś, sir! Musi pan to zrobić jeszcze dziś!

Jej szloch przybrał na sile.

Sfrustrowany Holmes wyrzucił ręce do góry.

– Watsonie, załatw to.

Odszedł i zaczął spacerować.

Wziąłem ją za ramiona i delikatnie podniosłem do pozycji stojącej.

– Już, już, odwagi, Nellie. – Poklepałem jej dłoń. – Musisz zrozumieć, że jest odpowiednia procedura prawna. Pan Holmes



jest bardzo dobry w tym, co robi. Dopilnuje, żeby twój luby został oczyszczony z zarzutów.

– Został co?

– Uwolniony. Obiecuję. Ale musisz dochować naszej tajemnicy.

Skinęła głową. Osuszyłem jej łzy i odesłałem ją. Poczulem niepokój i zwróciłem się do mojego przyjaciela:

– Zastanawiam się, Holmesie, czy nie czas się ujawnić i włączyć do śledztwa?

– Dopiero, kiedy Nike zostanie dostarczona – warknął i odwrócił się do mnie. – Założę się, że to nadal aktualne, mimo tego nieszczęścia.

– Earl chyba nie...

– Nie lekceważ jego obsesji. Dostawa nastąpi zgodnie z planem.

– Ale co z Pomeroyem? Wierzysz tej dziewczynie?

– Tak. Wiem na pewno, że Pomeroy jest wrabiany – odparł Holmes.

– Skąd?

– Srebrna tacka.

– Jak to?

– Nie było jej w pokoju w chwili morderstwa.

– Byłeś tam niecałą minutę! Jak mogłeś...

Holmes uciszył mnie spojrzeniem.

– Ponieważ została położona tam później i nie w naszej obecności, ktoś musiał ją przynieść po naszym wyjściu z pokoju. Tylko Dickie wszedł do biblioteki po jej opróżnieniu.

Nie odezwałem się. Miał oczywiście rację.

– Możliwe, że poczyniono jeszcze inne drobne przygotowania. A teraz, Watsonie, muszę cię poprosić, żebyś coś zrobił. – Zawahał się. – To niebezpieczne.

– Czego potrzebujesz, Holmesie? Wiesz, że jestem gotowy.

– Wróć na dół. Musisz dotrzeć do zwłok i zbadać je.

– Nie dopuszczą mnie do ciała. Pewnie już je zabrali.

– Musisz spróbować! Zrób to potajemnie, jeśli będziesz musiał! Ta rana kłuta została zadana po śmierci, jestem tego pewien. Było za mało krwi.

Przytaknąłem.

– Zgadza się. I jej twarz!

– Otóż to. Oczy i język wskazują albo na otrucie...

– Albo na uduszenie! – dokończyłem.

– Właśnie. Trzeba się dowiedzieć, co to było. Muszę wrócić do biblioteki. Niech diabli wezmą ten wózek inwalidzki i tę całą niedorzeczną maskaradę!

Klepnął z frustracją wózek.

– Holmesie, uspokój się. Ja mogę być twoimi oczami i uszami.

– Ruszyłem do drzwi, a potem się odwróciłem z nagłym niepokojem. – Mam nadzieję, że nie zaryzykujesz wędrówki po domu, kiedy mnie nie będzie. Bo na pewno by cię złapali.

– Nie jestem idiotą! – warknął. – Przepraszam. Obiecuję. Nie zrobię ani kroku za próg tamtych drzwi. Bądź pewien.

– Chcę mieć twoje słowo.

Westchnął z rezygnacją.

– Masz moje słowo. I bądź bardzo ostrożny, Watsonie. Morderca może nadal być w domu.

Po szybkim spojrzeniu na jego szczegółowe plany pięter udałem się do biblioteki drogą, którą wróciliśmy. Po aresztowaniu Pomeroya większość osłupiałych domowników pogrzyżała się w smutku i mało kto się kręcił. Ale biblioteka okazała się teraz zaryglowana na obu końcach.

Wyłamanie zamka nie wchodziło w rachubę. Bez wątpienia ktoś czuwał przy biednej lady Pellingham. A zaoferowanie moich usług zaprowadziłoby mnie donikąd, byłem tego pewien. Uznałem ten plan za bezsensowny, a zaproponowanie go za niepodobne do Holmesa.

Poszedłem do kuchni, gdzie udało mi się zdobyć jedynie herbatniki i gorące mleko, co stanowiło mój pretekst, oraz informację, że koroner i jednocześnie lokalny lekarz, Hector Philo, odbiera skomplikowany poród i zjawi się po zwłoki dopiero rano.

Ciało lady Pellingham położono tymczasem w spiżarni, gdzie było bardzo chłodno, i pilnowało go dwóch służących. Dowiedziałem się też, że Pomeroya zabrano do więzienia, a Dickiego nie można nigdzie znaleźć.

Wróciłem ostrożnie do pokoju, wsunąłem się do środka i z uczuciem ulgi zaryglowałem drzwi za sobą.

## 21. Na półce

Po wejściu zobaczyłem, że w pokoju jest ciemno i poczułem lodowate zimno. Coś było nie w porządku.

– Holmesie! – zawołałem głośnym szeptem.

Nie dostałem odpowiedzi. W łóżku nie mogłem nikogo dostrzec. Zostawiłem herbatniki i mleko, podszedłem do prawie wygasłego kominka i podkręciłem gazową lampę nad nim. Pokój okazał się pusty. Okno było szeroko otwarte, zasłony trzepotały na wietrze. Wpadłem w panikę i sprawdziłem mój pokój. Tam też go nie zastałem. Zaryglowałem moje zewnętrzne drzwi i pobiegłem do otwartego okna w jego pokoju.

Wyszedłem na mały balkon. Uderzyło mnie lodowate powietrze, tak zimne, że trudno było oddychać.

– Holmesie? – wyszeptałem.

Mój głos zagłuszył wiatr.

Może mnie okłamał i wybrał się w głąb domu. Ale wózek inwalidzki stał w pokoju za mną. Zaryzykowałyby tak głupio?

Wtem usłyszałem cichy krzyk:

– Watsonie!

Wpatrzyłem się w ciemność, ale nie mogłem nic zobaczyć na ziemi poniżej.

– Holmesie? Gdzie jesteś?

– Tuż pod tobą!

I wtedy go zauważyłem. Rozkrzyżowany płasko niczym pająk, przywierał do boku domu. Stał na palcach na rynnie, długie palce rąk zaciskał na winorośli na murze wiekowej budowli.

– Ryzykując stwierdzenie oczywistości, nieco utknąłem – powiedział w górę z krzywym uśmiechem.

Wyciągnąłem rękę w dół, ale nie mogłem go dosięgnąć. Wychyliłem się bardziej.

– Nie jesteś zabezpieczony, Watsonie! Zawiąż koc wokół balustrady i rzuć mi jego koniec.

Zrobiłem, co chciał, i po kilku minutach był bezpieczny w pokoju. Zaryglował okna za sobą i zaciągnął ciężkie zasłony. Odwrócił się do mnie, przytupując bosymi stopami i zacierając rękę.

– Mój Boże, ogień zgasł! Możesz go rozpalić, Watsonie? Nie mogę teraz wezwać tu nikogo.

Patrzyłem na niego bez ruchu, wściekły. Tą głupią grą naraził na niebezpieczeństwo siebie i całe śledztwo.

– Holmesie, jesteś idiotą. Sam go rozpal.

Zakręcił się w kółko z zimna. Gdyby przed chwilą o mało nie zaprzepaścił wszystkiego, mogłoby to być zabawne. Ale był blady i trząsał się cały. Jego zachowanie miało cechy szaleństwa i troska wzięła we mnie górę nad gniewem. Podszedłem i chwyciłem jego rękę. Obejrzałem szybko jego palce i nie stwierdziłem odmrożenia. Miał dużo szczęścia.

Wyszarpnął rękę i krzyknął:

– Ogień, Watsonie, rozpal ogień! Już!

Porwał koc ze swojego łóżka i owinął się nim z jękiem.

– Tak, tak, mój błąd! I to nie jedyny.

Rozpaliłem ogień i odsunąłem się na bok, żeby mógł podejść bliżej. Usiadł i kiedy wkładał grube skarpety, wyjąłem ukradkiem z kieszeni opakowanie środka uspokajającego i wsypałem trochę proszku do mleka, które przyniosłem z kuchni na górę.

– Ciepłe mleko. Wypij to.

– Powiedz mi, co ustaliłeś – warknął.

Zrelacjonowałem mu to, gdy siedział i trząsał się. Nie wziął napoju, więc wcisnąłem mu go do rąk.

– Wysłałeś mnie na darmo. Wypij to już. No, dalej, Holmesie. Ryzykowałeś odmrożenia i upadek, i po co? Poprawię ogień.

Pochyliłem się, żeby poruszyć podpałkę.

– Zobaczyłem przez okna, że ciało jest w spiżarni, najzimniejszym miejscu w domu – oznajmił. – Jest dobrze strzeżone. A w bibliotece dokonano zmian, jak podejrzewałem!

– Nie dowiedziałem się niczego ponadto. Holmesie, przegraliśmy tę rundę i wystarczy na dziś. Jesteś wyczerpany nerwowo, pora odpocząć.

Polana zajęły się od podpałki i ciepło zaczęło się rozchodzić po pokoju. Holmes siedział na brzegu swojego łóżka, przygnębiony. Rzadko bywał pokonany w trakcie śledztwa i źle to znosił.

Dołożyłem do ognia jedno polano, żeby nie zgasł. Czuję coraz większe zaniepokojenie jego oceną sytuacji i ewidentną

manią. Może sen zmieni stan rzeczy na lepszy. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na niego.

Moja mikstura nasenna zadziałała, bo Holmes osunął się do tyłu na łóżko i chrapał lekko. Chwilowo dumny z tego małego sukcesu, przetoczyłem go na środek, zarzuciłem na niego resztę przykryć i odwróciłem się, żeby wyjść, gdy coś przyciągnęło mój wzrok.

Wylał mleko z lekiem do miski na nocnym stoliku.

Westchnąłem i wycofałem się do sąsiedniego pokoju. Nieprędko zasnąłem. Byłem głęboko poruszony gwałtowną śmiercią i zmartwiony naszą ewidentną porażką tego wieczoru. Kobietę zamordowano podczas naszej wizyty w jej domu, jej dziecko nadal było zaginione, a niewinny człowiek został wrobiony. Nasza klientka robiła w Londynie Bóg wie co z niepewnym sprzymierzeńcem, a my byliśmy bezradni.

Co gorsza, zacząłem wątpić w nasze możliwości. Holmes i ja popełnialiśmy jeden błąd za drugim. Czy kilka miesięcy mojego małżeństwa aż tak mnie zmieniło? Stałem się miękki? Czy też Holmes tyle ostatnio przecierpiał w areszcie, że wyrządziło mu to jakąś szkodę?

Żeby się uspokoić, zmusiłem się do myślenia o mojej słodkiej Mary. W końcu zasnąłem. Ale przerażająca twarz martwej lady Pellingham z wybałuszonymi oczami prześladowała mnie tamtej nocy i przez wiele następnych.

## 22. Straszny błąd

W cyrku jest powiedzenie „przedstawienie musi trwać”. Opisuje ono pewien etos, który niemniej jednak pasuje do angielskich wyższych sfer, gdzie jakakolwiek zmarszczka na wodzie jest oznaką słabości.

Tak więc następnego ranka, jak gdyby w nocy pani domu wcale nie została zamordowana, obfite śniadanie czekało na kredensie w dużym, chłodnym o tej porze pokoju. Holmes i ja siedzieliśmy przy stole i patrzyliśmy przez okna na rozległą połąć śniegu i czarne drzewa w oddali. Byliśmy sami.

– Watsonie – szepnął Holmes – musisz się wybrać do miasta. Znajdź jakiś pretekst. Zadepeszuj do Mycrofta, że posąg jest w pobliżu i będzie dostarczony jutro koło południa. Ja zostanę, jeśli wolno, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś o zabójstwie. Przez ten czas ty musisz złapać koronera i zyskać jego przychylność.

– A co z naszą klientką?

– Musimy ufać, że będzie bezpieczna z Vidocqiem; Mycroft dopilnuje tego. Emil prawdopodobnie jest już z nią. Ale dopóki nie rozwikłam tutejszej sprawy i nie zobaczę earla za kratkami, istnieje ryzyko, że chłopiec zostanie pozbawiony naszej ochrony



i trafi legalnie z powrotem prosto w szpony niebezpieczeństwa. Teraz, po śmierci lady Pellingham, jest szczególnie bezbronny.

– Zatem twoja teoria jest taka, że earl mu zagraża?

– Nie mam dość danych, by być tego całkiem pewnym. Dlatego muszę tu zostać.

– Myślisz, że morderstwo ma związek z dzieckiem? Lub z dziełem sztuki?

– To pozostaje niejasne.

– Nike chyba nie zostanie tu dostarczona w tych okolicznościach?

– Założę się, że już nie można tego zatrzymać – odrzekł Holmes, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo zjawił się lokaj z kawą i zaczął ponownie napełniać nasze filiżanki. Mason też wszedł do pokoju i podszedł do stołu.

– Panowie, proszę wybaczyć, że przeszkadzam, i to, jaką wiadomość przynoszę. Na skutek niedawnej tragedii earl nie będzie w stanie gościć panów dłużej. Bardzo przeprasza i prosi, aby panowie jeszcze dziś rano wyruszyli z powrotem do Londynu.

Holmes był prawdziwie rozczarowany.

– Oczywiście, Mason. Napiszę do niego wkrótce, ale proszę przekazać mu nasze najgłębsze wyrazy współczucia i wdzięczności za jego gościnność.

Pewnie nigdy się nie dowiem, czy to, co potem zaszło, było zamierzone, czy też przypadkowe. Ale w tamtym momencie nalewający Holmesowi kawę lokaj zachwiał się i ochlapał wrzącym napojem jego nogę. Nie mogąc zapanować nad

odruchem, Holmes podskoczył, po czym natychmiast uświadomił sobie swój nieunikniony błąd.

Mason popatrzył na Holmesa z zaskoczeniem, które szybko przerodziło się we wściekłość.

– Zostaw nas – warknął do lokaja i zwrócił się do Holmesa: – Nie wiem, jaką grę pan prowadzi, ale jest pan oszustem. Gdyby nie nasza niedawna tragedia, dopiłowałbym, żeby w ciągu godziny znalazł się pan w więzieniu. Ale muszę się zająć innymi sprawami. Wsiądźciecie obaj do następnego pociągu do Londynu albo osobiście dopilnuję, żebyście zostali aresztowani. Wierzcie mi, że będą konsekwencje.

Kilka minut później wyprowadzono nas z posiadłości, wsadzono na prymitywny wóz razem z naszym bagażem w nieładzie i po hałaśliwej jeździe, podczas której Holmes i ja siedzieliśmy w milczeniu, pozostawiono na stacji kolejowej w Penwick. Nasze walizki rzucono na drogę obok nas, moja się otworzyła i jej zawartość wysypała się na zamarznąłą breję.

Gdy zacząłem zbierać moje rzeczy, Holmes wyciągnął jakieś ubranie ze swojej walizki i warknął:

– Prędko, Watsonie. Zostaw nasze rzeczy na stacji, kiedy będę się przebierał. Musimy dotrzeć do aresztu! Pomeroy może pomóc nam, a my jemu.

Dał nura do ubikacji i wyłonił się stamtąd po kilku minutach już nie jako Prendergast, lecz we własnym wcieleniu. Szybkość, z jaką się przeistoczył, zdumiała mnie. Ale nie miałem czasu głowić się nad tym.

Pospieszaliśmy ulicą, ale nie byliśmy pewni kierunku, więc przystanęliśmy, żeby spytać o drogę jednego z niewielu o tak wczesnej porze przechodniów.

Młody mężczyzna w naszym wieku maszerował High Street. Szczupły, dobrze ubrany, w okrągłych złotych okularach, miał rude włosy, szczerą twarz i niósł torbę lekarską. Zapytałem go o drogę do aresztu i ku mojemu zaskoczeniu odrzekł, że właśnie tam idzie. Przedstawił się jako doktor Hector Philo, miejscowy lekarz.

– A, więc jest pan również koronerem, zgadza się? – spytałem.

– Owszem – przytaknął.

Holmes i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Dlaczego on idzie do aresztu, a nie do posiadłości? Chciałem zapytać, ale Holmes powstrzymał mnie wzrokiem i przyjął uprzejmy, swobodny ton.

– My też idziemy do aresztu – oznajmił. – Czy moglibyśmy panu towarzyszyć?

– Bardzo proszę – odrzekł młody człowiek. – Wizyta tam nigdy nie jest przyjemna.

Areszt był w pewnej odległości od stacji i gdy szliśmy oblodzonymi ulicami obok zamkniętych sklepów i bazarów, które właśnie otwierano, Holmes kontynuował rozmowę z doktorem Philem. Ale młody lekarz stał się nerwowy i małomówny.

W końcu, żeby nie odpowiadać na pytania, sam zaczął nas indagować – jak się nazywamy, czym się zajmujemy i skąd jesteśmy.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Holmes odpowiedział mi uprzejmie:

– Nazywam się Sherlock Holmes i przyjechałem z Londynu. Jestem detektywem doradczym. Być może słyszał pan o mnie.

Młody człowiek stanął jak wryty.

– Mój Boże! – wykrzyknął ze zdumieniem. – Istotnie słyszałem! Moja żona Annie i ja czytaliśmy o pańskich przygodach! – Odwrócił się i z zapalem uściśnął nam dłonie. – A pan musi być doktorem Watsonem! Nie macie panowie pojęcia, jak się cieszę, że widzę was obu... Pańskie naukowe metody... niezwykły sposób... Ale co tu robicie?

– Później – odparł Holmes. – Mówi pan, że podziwia moje metody?

– Oczywiście! Choć przede wszystkim jestem prowincjonalnym lekarzem, stałem się *de facto* tutejszym koronerem. Wbrew sobie, ale wyznam panu, panie Holmes, że w wielu wypadkach pragnąłem przedyskutować moje dotyczące śmierci odkrycia z kimś o takim doświadczeniu, jak pańskie i doktora Watsona!

– Zatem zetknął się pan z jakimś podejrzanym zgonem, doktorze? – spytał Holmes.

– Tak, i to nie z jednym. Ale... o... dochodzimy do aresztu. Nie możemy tu swobodnie rozmawiać.

– Dlaczego?

– Z powodu sędziego pokoju, Bodena. To... to niebezpieczny człowiek. Sędzia i ława przysięgłych w jednej osobie. Usadowił

się tak, że ma tu ostatnie słowo. Biada temu, kto mu się sprzeciwia.

– Ale istnieje odpowiednia procedura prawna! – wykrzyknąłem. – Jak to jest możliwe?

Doktor Philo spojrział na nas obu z wielkim niepokojem.

– Jesteśmy daleko od Londynu. Uważam, że pieniądze zmieniają właściciela, żeby przymykać oczy... Ale wyłożę panom moje teorie później.

Spojrział na areszt i zamilkł, niepewny.

– O co chodzi, człowieku? – zapytałem.

Philo zamknął oczy.

– Boże, wybacz mi – powiedział. – Obawiam się, że mam wystawić akt zgonu pewnego nieszczęśnika, którego uwięziono ostatniej nocy. Bez wątpienia zmarł tutaj.

Sherlock Holmes zareagował jak rażony prądem.

– Do środka, już! – krzyknął i wtargnął do aresztu.

Nie miałem pojęcia, co planuje, bo nawet gdyby Boden nie rozpoznał go bez charakteryzacji, to przecież rozpoznałby mnie. I wiadomość o naszej fałszywej tożsamości mogła już dotrzeć do sędziego pokoju. Philo i ja wbiegliśmy za Holmesem.

Zobaczyliśmy z ulgą, że Bodena nie ma za biurkiem – poszedł do domu odespać nocną aktywność. Zastaliśmy zwalistego jasnowłosego mężczyznę z pokrytą guzami twarzą i sumiastymi nawoskowanymi wąsami. Nazywał się Bottoms i nawet z głową osła nie wyglądałby na większego tępaka.

Popatrzył na nas podejrzliwie małymi oczkami, ale Philo wyjaśnił mu, że jesteśmy jego konsultantami i zostaliśmy

zaproszeni przez Bodena. Bottoms zamrugał kilka razy, kiedy to rozważał, poprosił nas o wpisanie się do rejestru odwiedzających, gdzie Holmes i ja umieściliśmy pseudonimy, po czym zaprowadził nas trzech do wilgotnej celi. Panowało tam takie zimno, że nasze oddechy zamieniały się w obłoczki pary.

Ku naszemu przerażeniu Pomeroy leżał nieruchomo na plecach na drewnianej ławie. Mimo lodowatego zimna był w samej koszuli. Philo rzucił się ku niemu i sprawdził, czy żyje.

– Żyje – oznajmił – ale ledwo. Jest w szoku. Doktorze, proszę mi pomóc obejrzyć jego plecy.

Obaj delikatnie podnieśliśmy biednego kamerdynera do pozycji siedzącej i mimo mojego wojennego doświadczenia nawet ja poczułem odrazę.

Tył koszuli Pomeroya był czarny od krwi i pocięty na paski, ich strzępy wrzynały się w głębokie rany. Mężczyznę wychłostano jeszcze w ubraniu.

– Co tu się stało, u diabła? On tu jest niecałe sześć godzin! – powiedziałem, kiedy usiadłem, trzymając głowę nieszczęśnika, a Philo przygotowywał zastrzyk pobudzający. – Skazano go i od razu ukarano w nocy?

– Właśnie tak – odrzekł Philo. – I nie jego pierwszego.

Wkłuł igłę w bezwładne ciało. Mężczyzna pozostawał nieruchomy przez kilka sekund. Potem wydał ostatnie tchnienie.

– Umarł – oznajmił doktor Philo.

Położyliśmy Pomeroya ostrożnie.

Byłem tak zajęty naszym pacjentem, że nie zauważyłem Holmesa. Trzymał się z boku, targany wyrzutami sumienia.

– Ależ głupiec ze mnie – wyszeptał. – Głupiec! Boże, wybacz mi!

– Holmesie, nikt nie mógł tego przewidzieć!

– Zostaliśmy ostrzeżeni. Wszystko się zgadzało. Dwoje ludzi, którzy potajemnie ukryli Emila, nie żyje. Ten Boden jest częścią większego planu. Chodź, musimy natychmiast iść!

Po opuszczeniu aresztu szliśmy szybko przez miasto okrężną drogą i sprawdzaliśmy, czy nie jesteśmy śledzeni. Holmes zasypywał doktora pytaniami i Philo na wszystkie odpowiadał.

– Tak – mówił – było tu szereg zgonów, w samym mieście i w okolicy.

– Dzieci też? – spytał Holmes.

– Tak! – potwierdził Philo. – To znaczy, troje zniknęło z fabryki jedwabiu piętnaście kilometrów stąd. Znalezione trzy ciała, ale nie potrafię podać przyczyny śmierci. Stwierdziłem tylko, że ofiary zostały pobite i być może wykorzystane seksualnie.

– Ile miały lat?

– Dziewięć lub dziesięć. Nikt dokładnie nie wie; były sierotami.

– Kiedy to się stało?

– Na przestrzeni ostatniego półrocza. Jestem pewien, że zostały nielegalnie zwerbowane do pracy w lokalnym sierocińcu.

– Skąd pan zdobył tę informację?

– Mam tam znajomego – wyjaśnił Philo zawstydzony. – Żałuję, że zrobiłem tak mało.

– A tutaj, w areszcie, ilu więźniów ukarano bez sądu?

– Nie wiem. Jestem wzywany tylko jako koroner. Jeden się powiesił, ale czterech zginęło w podobny sposób, odkąd Boden objął urząd. Wielu mężczyzn w tym mieście żyje w strachu i jestem uważany za współwinnego. Którym – dodał ze smutkiem – w pewnym sensie byłem.

Urwał i przełknął ślinę.

– Dlaczego tak jest?

Philo spuścił wzrok, zawstydzony.

– Mojej żonie grożono, mnie też i...

– Rozumiem. Ale dlaczego nie zawiadomił pan telegraficznie Londynu o zgonach? O tamtych dzieciach?

– Depeszowałem do Scotland Yardu trzy razy i nie dostałem odpowiedzi.

Holmes to podchwycił.

– I przysłał pan pocztą zdjęcia, zgadza się?

Philo przytaknął, zawstydzony.

– Sytuacja jest niebezpieczna; rozumiem pańskie położenie. Ale ma pan w nas sprzymierzeńców i nie zawiedziemy pana. Musimy iść. A pan ma pilną sprawę w Clighton. Niech pan tam uważa na siebie.

Philo się zdziwił.

– Jaką sprawę w Clighton?

Holmes spojrział na niego, zaskoczony.

– Nie wezwano pana do rezydencji?



– Ktoś zachorował?

Holmes się zawahał.

– Chodźmy, Watsonie. Nie możemy zwlekać z depeszą. A potem musimy zlokalizować i zbadać zwłoki!

Odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem w kierunku High Street.

Doktor Philo popatrzył na mnie pytająco.

– Czyje zwłoki, doktorze Watson? Proszę mi powiedzieć!

– Lady Pellingham. Zamordowano ją ostatniej nocy.

– Mój Boże!

– Przyczyna śmierci jest niejasna – dodałem i przekazałem mu szybko moje spostrzeżenia co do rany klutej i wyrazu twarzy lady. – Mieliliśmy nadzieję zbadać dokładniej ciało, ale okazało się to niemożliwe.

– Jeśli wolno, ja to zrobię – powiedział smutno Philo i wręczył mi swoją wizytówkę. – Tu jest adres mojego domu i gabinetu lekarskiego. Proszę wkrótce mnie odwiedzić, to będziemy mogli swobodniej porozmawiać. Mam panom więcej do powiedzenia i potrzebuję pomocy panów.

Wziąłem wizytówkę.

– Dam ją Holmesowi – obiecałem i pośpieszyłem za moim przyjacielem.

Musiałem biec, żeby dogonić Holmesa, który sadził długimi susami i był już połowę kwartału domów przede mną.

– Holmesie! – krzyknąłem, biegnąc za nim.

Odwrócił się i warknął do mnie:

– Cicho, człowieku! Cały świat nie musi wiedzieć, że tu jesteśmy.

– Ale co dalej? – zapytałem, łapiąc oddech. – Tu panuje bezprawie. Nie poradzimy sobie sami!

– Poinformuję Mycrofta i Scotland Yard. Na pocztę, prędko! Zauważyłem ją w drodze tutaj. Nie mamy czasu do stracenia. Boden już na pewno wie o naszej obecności. Każę ludziom Mycrofta czekać na nasz sygnał jutro rano. Do tego czasu musimy spróbować obejrzeć ciało i przycząić się.

Kiedy zbliżaliśmy się do poczty w zamglonym zimowym świetle słonecznym, dostrzegłem coś, co sprawiło, że serce prawie mi zamarło. Przed trafiką na lewo ode mnie stał gazeciarz z porannym londyńskim dziennikiem.

Nagłówek na pierwszej stronie krzyczał:

KREW NA BAKER STREET! SHERLOCK HOLMES I JEGO KOCHANKA MOGĄ NIE ŻYĆ!

Chwyciłem gazetę i przeczytałem:

Zaginiony i być może zamordowany sławny detektyw Sherlock Holmes mieszkał najwyraźniej z towarzyszką, uważaną za Francuzkę i aktorkę teatralną. Bałagan, zniszczenia i dużą ilość krwi znaleziono w domu detektywa na Baker Street. Odkrył to lokalny policjant, którego o zdarzeniu zawiadomił przechodzień. Inspektor Lestrade ze Scotland Yardu...

Przestałem czytać i dopędziłem Holmesa przed pocztą.

– Czytaj! – wysapałem.

Kiedy to zrobił, jego blada twarz zbielała jeszcze bardziej.

– Watsonie, musisz natychmiast wrócić do Londynu. To jest katastrofa na wszystkich frontach! Nasza klientka, jeśli nadal żyje, jest w niebezpieczeństwie. Kto wie, czy zlokalizowali Emila? Byłem idiotą we wszystkich przypadkach. Idiotą! Jedź i spotkaj się z Lestrade’em. Dowiedz się, co zaszło pod 221B, i znajdź mademoiselle La Victoire. Poproś Mycrofta o pomoc, jeśli odpowiedzi nie będą jasne.

– Ależ, Holmesie! Dlaczego sam nie wrócisz do Londynu? Co możesz tu zrobić?

– Watsonie, muszę się zająć sprawą dzieci z fabryki i zidentyfikować zabójcę lady Pellingham. Nie rozumiesz tego? Wszystko się wiąże. Jeśli Emil nie żyje, to nie będzie miało znaczenia. Ale jeśli żyje, nie będzie bezpieczny, dopóki nie rozwikłam tutejszej tajemnicy! Muszę doprowadzić do aresztowania earla, jak obiecałem. Wszystko wskazuje na jego rezydencję, nie rozumiesz tego?

– Za dużo tego wszystkiego – zaprotestowałem. – Musimy mieć pomoc.

– Watsonie, nie mamy wyboru. Zajmę się tym; ty zrób to samo. Patrz, pociąg dziesiąta szesnaście do Londynu właśnie wjechał na stację. Biegnij!

Wręczyłem Holmesowi wizytówkę doktora Phila.

– Tu jest przynajmniej jakiś sprzymierzeniec. Przyślę telegram naszym szyfrem na jego adres.

– To rozumiem! Zadepeszuję do ciebie na Baker Street. Ruszaj!

# Część VII

## SPLĄTANE NICI

*Życie i śmierć to jeden wątek, ta sama linia widziana z różnych stron.*

Laozi

## 23. Wieje grozą

Pociąg do Londynu nie był zatłoczony i kiedy w jasnym porannym słońcu jechałem na południe, znalazłem sobie miejsce przy oknie w przedziale pierwszej klasy. Patrzyłem na przesuwany się krajobraz, na kryształki lodu na oknach pociągu, które dodawały kolejnego mroźnego wymiaru białemu bezmiarowi za szybą. W głowie miałem chaos.

Bardzo mi dokuczało trudne położenie naszej klientki i jej syna. Cokolwiek stało się pod numerem 221B, na pewno wywołało rany, ale kto został ranny i jak bardzo, należało jeszcze wyjaśnić. Miałem z sobą torbę lekarską, co często mi się zdarzało podczas śledztwa.

Do sprawy, która mnie czekała, musiałem wprząc całą siłę i zdolność koncentrowania się. Ponownie zmusiłem się do odpoczynku i zmorzył mnie sen. Obudziłem się dopiero, kiedy pociąg zatrzymał się w Euston.

Ale kiedy ja spałem, mój niestrudzony przyjaciel przez cały czas działał, dając kolejny przykład legendarnej wytrwałości podczas śledztwa.

Odejdę w tym miejscu od zwyczajnej narracji, żeby dokładnie przedstawić poczynania Sherlocka Holmesa przez tamte godziny, tak jak on mi je przedstawił.

„Watsonie, kiedy odprowadziłem cię na stację, odebrałem walizę i szybko przebrałem się za szkockiego robociarza, rudego i brodatego. Jeśli pogłoski były prawdziwe i dzieci werbowano do pobliskiej przędzalni jedwabiu, należącej do earla, potrzebny był mi dowód. A jeśli to były te dzieci, których ciała później znaleziono i przedstawiono na tych przerażających zdjęciach od Mycrofta, to nie można było tracić czasu.

Wydarzenia wiążące się z tym dziwnym i uprzywilejowanym earlem, zawierały niejedną tajemnicę, którą należało rozwiązać. Nie opuszczało mnie przecucie, że zniknięcie Emila, zaginione dzieci, skradziony posąg i dwa ostatnie morderstwa są w jakiś sposób ze sobą powiązane. Tajemnica leżała w Clighton, ale dwoje ludzi, którzy najprawdopodobniej mogli rzucić światło na sprawę – lady Pellingham i posłaniec Pomeroy – już nie żyło. Dopóki nie przyłapie się earla na gorącym uczynku, jak odbiera Nike, pozostanie poza zasięgiem.

Potrzeba było więcej dowodów, więcej danych. Jeśli nasze przypuszczenia dotyczące krzywdzenia dzieci były słuszne, goście w fabryce byliby bardzo źle widziani. Jednak, jako Billowi MacPhersonowi, pokornemu i głodnemu, rozpaczliwie potrzebującemu pracy i chętnie godzącemu się na wyzysk, bez wahania pozwolono mi prosić o zatrudnienie. Z czapką w rękę, zahukany jak trzeba, znalazłem się wkrótce w poczekalni biura kierownika, czekając na rozmowę.

Kiedy siedziałem na drewnianej ławie w tym zakurzonej przedsionku, mogłem zerknąć przez otwarte drzwi na część luksusowego biura. Drugie drzwi wychodziły na wielką halę zakładową, zobaczyłem w niej fragment ogromnego zbioru skomplikowanych maszyn.

Były to niezwykle mechaniczne ramiona, przędące, rozdzielające, zwijające i splatające kolorowe nici, żeby z potu mężczyzn i kobiet obsługujących te maszyny stworzyć luksusowe materie, które wkrótce ozdobią postaci ze świata bogatych.

Ale za jaką cenę ludzkiego cierpienia? Przeszedł mnie dreszcz, że zobaczę niewolników tej maszynerii, pędzących, by napełniać, naciskać pedały, popychać, pociągać, zwijać, nawlekać i po prostu pielęgnować te piekielne przyrządy z szybkością, która zmęczyłaby mistrza sportu. Praca wymagała powtórzeń, do których ludzki mózg nie był stworzony, a ciało od nich drętwiało.

Drogi Watsonie, wolałbym chodzić w kieracie w więzieniu Pentonville niż mozolić się dzień w dzień w tej fabryce. Jęczący ryk z tej wielkiej hali przenikał do miejsca, w którym siedziałem, a rytm maszyn wstrząsał deskami podłogi.

Jeśli pracowały tam dzieci, nie było ich widać z miejsca, w którym siedziałem. Najprawdopodobniej trzymano by je w ukryciu. W przeszłości od dzieci wymagano pracy ponad siły, upychano je na zimnych poddaszach i odmawiano nauki – taktowano je niewiele lepiej niż

niewolników. Ale teraz to jest zabronione. Dzieci w wieku szkolnym mogą być nie więcej niż »niepełnoetatowcami«, żeby przez resztę dnia móc się uczyć. Ale tutaj wszystko było możliwe, daleko od miasta, pod ochroną immunitetu, który niby chmura otaczał tego earla.

Jeśli w ogóle dzieci tu były, musiałem je znaleźć i wypytać. Wstałem ze wskazanej mi ławki i poszedłem na piętro główne. Przez kilka minut nikt mnie nie zauważył, wszyscy byli tak pochłonięci wymagającymi szybkości posługami przy głodnych maszynach.

Włosy schowane były pod czapkami, przewiązane wstążkami, ubrania obcisłe na ramionach i ciele, albo przepasane, żeby uniknąć śmiertelnego wciągnięcia, lub niech Bóg broni, jakiegokolwiek opóźnienia w produkcji. Mimo chłodu na dworze żar z wielu ciał i z furkoczącej, klekoczącej maszynerii sprawiał, że atmosfera była jednocześnie wilgotna i duszna.

Kiedy szedłem środkową alejką, patrzyłem na blade twarze zniewolonych przez maszyny. Młoda kobieta, nie więcej niż dwudziestoletnia, biegła w tę i z powrotem wzdłuż rzędu motków, wyciągała nici i nawijała je na szpulki. Musiała błyskawicznie nawinać kolejne szpulki. Jeden fałszywy krok i mogło ją wciągnąć. Gdy tak patrzyłem, potknęła się, krzyknęła, szybko odzyskała równowagę i znów pobiegła na koniec.

Niedaleko niej stary człowiek ze skórzanymi mankietami na nadgarstkach bez końca nakładał nici na



furkoczące krosno. Jego twarz była maską bólu, którego źródło stanowiły bez wątpienia ręce.

Słychać było głuchy ryk przerywany od czasu do czasu krzykiem brygadzysty albo robotnika. Dźwięki obejmowały zakres od piskliwego brzęczenia po głęboki łoskot sprzętu – złożoność tego hałasu wystarczała, żeby udręczyć każde ucho.

Było to swego rodzaju mechaniczne, napędzane parą, piekło Syzyfa.

Jak wiesz Watsonie, nie jestem wrogiem technologii i postępu, w teorii – niekoniecznie w każdym aspekcie praktyki. Na przykład telefon z powodzeniem mógłby w przyszłości zagościć na Baker Street.

Gwoli sprawiedliwości, nie każdy robotnik wyglądał na cierpiącego. Niektórzy dawali sobie radę ze swoją pracą swobodnie i łatwo, najwyraźniej nadawali się do swoich zadań zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Kiedy szedłem między nimi, na krótko zdekoncentrowałem się.

Oczywiście, że czytałem o maszynie zakardowej, ale tam zobaczyłem z bliska, jak funkcjonuje ten genialny wynalazek. Do maszyny wkładano jeden za drugim zszyte nici w długie pasma dziurkowane kartoniki, mniej więcej osiem na dwadzieścia pięć centymetrów. Każdy z kartoników, za pomocą swojego kodu, wskazywał, któredy w wątku tkackim produkowanej tkaniny mają biec nici określonego koloru, żeby powstały skomplikowane wzory. Na moich oczach powstawała tkanina w tureckie wzory,

bogata w błękity i czerwienie, a sterowała tym mechaniczna siła napędowa dziurkowanych kartoników.

Na chwilę zastanowiłem się nad tym. Jeśli człowiek potrafi zaprząć taką technologię do wykonywania wzorów, to jakie inne działania lub procesy mogłyby zostać udoskonalone przez zbiór dziurkowanych kartoników? Czy skomplikowane działanie albo decyzja mogłaby zostać rozłożona w ten sposób, żeby zapisać ją w postaci kodu i odtworzyć? A może dałoby radę rozwiązać łamigłówkę albo wzór matematyczny, który wymaga wielu powtórzeń minimalnie zmieniających się obliczeń?

Oczywiście w mojej pracy najbardziej złożone sytuacje często można było rozwiązać, zwracając uwagę na szczególiki i ich sumaryczne znaczenie. Ale jeśli nie dedukcję, to może indukcję dałoby się skopiować na materiałach nieorganicznych napędzanych parą? Może ostatecznie udałoby się naśladować ludzką myśl w działaniu.

Zafascynowany tymi pomysłami nieomal przegapiłem to, po co przyszedłem. Płacz dziecka przyciągnął moją uwagę do jednego z kątów pomieszczenia. Tam, schowani przed innymi, czterej chłopcy stali przed rzędami wielkich cewek, pracowicie skręcając jedwab. Zakładali długie nici na szpulki i skręcali je w nici nadające się do przedzenia. Jeden z chłopców odsunął się i płakał, z palca tryskała mu krew.

Przysadzisty mężczyzna stojący w pobliżu odwrócił się do dziecka, chwycił zranioną dłoń, szarpnął ją do przodu, przyjrzał się jej i nachylił się do chłopca z szyderym uśmiechem.

– Próbujemy zwrócić na siebie uwagę i zyskać trochę wolnego, co? – powiedział z wściekłością. – Zajmiemy się tym!

Z warknięciem wyjął z kieszeni brudną chusteczkę do nosa. Ku memu obrzydzeniu obwiązał nią zraniony palec tak mocno, że chłopiec znowu zapłakał. Popchnął dziecko w stronę rzędów cewek, chłopiec upadł na podłogę.

– Wracaj do roboty robaczku. Nie dostaniesz kolacji.

Przepełniony odrazą zanotowałem w pamięci, że skoro już zająłem się Bodenem i earlem, niezwłocznie poinformuję Londyn o warunkach w tej fabryce.

– Ty! – Ponad stukotem i rykiem dotarł do mnie piskliwy krzyk. – Ty tam, MacPherson!

Popatrzyłem na długą alejkę między hałaśliwymi bestiami z drewna i metalu. Na jej końcu stali kierownik i kancelista, który powiedział, że mam poczekać, i wskazał na mnie. Wzruszyłem przepaszająco ramionami, usiłowałem wyglądać na zagubionego.

Ale kierownik zrobił wściekły gest i zza jego pleców dwóch wielkich robotników rzuciło się w moją stronę. Nie było czasu na negocjacje. Odwróciłem się i pobiegłem.

Na końcu wielkiej hali fabrycznej było dwoje drzwi. Pierwsze były zamknięte, a ci dwaj coraz bardziej się

zblizali, więc szybko otworzyłem drugie, które wychodziły na małą, wąską klatkę schodową.

Kiedy niezdarnie schodziłem, drewniane stopnie trzeszczały pod moim ciężarem. Podszedłem do drzwi zamkniętych od mojej strony. Odsunąłem zasuwę i wpadłem do środka, wiedząc, że łatwo mogę znaleźć się w pułapce. Ale alternatywa była jeszcze mniej zachęcająca.

Był to rodzaj składziku. W chłodnym, wilgotnym pomieszczeniu, w płóciennych workach stały wielkie bale surowego jedwabiu. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, podstawiłem krzesło pod klamkę i rozejrzałem się za drogą ucieczki. Brudna szyba rzucała słabą poświatę po drugiej stronie pomieszczenia, podbiegłem do niej wąskim przejściem między stosami bali. Kurzyło się wokół mnie, kiedy biegłem.

Moi prześladowcy dotarli do drzwi, słyszałem, jak się z nimi szarpią i krzyczą. Krzesło zagrzechotało pod klamką.

Okno było zamknięte na głucho, kiedy rozglądałem się za czymś, czym mógłbym je rozbić, i ze zdumieniem zauważyłem chłopczyka schowanego w cieniu. Siedział na stosie sfatygowanych koców i przyglądał mi się z zainteresowaniem. Nie miał więcej niż dziesięć, dwanaście lat.

– Cześć – przywitał się. – Uwolnij mnie, proszę.

Drzwi przez cały czas grzechotały.

Chłopiec wyciągnął chude ramię. Było przykute do obręczy na ścianie. Szybko zauważyłem, że obok niego

było kilka innych obręczy, inne wytarte koce i trochę słomy. Brudne, podarte zwierzątko z wypchanej skarpety wyglądało spod jednego z koców.

Dzieci trzymano tutaj jak niewolników, w każdym razie tak to wyglądało. Watsonie, wiesz, że nie jestem sentymentalny, ale to było nie do pomyślenia.

Drzwi znów się zatrzęsyły i usłyszałem, że głosy się oddalają.

Dzieciak patrzył na mnie.

– Mogę ci pomóc – powiedział śmiało. Długa grzywka brudnych brązowych włosów częściowo przysłaniała mu oczy.

Czy była to prawda, czy nie, nie zostawiłbym dziecka w takiej sytuacji. Zbliżyłem się do niego i wyciągnąłem wytrych z zestawu, który zawsze z sobą noszę.

– Zostałeś ukarany? – zapytałem.

– Tutaj śpimy. Ale dzisiaj tak.

– Za co? – Nie odpowiedział. Kilka sekund i uwolniłem go.

– Mogę to dostać? – zapytał, patrząc z fascynacją.

Wróciło więcej głosów i walenie w drzwi zrobiło się głośniejsze. Próbowali użyć kluczy. Idioci.

– Może. Później. Czy stąd jest jakieś inne wyjście?

Zaskoczył mnie uśmiechem.

– Może jest.

Trzask u drzwi powiedział mi, że przynieśli coś, żeby je wyważyć.

– Nie czas na targi.

Chłopiec milczał i tylko patrzył.

– Czego chcesz?

– Ten kluczyk.

– Dobrze. – Dałem mu jeden z moich wytrychów.

– I... jeszcze coś.

Rozległ się kolejny trzask. Przechytrzył mnie dziesięciolatek.

– Co?

– Zabierz mnie z sobą, jak będziesz wychodził.

I tak miałem zamiar tak zrobić, ale skinąłem głową, jakby wygrał. Chłopiec szybko zaprowadził mnie w kąt pomieszczenia. Przesunął wielkie pudło po śliskich kamieniach, odciągnął brudne płótno i odsłonił dziurę wybitą w ścianie. Ledwie się przez nią przecisnąłem za chłopcem i wyszedłem na wąskie przejście poza budynkiem.

Było zamknięte z obu stron wysokimi bramami i drutem kolczastym. Chłopiec wskazał zardzewiałą drabinę prowadzącą na dach, wspiął się na nią jak małpka, ja szybko poszedłem w jego ślady.

Najwyraźniej często korzystał z tego przejścia. Lód na pochyłym dachu był zdradliwy, ale udało się nam przejść w coraz mocniej padającym śniegu i znaleźliśmy się nad szeroką na ponad metr przepaścią między naszym budynkiem a sąsiednim. Przed nami stało świeżo wybudowane skrzydło fabryki.

Chłopiec odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

– Proszę pana, wchodzi pan w to? – Kiwnąłem głową. Skoczył, jak młody zajaczek, odwrócił się i popatrzył na mnie. – Jest pan pewien? – Uśmiechnął się, prowokując mnie, żebym zaryzykował.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu skoczyłem i jeszcze miałem zapas.

– Nieźle, jak na starego – zauważył.

– Stary to względne pojęcie – odparłem.

Właz w dachu otwierał się na kolejny, większy skład, który wyglądał na magazyn wysyłkowy. Stało tam mnóstwo pudeł z gotowym materiałem. Izolacja była szczelniejsza, a temperatura hali znośna.

Zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech i ogrzać dłonie obok otworu, z którego dochodził powiew trochę cieplejszego powietrza unoszącego się z niższego piętra.

Chłopiec skinął na mnie, a ja poszedłem za nim do ciasnej kryjówki za stosem pudeł, gdzie schowano słomę, koce i skromne zapasy żywności. Było tam kilka książek i czasopism, a także parę ogarków świec.

Ale to nie była kryjówka rozmarzonego dziecka, które chciało poczytać i pomyśleć w samotności. Wyglądało to raczej na norę zdziczałych ludzi.

Siedzieliśmy i słyszeliśmy w dali odgłosy pościgu za nami.

– Tutaj nas nie znajdą – powiedział chłopiec. Westchnął i wyjął spod płótna kawałek przybrudzonego chleba. Z

jednej strony pokrywała go zielona pleśń. Ostrożnie odłamał ten kawałek i ugryzł chleb z drugiej strony. Żuł pospiesznie.

Popatrzyliśmy na siebie. Wyciągnął do mnie czysty kawałek. Chleb wyglądał obrzydliwie, ale gest był wzruszająco wspomniałomyślny.

Wziąłem i uśmiechnąłem się.

– Dziękuję.

Udałem, że odgryzam kawałek. Jego ostremu wzrokowi nic nie umykało, popatrzył na mnie z ukosa. Naprawdę ugryzłem kawałek.

– Freddie – przedstawił się. Tak mam na imię. Chciałeś wiedzieć.

– Sierota? – zapytałem.

Roześmiał się gorzko.

– Oczywiście, że nie. Mama zaraz przyjdzie z herbatą i ciastem.

I żeby ochronić cię przed dręczycielami, pomyślałem.

– Zabrano cię z Sierocińca pod Wierzbami? – spytałem.

– A kto chce wiedzieć?

Westchnąłem, zastanawiałem się nad kolejnym posunięciem. Wtedy zauważyłem, że spod koca wystaje poplamiony, z oślimi uszami egzemplarz *Beeton's Christmas Annual*. Natychmiast go rozpoznałem, jako ten, w którym znalazła się pierwsza z twoich – wybaczone Watsonie – cokolwiek przejęskrawionych relacji z naszych przygód.



– Więc czytujesz? – chciałem wiedzieć.

Podążył za moim wzrokiem i schował czasopismo.

– Trochę czytam – przyznał.

– Nauczylesz cię w sierocińcu?

– Mama mnie nauczyła. Przed sierocińcem. Pytam ponownie. Kim jesteś?

– Freddie, mogłeś o mnie czytać. Nazywam się Sherlock Holmes – powiedziałem. – Przyszedłem, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie dzieci, które zniknęły w tej fabryce. Nie wiesz przypadkiem czegoś na ten temat?

Freddie spojrzał na miejsce, w którym schowane było czasopismo. Chciał mi uwierzyć, ale nie mógł.

– Ty nie jesteś Sherlockiem Holmesem. On nie wygląda tak jak ty.

Ależ oczywiście miał rację! Nadal byłem Billem MacPhersonem, robotnikiem dniówkowym. Zdjąłem czapkę i perukę rudych kręconych włosów. Pokazałem własne, ciemne włosy. Potem zdjąłem długie bokobrody i wąsy. Siedziałem przed nim we własnej postaci. Szczęka znów mu opadła.

– Rany! – rzucił. – To jesteś ty!

Watsonie, sądzę, że twoje relacje przynoszą jakąś korzyść.

– Co z tamtymi zaginionymi dziećmi? – zapytałem. – Pospiesz się Freddie, czas się stąd wynosić.

Tama pękła, Freddie okazał się elokwentnym świadkiem. Zniknęło troje dzieci, ostatnie z nich było jego

bliskim przyjacielem. Wszystkie z sierocińca, sami chłopcy między dziesiątym a dwunastym rokiem życia.

Nie było świadków samego uprowadzenia, nie licząc pierwszego z dzieci, a i to nie było oczywiste. Freddie widział jednak kogoś, kogo opisał jako »bardzo dużego mężczyznę« stojącego w głównych drzwiach fabryki. Ten mężczyzna pojawiał się dwukrotnie w czasie, kiedy dzieci znikwały. Raz pokazał na Petera, małego, jasnowłosego chłopca, który zniknął pierwszy. Poderwał Petera z fabrycznej podłogi, wyniósł z sali, a kiedy chłopiec zaczął jęczeć ze strachu, obiecano mu »słodycze, jeśli się uspokoi«. Wtedy po raz ostatni widziano biednego Petera.

Watsonie, wtedy zrobiłem coś, czego żałuję. Wyciągnąłem jedno ze zdjęć, które z sobą przyniosłem. Pokazałem je Freddiemu. Pobladł, odwrócił wzrok, zaklął i próbował powstrzymać łzy.

– Znasz go? – zapytałem.

– To Peter – odpowiedział szeptem. – Fajny chłopaczek. Masz więcej takich zdjęć?

Nie powinienem pokazywać mu nawet tego jednego. Niech mi Bóg przebaczy, Watsonie, ale powiedziałem, że więcej nie mam. Zwrócił się do mnie z nagłą agresją.

– Zabiję tego, kto to zrobił – warknął.

– Nie, Freddie. Prawo zwycięży. Doprowadzę do tego, że zostaną ukarani, mogę ci to obiecać – powiedziałem. – Teraz musisz mi pomóc. – Wypytywałem go jeszcze o

»wielkiego mężczyznę«, ale Freddie nie był w stanie powiedzieć o nim nic więcej.

– Nikt nie pytał o chłopców, którzy zaginęli? – zdziwiłem się.

– Ja raz zapytałem o mojego innego przyjaciela, Pauliego. To dlatego mnie tutaj zamknęli. Powiedzieli: »Pytaj, pytaj, to będziesz następny«.

– Freddie, musimy już ruszać – powiedziałem. – Potrafisz wyprowadzić nas z fabryki?

Kiwnął głową. Zastanowiło mnie, dlaczego nie uciekł wcześniej.

– Ale ja nie mam dokąd pójść, proszę pana – stwierdził, jakby odpowiadając na moje myśli.

– Zostaw to mnie – oznajmiłem.

I tak, Freddie i ja opuściliśmy miasto. Temperatura jeszcze bardziej spadła. Zauważyłem, że wytarte ubranie chłopca nie może ogrzać jego chudego ciała. Wszedłem do sklepiku i kupiłem mu gruby płaszcz, szalik, czapkę, rękawiczki i skarpetki.

Ale nie mogliśmy zostać w mieście. Do tej pory, Watsonie, ludzie Bodena musieli się dowiedzieć zarówno o mojej maskaradzie w Clighton, jak i o naszej wizycie w więzieniu. Wkrótce usłyszą o nieproszonym gościu w fabryce i połączą fakty.

Zanim się się na mnie zaciśnie, muszę dostać się do kostnicy i zbadać ciało pani Pellingham. Ale co mam zrobić z chłopcem?

Właśnie wtedy przypomniałem sobie o wizytówce doktora Phila. Poszliśmy do wygodnego domku na przedmieściach, w którym znajdował się zarówno gabinet lekarski, jak i jego mieszkanie.

Zadzwoiłem. Drzwi otworzyła imponująca młoda Walkiria, z włosami blond ściągniętymi w węzeł z tyłu głowy, ubrana w praktyczną suknię i poplamiony krwią fartuch pielęgniarki ze szpitala wojskowego. Stała i patrzyła pytająco.

– Czy to nagły przypadek? – zapytała uprzejmie, ale tonem, który nie znosi braku powagi. – Jest już po godzinach pracy i pan doktor teraz odpoczywa.

Freddie wybuchł płaczem i kobieta natychmiast złagodniała. Annie Philo, bo była żoną doktora, uklękła, żeby znaleźć się twarzą w twarz z chłopcem.

– Co się stało, człowieczku? – zapytała życzliwie. – Wyciągnął rękę, jakby był zraniony, a ona wzięła ją i dokładnie się jej przyjrzała. Podniósł głowę i mrugnął do mnie, ten mały diabełek!

Obok żony pojawił się doktor Philo.

– Annie – powiedział – to pan Sherlock Holmes, przyjaciel doktora Watsona. Mówiłem ci o nim.

Wkrótce grzaliśmy się przy kominku w obszernej kuchni Phila, obficie zaopatrzeni w zupę, herbatę i brandy. Freddie jadł jak wygłodniałe szczeniátko i siorbał, dopóki nie upomniałem go spojrzeniem. Ale nasze wygody były krótkotrwałe.

Kiedy zapytałem doktora Phila, czego się dowiedział o śmierci lady Pellingham, odpowiedział:

– Nie doszły do mnie informacje z Clighton, więc pod jakimś pretekstem wybrałem się do kostnicy i zapytałem o przypadki śmierci z ostatniej doby. Nie dostali żadnych zwłok, nie licząc starego farmera, który poprzedniego wieczoru zmarł z wychłodzenia. Zdumiało mnie to, ale nie było sensu naciskać dalej. Potem poszedłem na cmentarz i ku swemu przerażeniu stwierdziłem, że zaledwie kilka godzin wcześniej odbył się pogrzeb. Nikt się do tego nie przyzna, ale widziałem świeżą ziemię i usunięty śnieg. Jeśli nie wezwano ani koronera, ani przedsiębiorcy pogrzebowego, można założyć, że to przestępstwo. Panie Holmes, uważam, że dzisiaj, o trzeciej po południu, lady została pogrzebana!

Skoro się tego dowiedziałem, nie mogłem zwlekać, sprawa była pilna. Powiedziałem doktorowi Philowi i jego żonie, że pójdę na cmentarz, jak tylko się ściemni, i wykopię ciało lady Pellingham, żeby dotrzeć do prawdy o jej morderstwie. Cieszyło mnie tylko to, że zwłoki nie zostały skremowane.

Doktor Philo rozumiał mnie doskonale.

– Pójdę z panem – oznajmił. – Ziemia będzie zmarznięta, trudna do kopania.

Żona położyła mu dłoń na ramieniu.

– Hectorze, nic z tego. Musisz myśleć o rodzinie, bo jak złapią pana Holmesa, to mogą go za to powiesić.

– Ale tamta lady! Sprawiedliwości musi się stać zadość! – krzyknął.

– Nie – wtrąciłem się. – Nie pozwolę, żeby mi ktokolwiek towarzyszył. Ale gdybym nie wrócił do rana, zatelegrafujcie do mojego brata Mycrofta i przekażcie na ten adres załączoną wiadomość”.

Holmes w tym miejscu zawiesił opowiadanie, dopuścił, żebym mu przerwał, i odparł:

– Wybacz Watsonie, nie mogłem na ciebie czekać. To trzeba było zrobić natychmiast, pod osłoną ciemności. Owszem, zgadzam się, gdybyś był ze mną, obrót spraw byłby inny. Ale pozwól, że dokończę...

Zastosowałem się i Holmes podjął opowiadanie.

„Doktor Philo wyszedł, żeby przynieść mi łopatę i kilof, których będę potrzebował, a także płaszcz przeciwdeszczowy i wysokie buty. Freddie drzemał przy kominku, pani Philo okryła go kocem i podeszła do mnie.

– Przepraszam – powiedziała. – Mam nadzieję, że pan zrozumie.

– Tak. Rozumiem, że pani jest w ciąży.

– Mój Boże! – krzyknęła. – Ale skąd pan wie? Jeszcze nie powiedziałam Hectorowi!

– Rabarbar na stole, obok magnez i pomarańcze poza sezonem na parapecie. Rano ma pani bóle – odrzekłem.

– Och... cóż, to wydaje się takie oczywiste, kiedy pan o tym mówi.

Watsonie, jak zwykle, kiedy opowiadam o swoich metodach, wydają się banalne.

– Proszę pani, nie wydam pani tajemnicy. I w żadnym razie nie pozwolę, żeby ze mną poszedł. To jest robota tylko dla mnie. Ale bardzo chciałbym odpocząć, zanim się ściemni. Ma pani jakieś miejsce?

Annie Philo przygotowywała tymczasowe łoże na kanapie w gabinecie, a ja stałem przy oknie i patrzyłem na dwór. Wiatr się wzmógł, zaczęła się śnieżycą. Na wieczór zapowiadała się burza. Wiedziałem, że grób postawi mi więcej niż jedno wyzwanie. Martwiło mnie przekopywanie zamarznętej ziemi, miałem nadzieję, że sprostim temu zadaniu”.

## 24. Watson prowadzi śledztwo

Po przybyciu pod 221B wbiegłem po schodach i zastałem drzwi szeroko otwarte, a Lestrade i jego ludzie nadal tam byli, wiele godzin po wezwaniu.

Rozejrzałem się zaniepokojony. Najwyraźniej w naszych pokojach odbyła się gwałtowna walka. Chociaż nie było widać „wielkiej ilości krwi”, meble były przewracane do góry nogami, papiery porozrzucone, wazon z kwiatami pozrzucony i rozbity, a woda z niego poplamiała dywan i kanapę. Jedna z kotar była zerwana.

– Mój Boże, co się tutaj stało?! – krzyknąłem.

– Doktor Watson! Co za ulga, że pana widzę! Wszyscy mieliśmy nadzieję, że pan nam o tym opowie – rzekł Lestrade, wstając ociężale z kanapy i podchodząc do mnie z miną pokonanego. – Dostaliśmy pański telegram i tak się cieszę, że to słyszę. Niepokoił się o was dwóch, doktorze.

– Holmes jest bezpieczny w Lancashire – powiedziałem szybko, z nadzieją, że to nadal prawda. – Czego się dowiedzieliście?

– Doktorze, to dobra wiadomość. Bałem się, że będziemy trałować Tamizę w poszukiwaniu dwóch ciał – powiedział Lestrade.



– Ale kiedy tu przyszliście nikogo więcej nie było?

– W środku nie. Ale wydaje się, że wtedy była tu kobieta i dwie inne osoby. Wygląda na to, że Francuzka. Nawet dość elegancka. – Popatrzył na mnie z podejrzliwym podziwem. Nie miałem na to czasu.

– Ale na zewnątrz? Co znaleźliście? Kto was wezwał?

– Ktoś usłyszał z ulicy hałasy i powiedział co to za mieszkanie. Ale kiedy przyjechaliśmy, nikogo nie było.

– Żadnych trupów?

– Cóż, był jeden. Przed domem.

– Mężczyzna? Kobieta? Przecież nie dziecko! No mówże, Lestrade!

– Przepraszam, to był bardzo męczący dzień. Powiedziałbym, że to był mężczyzna koło czterdziestki. Dobrze ubrany. Miał wizytówkę Mycrofta Holmesa, brata pana Holmesa. Uważamy, że mógł pracować dla starszego z Holmesów. Prowadzimy śledztwo...

– Ale krew! Gazeta pisała o krwi!

– Już ją usunęliśmy.

– Dlaczego? Jak będę mógł powiedzieć, co się tutaj wydarzyło?

– Sądziliśmy, że pana zabito. Więc ze względu na panią Hudson... Ta dobra kobieta wychodziła z siebie na widok krwi. Na szczęście, kiedy nastąpiła napaść, była poza domem.

– Bogu dzięki za to.

– Ale oczywiście wszystko spisaliśmy i zmierziliśmy, doktorze. Proszę się uspokoić. To była kałuża, o tutaj. – Lestrade

wskazał plamę na drewnianej podłodze pod oknem. Została wymyta.

– Czy dotykaliście jeszcze czegoś albo coś przesuwaliście? – zapytałem.

Podszedł jeden z ludzi Lestrade'a.

– Sir, krew była jeszcze na klatce schodowej. Przy drzwiach.

Jak mogłem tego nie zauważyć, kiedy wchodziłem?

Na ścianie, niedaleko drzwi z ulicy, widniała wielka, ciemnoczerwona plama. Zbadałem ją i zobaczyłem chlapnięcie i smugę. Korzystając z metod Holmesa, wydedukowałem, że ktoś otrzymał mocny cios, upadł na ścianę, a potem ciągnięto go wzdłuż niej, z czego wzięła się smuga.

Przeszedł mnie dreszcz paniki. Czy mogła to być mademoiselle La Victoire? Albo dziecko? Nie, smuga była zbyt wysoko na ścianie. Więc może Vidocq albo któryś z napastników.

Wróciłem na górę, żeby spróbować za pomocą metod Holmesa dokonać dokładnych oględzin salonu. Ale było tak jak z zapachami, które niewykrywalne dla człowieka są oczywiste dla psa. Jestem pewien, że śladów było w bród, tylko ja po prostu nie potrafiłem ich odczytać.

Na kanapie było nacięcie. Noże. Może grupa odzianych na czarno mężczyzn? Rozejrzałem się za śladami po kulach, ale nie zobaczyłem żadnego, nie licząc ćwiczeń strzeleckich Holmesa z wirtualnym celem na ścianie.

Szczęśliwie, jego stradivarius stał bezpiecznie w kącie. Ale stół do doświadczeń chemicznych wraz z wyposażeniem był w

drzazgach.

– Obawiam się o los naszych gości – oznajmiłem. – Niech pan powie, co jeszcze znaleźliście.

– Przede wszystkim, kim ci goście byli? – zapytał Lestrade. – Może to powiedziałyby nam, kto przybył, żeby na nich napaść. Szczególnie kim była ta kobieta, doktorze?

Popatrzył na mnie z uśmiechem. Jego zaciekawienie tą kobietą graniczyło z impertynencją.

– Klientką – odparłem rzeczowo. – Pytam ponownie, co znaleźliście? – Niecierpliwość, którą żywił mój przyjaciel wobec policji, z minuty na minutę stawała się coraz bardziej zrozumiała.

– Francuzka, o ile rozumiem?

– Lestrade! To niebezpieczna sprawa, a tutaj było troje ludzi, w tym dziecko! Nasza klientka – owszem, jest Francuzką – jej synek i człowiek, który miał ich chronić.

– W porządku, zatem to tłumaczyłoby ten bałagan – stwierdził Lestrade. – Odbyla się tutaj ostra walka. Sądzę, że paru mężczyzn wzięło w niej udział w waszym salonie. Tutaj nie ma ciał, przeszukaliśmy dom od góry do dołu. Pozostaje pytanie, kto z kim wyszedł i w jakich okolicznościach.

Właśnie wtedy zauważyłem kajdanki zwisające ze słupka jednej z naszych biblioteczek. Co, u diabła, tutaj się działo?

Pobiegłem na górę, do mojej starej sypialni. Kiedy otworzyłem na oścież drzwi, uderzył mnie mocny zapach perfum Jicky. Na podłodze leżała rozbita buteleczka, a obok strzaskana kryształowa karafka. Łóżko było zniszczone, jakby

zeskoczył z niego ktoś ogarnięty paniką. Stolik był przewrócony. Kiedy tam mieszkałem, leżało na nim wiele książek medycznych i książka marynistyczna. Torba podróżna mademoiselle La Victoire spadła z półki, wysypała się z niej delikatna koronkowa bielizna.

Kiedy wszedłem, oglądał ją krzepki, młody policjant i chyba był bardziej nią zainteresowany, niż powinien.

– Jakież ślady? – zapytałem ostro.

Zawstydzony rzucił delikatne rzeczy i zerknął na mnie.

– Kim pan jest? – rzucił groźnym tonem.

– Jestem doktor John Watson, a pan stoi w moim pokoju. Albo raczej w tym, co nim było. – Moje oburzenie na jego zachowanie przejściowo pokonało logikę. Znacząco uniósł brwi i uśmiechnął się. Można to było opisać wyłącznie jako zazdrosny podziw.

– Przepraszam, sir – powiedział. – Nie chciałem się wtrącać.

– Z tego pokoju korzystała kobieta z synem. Dziękuję, że trzyma się pan swoich spraw – rzekłem.

Rozejrzałem się, czy nie ma gdzieś krwi, ale nie zobaczyłem śladów. Jednak ulga była krótkotrwała. Zauważyłem coś pod biurkiem. Pochyliłem się i podniosłem to. Był to konik zabawka, miał ułamaną szyję i leżał pod dziwnym kątem. Tu było dziecko, zgnieciono jego zabawkę! Byłem coraz bardziej zaniepokojony.

– Ach, nie zauważyliśmy tego – odezwał się młody policjant.

Westchnąłem. Gdyby tu był Holmes, zdążyłby już zobaczyć oczami duszy cały obraz sprawy. Wróciłem na dół, odczuwałem

silne pragnienie działania, ale brakowało mi celu. Weszła pani Hudson, niosła tacę z herbatą dla Lestrade'a i jego ludzi. Kiedy mnie zobaczyła, niemal upuściła tacę, zdołała ją jednak postawić na stole. Rzuciła mi się w objęcia.

– Och, doktorze! Tego jest za wiele! Za wiele! – krzyknęła.

Objąłem ją serdecznie. Biedna pani Hudson: najpierw Holmes, jego zwątpienie i pożar, potem ci dziwni goście z Francji, a teraz to.

– Ale z panią wszystko w porządku, dzięki Bogu! – zauważyłem.

– A pan Holmes? – zapytała, nadal drżąc.

– Jest bezpieczny w Lancashire – zapewniłem ją. – Muszę się dowiedzieć, dokąd poszli albo zostali zabrani nasi klienci. Niczego pani nie słyszała?

– Nie było mnie tutaj! – powiedziała. – Wezwano mnie do mojej siostry w Bristolu, okazało się, że to fałszywy alarm. Sądzę, że chodziło o to, żebym nie przeszkadzała.

Ulżyło mi, że pani Hudson była w bezpiecznym miejscu. Jednakże, szczerze mówiąc, zupełnie nie wiedziałem, co robić dalej. Pani Hudson sama podsunęła mi odpowiedź.

– Proszę ze mną doktorze, mam coś dla pana – wyszeptała.

Poszedłem za nią, na dół, do jej mieszkania. Otworzyła drzwi, a ja po raz pierwszy wszedłem do małego królestwa naszej gospodyni. Jasna tapeta w kwiaty i ładny stoliczek przy wejściu pokryty świąteczną zielenią w połączeniu ze smakowitym zapachem piernika dobiegającym z kuchni pani Hudson wywołały we mnie nagłą nostalgię do dni spędzonych tutaj z

Holmesem. Chociaż pani Hudson była naszą gospodynią, a nie pomocą domową, i tak opiekowała się Holmesem i mną, tak jak dobrotliwa ciocia mogłaby opiekować się parą późno dojrzewających uniwersyteckich elegantów.

Ale te myśli szybko przeszły. Nasi klienci byli w niebezpieczeństwie. Pani Hudson podeszła z listem od Mycrofta z Diogenesa.

– Dwie godziny temu przyniósł go posłaniec – wyjaśniła. – Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że pan tutaj będzie.

Ale Mycroft wiedział mnóstwo rzeczy. Rozdarłem kopertę i przeczytałem list.

*Panie doktorze!*

*Mój brat na pewno wysłał panu list z Lancashire. Zapewniam pana, że wasza klientka, Emmeline La Victoire, jej syn i Jean Vidocq są bezpieczni. Moi ludzie przybyli na miejsce troszeczkę za późno. Krew, którą pan widział, pochodzi z małej rany na głowie pana Vidocqa. Niemniej radzę, żeby pan się z nimi natychmiast spotkał pod podanym poniżej adresem, pod którym Vidocq ich ukrył. Należy za wszelką cenę odwiedzić La Victoire i jej syna od wyjazdu do Lancashire. Może to być niebezpieczne dla nich dwojga, zanim sfinalizuję moje plany.*

*Mycroft*

Adres podany pod spodem był dobrze mi znanym miejscem.

O zmierzchu pojechałem dorożką z Baker Street na wschód, do Oxford Street, potem na południe, przez Hanover Square i

przybyłem do Verrey's, na rogu Regent Street. W tej eleganckiej francuskiej restauracji jedliśmy kiedyś z Holmesem obiad po szczególnie dobrze płatnej sprawie.

Lokal nie był jeszcze zatłoczony, bo było za późno dla dam, które tu przychodziły po zakupach, a za wcześnie na modne obiady. Właściciel z początku nie miał ochoty przyznać, że ukrywa naszą klientkę, ale na wspomnienie Mycrofta Holmesa natychmiast zmienił podejście.

Zaprowadził mnie do drzwiczek na końcu schodów za kuchnią. Zapukałem. Słysząc było ruch, ale odpowiedzi nie było.

– To ja, John Watson! – krzyknąłem. – Mademoiselle La Victoire, mam informację od pana Holmesa. – Usłyszałem gniewne szeptanie, potem drzwi uchyliły się i wyjrzała mademoiselle La Victoire.

Na twarzy pojawił jej się wyraz ulgi, wpuściła mnie.

– Och, *Mon Dieu!* – krzyknęła. – Doktorze Watson, gdzie jest pan Sherlock Holmes? Tylko informację? Jego tu nie ma? – Spojrzała na schody z widoczną nadzieją. Potem rzuciła mi się w ramiona.

Chwała Bogu, była cała i zdrowa.

– *Ferme la porte!* – Zza jej pleców dobiegł szorstki głos. Kiedy zamknęła za nami drzwi, zobaczyłem Vidocq'a. Leżał na plecach, na małym łóżku, głowę miał owiniętą jedwabnym szalem z nieprzebranego zbioru mademoiselle. Szal był poplamiony krwią, a Francuz był blady. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem dziecko.

Emil siedział przy stole, zgarbiony i nieruchomy. Podobieństwo do matki było uderzające – w jego bladej skórze, zielonych oczach, nosie było coś, co bardzo ją przypominało, ale blond loki musiały być spuścizną po ojcu.

Jego zachowanie zaniepokoiło mnie. Nie ruszał się, był blady, a kiedy na niego spojrzałem, odwrócił wzrok, jakby czyniąc to, mógł stać się niewidzialnym. Zaczął się kołysać w przód i w tył, cicho pomrukując. Widziałem ludzi w takim stanie, gdy zostali pokonani w bitwie. Chłopiec przeszedł uraz.

Popatrzyłem na jego matkę. Oczy miała pełne łez.

– Nie może mówić – wyszeptwała.

– Nie chce mówić – warknął Jean Vidocq z łóżka.

Zawahałem się. Wziął we mnie górę lekarz. Stanu dziecka, chociaż wywoływał mocne zaniepokojenie, nie można było z miejsca poprawić. Mademoiselle La Victoire nie odniosła obrażeń, ale było wielce prawdopodobne, że Vidocq doznał wstrząśnienia mózgu.

Na prośbę mademoiselle zbadalem ranę głowy Vidocq'a.

Bez jakichkolwiek uprzejmostek pozwolił, żebym odwinął bandaż. Zacząłem czyścić, zszywać i opatrywać powierzchowne, ale długie nacięcie.

– Vidocq, kto pana zaatakował? – zapytałem. – Czego chcieli?

– Ci sami ludzie, którzy napadli na nas w Paryżu. Przybyli, żeby zabić pańskiego przyjaciela.

– Ale nie pana, ponownie? – zastanawiałem się, wyciągając igłę.



– Aj! Doktorze, ostrożnie! – Skrzywił się, ale przyznam, nie było we mnie tyle współczucia, ile powinno. – Pański przyjaciel był nieostrożny. Zakładam, że ujawnił się podczas śledztwa w dokach i pokazał łajdakom drogę do swojego domu.

Wątpilem. Kiedy Holmes chciał podróżować tak, żeby go nie wykryto, nie można było go zobaczyć, szczególnie w Londynie, gdzie znał na pamięć każdy zaułek. Nawet ja nie rozpoznałem go, gdy przebrał się za podstarzałego marynarza.

– Tak, wielki Sherlock Holmes popełnia błędy – powiedział Vidocq.

Na te słowa wtrąciła się mademoiselle La Victoire.

– Jean, kłamiesz. To ty wyszedłeś z doków w ubraniu pana Holmesa! Jeśli wziąć pod uwagę, kiedy nastąpił atak, to ty przyciągnąłeś wilki do legowiska!

Wymieniliśmy z nią pełne zrozumienia spojrzenie. Machnąłem na to ręką. Teraz byli bezpieczni, przynajmniej na razie. Skończyłem z Vidocqiem, wróciłem do dziecka i uklęknąłem przed nim.

– Emil? – odezwałem się łagodnie. – Nazywam się Watson i jestem lekarzem. Jestem przyjacielem twojej ma... obecnej tutaj mademoiselle La Victoire. Tej pani, która tak bardzo cię kocha. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

Chłopiec poruszył oczami, nie chciał odpowiedzieć na moje spojrzenie, zaczął kręcić się i cichutko zawodzić. Mój Boże, co się stało temu chłopcykowi? Musiałem go zbadać, ale to nie był dobry czas ani miejsce. Wstałem i zobaczyłem, że mademoiselle La Victoire zbiera swoje rzeczy.

– Co pani robi? – zapytałem.

– Mam zamiar stanąć twarzą w twarz z tym potworem. Jego ojciec odpowie przede mną za wszystko, co stało się mojemu... co stało się Emilowi – odparła. – Pociąg do Lancashire odchodzi za czterdzieści pięć minut. Emil i ja pojedziemy nim.

– *Oh, non.*

Vidocq zerwał się z łóżka.

– *Mais oui!* – powiedział. – Kochana, pojedę z tobą.

Dureń! Oczywiście, że chciałby pojechać do Lancashire. W pogoni za posągiem, który miał tam przybyć lada moment!

Mycroft ostrzegł mnie, żebym odradził im powrót, ale chodziło nie tylko o to. Bałem się reakcji dziecka, gdyby odkryło, że kobieta, którą kochał jak matkę, została zamordowana. Zmuszanie dziecka w takim stanie do stawienia czoła temu faktowi mogło zakończyć się nieszczęściem.

– Nie! – wykrzyknąłem, stając naprzeciwko Vidocq. Za nim mademoiselle La Victoire zbierała swoje rzeczy. – To niebezpieczne, żeby zabierał pan z sobą mademoiselle i Emila!

– A dlaczegoż to? – zapytał Vidocq.

Nie byłem pewien, ile mogę ujawnić na tym etapie, ani nie chciałem mówić o wszystkim, kiedy Emil był w pokoju. Ściszyłem głos.

– Niech pan pomyśli o dziecku! Wysłano go do Londynu dla jego bezpieczeństwa. Nie został porwany. Tam czyha na niego niebezpieczeństwo.

Mademoiselle La Victoire podeszła bliżej i stanęła między nami.

– Gdzie jest teraz pan Holmes? – zapytała.

– Kiedy tu rozmawiamy, on pilnuje earla – odparłem. – To trudna sprawa i najlepiej będzie, mademoiselle, zostawić ją profesjonalistom. Wkrótce zostanie wezwana policja.

– Naprawdę? Monsieur Holmes popełnił wiele błędów, *n'est-ce pas?* Być może to kolejny błąd – zauważył Vidocq. Wiedziałem, że myślami nadal jest przy Nike.

– Proszę – zwróciłem się do lady. – To skomplikowana historia. Chodzi tam również o inne dzieci.

– Inne dzieci? – zapytała mademoiselle La Victoire. – Czy inne dzieci były... – Popatrzyła na Emila i zabrakło jej sił, żeby skończyć zdanie.

– Gorzej, mademoiselle – powiedziałem. Wytrzymała moje spojrzenie.

– Rozumiem – odpowiedziała. – Zatem, jeśli to, czego się obawiam, jest prawdą, Emil nie będzie bezpieczny, dopóki nie pozbedziemy się zła. Mówi pan, że pan Holmes zajmuje się moją sprawą? A nasz Vidocq pojedzie z nami. A pan, doktorze? Jedzie pan? Sądzę, że trzech mężczyzn tacy jak wy obronią Emila i mnie.

Zawahałem się. Zaniepokojenie o Holmesa trawiło mi umysł, sam też chciałem wrócić do Lancashire.

– Zresztą – zaczęła mademoiselle – pojedzie pan czy zostanie, odjeżdżam najbliższym pociągiem.

– A ja będę z panią – rzekł Vidocq.

Błyskawicznie wysłałem krótki liścik do Mycrofta i wybrałem się z nimi do Euston. Po godzinie siedzieliśmy w przedziale

pierwszej klasy i jechaliśmy do Lancashire. Emil natychmiast zasnął w objęciach matki, a ona zdrzemnęła się nad synkiem. Vidocq i ja nie spaliśmy. Pociąg gnał na północ, w stronę nadciągającej burzy; gestem poprosiłem Vidocq'a, żeby wyszedł ze mną na korytarz przed przedziałem, gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać.

– Vidocq – powiedziałem, częstując go papierosem. – Potrzebuję pewnych informacji. – Wziął papierosa i czekał, aż mu go zapalę. Nie zareagowałem na to, więc zapalił go sam, niedbale rzucając zapalniczkę na podłogę.

Potem swobodnie oparł się o okno. Jego nonszalancki uśmiech i bandaż nadawały mu wyraźną aurę teatralnego pirata. Zaciągnął się parę razy i popatrzył na mnie przez dym.

– O co ci chodzi? – zapytał. Boże, ależ ten człowiek był irytujący.

– Powiedz, co zaszło w Londynie, kiedy nas nie było. Czego dowiedziałeś się o ludziach, którzy zabrali Emila? Na co zwróciłeś uwagę, jeśli chodzi o dziecko? Powiedz wszystko, co mogłoby nam pomóc w Lancashire.

Chwilę milczał, zaciągnął się, rozkoszował się dymem. Potem przydeptał papierosa na podłodze i zaczął mówić.

## 25. Opowieść Vidocq'a

Kiedy staliśmy z Vidocqiem w korytarzu przed przedziałem, za oblodzonym oknem zapadł wczesny zmierzch. Mademoiselle La Victoire i Emil drzemali w naszym przytulnym przedziale i z miejsca, w którym staliśmy, było ich widać przez małą lukę w okiennych zasłonach. Co prawda nie mogę ręczyć za dokładność mojego francuskiego kolegi, ale jestem pewien własnej precyzyjności. Zaraz po tej rozmowie poczyniłem notatki. Uważam, że w ogólnym zarysie są co najmniej dokładne. Oto co własnymi słowami powiedział mi Jean Vidocq.

„Jak dobrze wiesz, doktorze, po naszym spotkaniu z tobą na ulicy Cherie i ja odwiedziliśmy Mycrofta, brata twojego przyjaciela. Oboje nie byliśmy zadowoleni z jego planu, zalecił mi, żebym przestał szukać Nike (w ten sposób potwierdzając podejrzenia Cherie, że Nike jest moim priorytetem, co nie mogło przybliżyć jej do mnie!). Mycroft Holmes kazał mi pójść pod pewien adres w Bermondsey, gdzie jego ludzie umieścili Emila. Zostałem poinformowany, że twój przyjaciel ulokował posąg w londyńskich dokach, ale Mycroft Holmes zapewnił mnie, że załatwił z Sûreté zwrot Nike do Francji, a część chwały

za jej odzyskanie spadnie na mnie, w zamian za obecną współpracę.

W pełni zdawałem sobie sprawę, że odepchnięto mnie na bok, żeby ten szkodnik, brat Mycrofta – nie, ja nie będę przebierał w słowach, jeśli chodzi o twojego przyjaciela – mógł publicznie odzyskać Marsylską Nike, kiedy ja będę miał na karku moją ukochaną i jej zaginionego syna. Przyznam, że to, jak to wy mówicie, nie leżało mi.

Chociaż oczywiście nie jestem odporny na wzniosłe uczucia i bolesne emocje mojej ukochanej kobiety, to jednak zignorowanie tego wścibskiego pozera, Mycrofta Holmesa, wydawało się jedynym logicznym wyjściem. Zatem, jak sam pewnie byś uczynił na moim miejscu, postanowiłem przede wszystkim zrealizować moją najpilniejszą misję.

Tak rozumowałem: posąg bez wątpienia opuści Londyn w najbliższym czasie, a chłopiec w ich mniemaniu jest bezpieczny i mało prawdopodobne, żeby wkrótce mieli go zabrać.

Z tym priorytetem w głowie sprawiłem, że wróciliśmy pod 221B, gdzie poprosiłem Cherie, żeby spakowała nasze rzeczy na »szybki wyjazd do Paryża«, podczas gdy ja wyjdę sam, odnajdę chłopca i wrócę z nim za kilka godzin. W moim planie pierwsze miejsce zajmowała, rzecz jasna, szybka wizyta w dokach, ale nie zwierzyłem się jej z tego.

Ale *hélas!* Moja ukochana Cherie nie chciała o tym słyszeć. Chciała sama pójść po Emila. Chciała pójść prosto

z Diogenesa i nawet nasz powrót pod 221B szalenie ją niecierpliwił.

Podejrzewałem, że moja ukochana ma inny porządek dnia. Odszyfrowałem, że siedzi w niej potężna wściekłość – gniew i furia, której, jak to wy mówicie, nie uśmierzy samo uratowanie Emila. On był dla niej najważniejszy, ale... chciała się dowiedzieć, dlaczego doprowadzono go do takiego stanu. A jeśli dziecko zostało w jakikolwiek sposób skrzywdzone, wiem, że nie wyjechałaby z Anglii, nie mszcząc się.

Ha! Kobiece emocje. Nie pomogą w naszych sprawach, *n'est-ce pas?* Stała przy drzwiach mieszkania twojego przyjaciela, wściekła, irracjonalna, nie pozwalała, żebym poszedł sam. Od razu wiedziałem, że stanowi zagrożenie nie tylko dla mojej misji, ale także dla ratowania jej syna. Podjąłem nagłą decyzję.

– Cherie, moja kochana – powiedziałem. – Chodź! Wyjrzyj przez okno. Czy na ulicy jest ktoś, kto za nami szedł? Będziemy musieli kluczyć, żeby odzyskać Emila.

Podeszła do okna i spojrzała w dół.

– O mój Boże – mruknęła. – Tam ktoś jest! Jean, niecałe dwadzieścia minut temu widziałam tego człowieka przed Diogenesem! To nie może być przypadek.

Ale... co to było? Zwabiłem ją podstępem do okna, żeby wyjąć coś z mojej torby podróżnej, którą schowałem za plecami. Ale tam *vraiment* ktoś był?

Schowałem przedmiot w kieszeni, podszedłem do niej i zaciągnąłem zasłony. Moja ukochana miała rację. Tam, po drugiej stronie ulicy, pod okapem kulił się człowiek, próbując się ukryć. Kiedy mu się przyglądaliśmy, popatrzył w okno. *Alors!* Ale może uda mi się to wykorzystać. Poprawiłem zasłony i wziąłem Cherie za rękę.

– Kochanie – zacząłem – najbezpieczniej byłoby, gdybyś tutaj została. Samemu łatwiej mi będzie wywieść go w pole, a to będzie w najlepszym interesie Emila.

Byłoby lepiej dla nas obojga, gdyby się zgodziła.

– Nigdy – odparła. – Pójdę z tobą do Emila. On nie wyjdzie z obcym.

Niestety, nie zgodziłem się. Szybkim ruchem wyjąłem kajdanki, które schowałem do kieszeni, i przykułem moją ukochaną do słupka wielkiego regału na książki w waszym *salon*.

Na południu Francji mamy szczególny rodzaj wiatru. Powstaje jakby z niczego i uderza z wściekłością, która może zwalić mały dom. Nazywa się go *le mistral*. I właśnie taka była reakcja mojego delikatnego kwiatuszka.

Kopniak został wymierzony w moje najbardziej wrażliwe miejsce, po nim nastąpił prawy prosty z wolnej ręki, przewróciłem się do tyłu na podłogę, a doniczka z jej cholernymi kwiatami rozbiła mi się na głowie.

– *Salaud!* – krzyknęła, czego raczej nie będę tłumaczył. Nastąpiła zapora ogniowa ze słów i dzika szarpanina.



Wstając z podłogi, podniosłem krzesło i łagodnie przesunąłem je do niej, tak jak się podchodzi do lwa w cyrku. Odpowiedziała rykiem.

Chciałem tylko dać jej miejsce spoczynku, kiedy będzie na mnie czekała, ale ona wyszarpnęła mi krzesło z rąk i rzuciła nim przez pokój. Mało nie trafiło w jakieś stare skrzypce. Przepraszam, ale co to znaczy »stradivarius«? W każdym razie krzesło przewróciło stół, a stojąca na nim aparatura chemiczna roztrzaskała się na podłodze. Jakieś bulgoczące płyny rozlały się wszędzie. Ten smród!

Nie udało mi się zapewnić jej wygody, więc chwyciłem dwie poduszki z otomany i rzuciłem nimi z odległości.

– Siadaj! – przekrzyczałem jej wrzaski. – Wrócę... z twoim synem!

Spostrzegłem, że moje palto i kapelusz są niebezpiecznie blisko niej, więc zostawiłem je tam, chwyciłem kapelusz i płaszcz z wieszaka przy drzwiach i wypadłem na dwór.

Gdy już byłem na zaśnieżonych ulicach, rozejrzałem się, ale człowiek, który krył się w cieniu najwyraźniej zrezygnował i poszedł. Może nie szedł za nami, a tylko szukał schronienia. Ale miałem coś ważniejszego do zrobienia”.

Wtrąciłem się w tym miejscu jego opowiadania.

– Zostawiłeś mademoiselle La Victoire skutą i samotną? Gdy wokół czaiła się zdrada? – zapytałem. Ten człowiek był nieodpowiedzialnym łajdakiem!

Vidocq wzruszył ramionami.

– Pan Holmes sam to powiedział, że ci, którzy byli dla nas groźni, szukali posągu i mnie, a nie mademoiselle.

– Ale nie mogłeś być tego pewien!

– Miałem wystarczającą pewność. W każdym razie nikt po nią nie przyszedł. Pozwól mi mówić dalej... o ile chcesz usłyszeć o uratowaniu Emila?

Ustąpiłem. Prawda, nie stała się jej krzywda. Ale byłem oburzony bezwzględnym brakiem poszanowania wobec kobiety, której ten człowiek wyznał miłość. Niemniej przynagliłem go, żeby kontynuował.

„*Mon Dieu!* Jakże przeraźliwie zimne jest to wasze londyńskie powietrze! – wykrzyknął, podejmując opowieść. – Gdy już byłem na ulicy, włożyłem na siebie odzienie, które zabrałem. W pośpiechu chwyciłem płaszcz i całkiem ładny kapelusz, które Holmes nosił w Paryżu. Włożyłem je teraz, płaszcz krępował mi ruchy, bo jestem postawniejszy i ogólnie rzecz biorąc, był zbyt elegancki jak na moją kolejną misję. Dałem nura w zaułek, wgniotłem kapelusz i zgiąłem jego rondo. Zarówno kapelusz, jak i płaszcz pobrudziłem błotem i śniegową breją, żeby ukryć, jak są wytworne. Nie chciałem wyglądać podejrzanie na terenie stoczni, *eh bien?*”

Zadowolony ze swoich wysiłków poszedłem do doków. Tam skierowałem się pod adres, który przeczytałem – do góry nogami – podczas spotkania z Mycroftem. To jeden z

moich szczególnych talentów – co, mówisz, że nie taki szczególny? W każdym razie bez trudu zlokalizowałem Nike pokrytą warstwami płótna i podtrzymywaną drewnianymi wspornikami. Była dobrze strzeżona.

Rozpoznałem dwóch mężczyzn z naszej przygody w Le Chat Noir. Pozostało mi tylko zadeszować do Paryża i podać miejsce, w którym znajduje się Nike, zapewniając sobie w ten sposób wyrazy uznania za jej odzyskanie, bo Francuz równie łatwo ją odnalazł, jak zrobiłby to Anglik. Jeśli Sûreté ma swoich ludzi w Londynie, byłyby w naszych rękach przed zapadnięciem nocy.

Kiedy odszedłem, żeby wysłać telegram, odniosłem wrażenie, że jestem śledzony, więc podjąłem manewr wymijający. Ale nie zobaczyłem nikogo i bez problemów zakończyłem misję.

Teraz, kiedy posąg został odnaleziony, mogłem zająć się sprawą Emila. Zaraz poszedłem do tej nędznej dzielnicy przemysłowej Londynu, Bermonsey. *Mon Dieu*, ten smród!

Słodki zapach wypieków z waszej wytwórni herbatników Peek Freans (dlaczego wy, Anglicy, upieracie się przy tych niesmacznych herbatnikach, skoro są znacznie lepsze nasze ciastkarnie, nie mieści mi się w głowie) zmieszany z gryzącym zapachem z wielu garbarni sprawiał, że trudno było oddychać. Zobaczyłem, co robią inni, zawiązałem szalik wokół nosa i poszedłem pod adres podany przez Mycrofta.

Tam, w marnym domku stojącym za innym domem z dala od głównej ulicy, odkryłem moją zdobycz. Mycroft powiedział nam, że Emil został ukryty razem z siostrą i szwagrem jednego z służących earla, garbarza z zawodu, który zabrał dziecko i zapewnił mu dach nad głową. Nie było jeszcze jasne, czy takie działanie było porwaniem dla okupu, czy ratunkiem przed znęcaniem się w domu earla. Kto wie?

Zobaczyłem przez okno smutnego chłopczyka siedzącego samotnie przy stole. Przytulał małego konika zabawkę. Rozpoznałem go po opisie przedstawionym mi przez moją ukochaną. Był drobnej budowy, miał kręcone blond włosy, rozmyślał nad sobą – i miał tę rozpoznawalną patynę bogactwa. Ten blask był oczywisty, czy pochodził od obfitości dobrego jedzenia, czy z braku pracy fizycznej, czy nawet, jak sądzę, z faktu, że nie musiał się martwić, skąd się weźmie kolejna *saucisse*.

Ale był w nim też swego rodzaju – jak to mówicie? – głęboki smutek. Nie zobaczyłem urazów fizycznych. A jednak coś było nie w porządku. Dziecko siedziało, trzymało zabawkę, kołysało się machinalnie w przód i w tył, miało puste, smutne spojrzenie. Stało mu się coś złego.

Niewiele wygod mu zapewniono. Poza konikiem innych zabawek nie było, a w pokoju widać było oddech chłopca. Łóżeczko w rogu było wyłożone kilkoma słomianymi materacami i leżało na nim kilka, ładnie złożonych,

wytartych koców. Węgle w kuchence ledwie się żarzyły. Chłopiec musiał cierpieć.

Nie można było marnować czasu. Obszedłem dom, zaglądałem w okna, żeby zobaczyć, czy nie ma tam jeszcze kogoś. Wyglądało na to, że chłopczyka zostawiono samego, chociaż nie wiedziałem na jak długo. Miałem szczęście, ale musiałem się spieszyć.

Wróciłem do kuchni, bez trudu otworzyłem okno i wszedłem przez nie.

– Emil? – zapytałem. – Emil? Przychodzę od twojej matki. Mam cię do niej zabrać. – Zapomniałem, że owinąłem twarz szalikiem, żeby uchronić się przed smrodem. Musiało to, wraz z moim cudzoziemskim akcentem, przstraszyć dziecko. Powinienem o tym pomyśleć.

Chłopczyk krzyknął i cofnął się ode mnie. Wziął krzesło i ustawił między nami. Było widać, że jest synem swojej matki.

Próbowałem przemówić mu do rozsądku. Nie odpowiadał ani po angielsku, ani po francusku i nie zdradzał ochoty, żeby ze mną pójść.

– Emilu, proszę, chodźmy. – Błagałem go. Chociaż niby dlaczego miał pójść z obcym, który go nastraszył?

Kiedy usłyszałem, że ktoś wraca przez drzwi frontowe, dałem spokój z uprzejmościami. Chwyciłem wielką płócienną torbę, która leżała w kącie, i wrzuciłem do niej dziecko.

*Calmez-vous*, doktorze. Byłem ostrożny, nie jestem potworem! Zniosłem go w jednym kawałku z powrotem na Baker Street 221B. Co? Tak, w torbie.

I czy za moje trudy zostałem przywitany z wdzięcznością i miłością przez moją ukochaną? *Mais non!* Nie wyobrazi pan sobie tego! Wszedłem do waszego mieszkania i postawiłem szarpiącą się paczkę. Cherie zobaczyła, że torba się rusza, i natychmiast wiedziała, że to Emil.

Mistral zmienił się w jędrę! Musiałem wyjąć chłopca po drugiej stronie pokoju i dopiero potem ośmieliłem się podejść i rozkuć ją.

W chwili, w której była wolna, jakbym zniknął z powierzchni ziemi. Cherie podbiegła do chłopca i wzięła go w ramiona. Odwzajemnił uścisk. Polały się łzy.

– Emil, *mon cheri!* – powiedziała.

Chłopiec nic nie mówił i nagle, zakłopotany, cofnął się. W końcu nie była tą matką, którą znał. Ale przyjaciółka rodziny była z pewnością lepsza od zamaskowanego nieznajomego.

– Ach, mój mały. Przecież wiesz, kim jestem, *non?* – zapytała. Pokiwał głową. Rozpoznawał ją, ale nadal był zakłopotany. – Jesteś bezpieczny, *mon petit*, chodź do mnie.

Zawahał się, potem znów padł jej w ramiona i oboje zalali się łzami.

Pokryła go pocałunkami, sprawdziła, czy nie ma siniaków i zranień, i zabrała go na górę, skąd zawołała,

żeby przynieść dla chłopca ciepłej wody.

Tak oto, opuszczony, odkryłem całkiem niezłą brandy w kredensie i usiadłem, żeby poczytać wieczorne gazety i zapalić świetne cygaro, które znalazłem w pudełku na półce nad kominkiem. W ten sposób spędziliśmy wieczór. Nie odzywała się do mnie, dopóki dziecko nie znalazło się w jej sypialni i mocno nie zasnęło.

Trzeba przyznać, że wasze, angielskie, salony są wygodne. Drzemałem przy kominku, kiedy zeszła na dół. Była zakłopotana, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Jean – zaczęła – nie mogę skłonić Emila do mówienia. Czy trudno było go uratować? W jakim stanie go znalazłeś? Czy groziło ci niebezpieczeństwo albo zranienie? Co się stało?

Kiedy kobieta przepytuje kogoś w taki sposób, nie ma co być po prostu uczciwym. Nie. Milczenie. Nikt. Nie. Wrzuciłem go do torby. To by nic nie dało.

Więc zamiast tego przyznaję, że zacząłem haftować. Czyż pięknie haftowane jedwabne *abécédéaire* nie jest piękniejsze od kawałka zwykłego lnu? Starąłem się dokładnie opisać dziecko i jego stan, może upiększyłem parę szczegółów. Kobiety lubią dobre opowiadania.

*Eh non*, doktorze, nie rób takiej sceptycznej miny, to, co ci opowiadam, to prawda. Zapewniam cię.

Kontynuuję. Chyba z wdzięczności wybaczyła mi teraz, że wcześniej przykułem ją kajdankami do regału na książki. Wszelkie silne emocje, które mogła żywić,

zniknęły w obliczu nowej troski: co się stało Emilowi, że zamilkł? Nawet ona nie mogła skłonić go, żeby zaczął mówić. Aż wychodziła z siebie z niepokoju.

– Zabiję go, jeśli skrzywdził chłopca – powiedziała.

– Myślisz o earlu? – chciałem się upewnić.

– Tak. Albo skrzywdził Emila, albo przymknął oko na coś, co stało się naszemu dziecku. Dowiem się, co to było, i on za to zapłaci. Każę mu za to zapłacić!

– *Calmes-toi, Cherie*. Jestem pewien, że Emil w końcu zacznie mówić – uspokajałem ją.

– Musimy natychmiast pojechać do Lancashire. Dotrę do sedna sprawy!

Wreszcie zjednoczyliśmy swoje rozkłady dnia! Chciałem pojawić się właśnie w Lancashire. Było bardzo prawdopodobne, że posąg pojedzie tam z samego rana.

Tak, tak, doktorze, i oczywiście chciałem pomóc damie, niech mi pan pozwoli dokończyć.

Musiałem jednak ją powstrzymać, żeby upewnić się, że Nike na pewno wyjechała z Londynu. Powiedziałem:

– *Ma cherie*, czy Emil nie powinien odpocząć tutaj przez noc? Śpi, *n'est-ce pas*? Co jest najlepsze dla dziecka?

Wobec racjonalnego argumentu zgodziła się pojechać rano, ale poszła do naszego pokoju nawet bez pocałunku na dobranoc, położyła Emila spać w naszym łóżku i zamknęła za sobą drzwi. Potem otworzyła drzwi, zrzuciła po schodach moją piżamę i znów je zamknęła.



Na spoczynek został mi *salon* albo pokój Sherlocka Holmesa. Wszedłem i rozejrzałem się. *Mon Dieu!* Taki zimny i pusty, łóżko takie twarde i wąskie, wszędzie książki i papiery, wosk z wielu świec, które paliły się po nocy, popielniczka z wylewającymi się niedopałkami, zimny kominek bez zapasów drewna, wielka blaszanka i dziwne zdjęcia kryminalistów wyściełające ściany. Wolałbym raczej spać w celi chorego umysłowo mnicha!

Wróciłem do saloniku, zebrałem różne poduszki, wziąłem miękkie czerwony koc, który wisiał na krześle i urządziłem się nieskończenie wygodniej na kanapie. Sen przyszedł z łatwością”.

W tym momencie nie mogłem się powstrzymać. Mimo że jak najszybciej chciałem wysłuchać Vidocq’a, wściekłem się, że tak od niechcienia pogwałcił nasze, a raczej Holmesa prywatne sanktuarium.

– Człowieku, czy ty nie umiesz uszanować własności?! – krzyknąłem. – Nie licząc sytuacji, kiedy zajmowałem się chorobą albo zranieniem, a raz wszedłem, żeby... hm, czegoś poszukać, nigdy nie odważyłem się wejść do sypialni Holmesa i nawet nie pomyślałbym, że można ją w taki sposób oglądać.

– Może powinieneś – odparł Vidocq. – Oplaca się dobrze poznać tego, z kim się przebywa. Zważ, że ascetyzm Holmesa graniczy z męczeństwem.

Zaoponowałem, mówiąc o przyjemności, jaką Holmes czerpie z gry na skrzypcach, z opery, z muzeów i...

- I narkotyków – dodał Vidocq.
  - Kończ opowiadanie – warknąłem.
- Vidocq wrócił do swojej historii.

„Doskonałe się złożyło, że byłem w tym pokoju, a nie na górze z Cherie, bo jestem pewien, że oboje już byśmy nie żyli, gdyby tak było. W nocy obudził mnie nagły krzyk. Wyglądało na to, że dochodzi z ulicy, z bardzo bliskiej odległości. Potem usłyszałem, jak wyłamywany jest zamek na dole. W jednej chwili byłem na nogach, chwyciłem pogrzebacz z kominka i kiedy wchodzili, schowałem się za drzwiami. Było ich trzech, odzianych na czarno i zamaskowanych, ale i tak rozpoznałem w nich ludzi, z którymi walczyliśmy w Le Chat Noir.

Powaliłem jednego, ale drugi i trzeci sprawili mi poważne – jak wy to mówicie? – problemy. Jeden z nich, słysząc hałasy, odstąpił od walki, wszedł na górę i wrócił z Cherie i Emilem z nożem na gardle, kiedy ja zmagalem się z trzecim w *salon*.

Nie będę się rozwodził nad nieszczęściem, które nastąpiło potem, ale jeden z nich wykrzyczał nazwisko twojego przyjaciela. Najwyraźniej przez cały czas brali mnie za Sherlocka Holmesa! W końcu to był jego dom. A ja byłem w piżamie. Obaj jesteście wysocy. Bo ja wiem. Ja jestem ten przystojniejszy...

W porządku, mówię dalej. Ci ludzie byli zawodowcami. Krępował mnie bliski kontakt, konieczność obrony

zarówno dziecka, jak i jego nieustraszonej matki oraz brak twardych butów.

Udało mi się ich pokonać, jednego zabiłem, ale zostałem ranny w czoło. Rany głowy bardzo krwawią i moja krew była wszędzie, zmieszana z krwią dwóch tamtych. Przepraszam za ten bałagan, ale oczywiście, rozumiesz.

Cherie, chłopiec i ja ledwie uszliśmy stamtąd z życiem. Wzięliśmy nasze ubrania i uciekliśmy. W pośpiechu nieomal przewróciliśmy się o ciało leżące przy wejściu. To był człowiek, którego widzieliśmy wcześniej, jak krył się w cieniu, to on śledził mnie do Bermondsey. Myślę, że to był człowiek Mycrofta Holmesa, ale nie było czasu, żeby to sprawdzić – nie ma wątpliwości, że to jego przedśmiertny krzyk słyszałem na początku.

Wybiegliśmy w noc. Przez gęstą mgłę zobaczyłem, jak dwaj pozostali przy życiu napastnicy uciekają w boczną uliczkę, niosąc ciało swojego kamrata.

Niedaleko Baker Street jest restauracja *français*, Verreya. Jej właścicielem jest mój przyjaciel. Cherie, Emil i ja schroniliśmy się tam. Mój przyjaciel ma na piętrze mały pokój dla gości. Cherie zrobiła, co mogła z moją biedną głową, potem poszła spać z Emilem, a ja ogrzewałem zmarznięte stopy przy małym kominku. Właśnie tam nas znalazłeś doktorze”.

Vidocq skończył palić, zgasił papierosa na podłodze, wgniatając niedopałek niedbale w dywan. Pociąg, jakby skarżąc

się, zahamował z jękiem.

Weszliśmy do przedziału, gdzie nieświadomi niczego spali mademoiselle La Victoire i Emil. Przez okno widać było tylko kłębiący się śnieg. Wkrótce przyszedł konduktor i powiedział, że burza uniemożliwiła dalszą jazdę i że jesteśmy unieruchomieni w połowie drogi między Londynem a Lancashire, dopóki tory nie zostaną oczyszczone. Potrwa to prawdopodobnie wiele godzin.

Roznoszono koce i herbatę. Vidocq wzruszył ramionami i usadowił się w przedziale, ale ja wróciłem na korytarz, próbując uspokoić troski papierosem. Zastanawiałem się, jak idzie Holmesowi. Gdyby potrzebował mojej pomocy nic nie byłbym w stanie zrobić.

Czy podróż do Londynu była błędem? Odzyskałem naszą klientkę, ustaliłem, kto i dlaczego dokonał napaści na 221B. Teraz mogłem dostarczyć mademoiselle i jej syna pod opiekę Holmesa. Może w tym była skromna pociecha. Ale miałem wrażenie, że niewiele zrobiłem, żeby rozwikłać tajemnicę otaczającą chłopca, i zastanawiałem się, czy przewiezienie go na tym etapie na północ będzie w jego najlepszym interesie. Poszedłem spać, myśląc o tych trudnych sprawach.

# Część VIII

## ZALEW CZERNI

*Malarz powinien zaczynać każdy obraz od zalania go czernią, bo wszystkie rzeczy w przyrodzie są ciemne, chyba że wydobędzie je światło.*

Leonardo da Vinci

## 26. Powalony

Wczesnym rankiem nasz pociąg wreszcie ruszył i tuż po świcie dotarliśmy do Penwick. Nie spaliśmy i byliśmy gotowi wsiąść, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji. Jednak nie mogliśmy dojść do porozumienia, co mamy robić po przybyciu.

Moim najważniejszym zmartwieniem było zlokalizowanie Holmesa. Mademoiselle La Victoire życzyła sobie znaleźć bezpieczne miejsce dla Emila i pojechać do Clighton, żeby spojrzeć w oczy byłemu kochankowi. Ale kiedy powiedziałem Vidocqowi o zamordowaniu lady Pelligham, chociaż ten jeden raz zgodził się ze mną. Plan mademoiselle nie był bezpieczny, więc razem przekonaliśmy ją, żeby najpierw znaleźć Holmesa i pojechać do posiadłości w grupie, ze wsparciem ludzi Mycrofta.

Jednak nic z tego nie wyszło.

Kiedy wysiedliśmy z pociągu, podbiegła do nas mocno zdenerwowana wysoka blondynka. Towarzyszył jej wychudzony chłopiec o zaciekłym i inteligentnym wyrazie młodej zatroskanej twarzy.

– Doktor Watson, jak sądzę? – wyrzuciła z siebie zadyszana kobieta. – Nazywam się Philo, jestem żoną lekarza. Proszę szybko ze mną. Pański przyjaciel i mój mąż są w poważnym niebezpieczeństwie!

Po tych słowach zwróciła się do Vidocq'a.

– Pan! Pan też jest przyjacielem pana Holmesa?

– Czasem pewnie tak o mnie myśli – powiedział z uśmiechem Vidocq, lekceważąc ewidentną rozpacz kobiety. A może myślał, że jego galicki wdzięk oddali napad hysterii. Tymczasem tylko sprowokował kobietę.

– Nie ma na to czasu – rzuciła ostro. – Przyjaciół czy wróg? Stawką jest życie!

– Wszyscy jesteśmy jego przyjaciółmi – oznajmiła szybko mademoiselle La Victoire. – Jak możemy pomóc?

– Co się stało? – zapytałem.

– Chodźmy, opowiem po drodze – odparła. Ruszyła biegiem. Zostawiliśmy nasze walizki bagażowemu na peronie i pobiegliśmy za nią razem z Vidocq'em, ale mademoiselle La Victoire zatrzymała się. Emil, zdezorientowany, wrósł w ziemię. Trząśł się.

Drugi chłopczyk, o którym później się dowiedziałem, że to sierota Freddie, instynktownie wziął go za rękę. Emil spojrzał na niego i między chłopcami narodziło się jakieś porozumienie.

Cała nasza piątka pospieszyła za panią Philo.

Jaskrawe zimowe słońce stało nisko nad horyzontem i z ukosa świeciło na miasto, oślepiając nas na zakrętach, kiedy brnęliśmy przez śnieżne zasy po ulicach pokrytych zlodowaciałymi brukowcami. Miasto było niemal opustoszałe, tak jak poprzedniego ranka. Rozpoznałem drogę – zmierzaliśmy do więzienia.

Mój Boże, więzienie.

– Pani Philo, proszę nas wprowadzić w sprawę! – wydyszałem, doganiając ją.

– Ostatniej nocy pan Holmes został aresztowany, kiedy rozkopywał grób lady Pellingham. Nie poddał się bez walki. Ten chłopczyk, Freddie, był tego świadkiem. Mój mąż dowiedział się o tym i poszedł do więzienia, żeby pomóc panu Holmesowi. Żaden z nich nie wrócił. Freddie... sierota... wyjaśnię później... poszedł za moim mężem do więzienia. Słyszał krzyki.

– Straszne krzyki – odezwało się dziecko. – Nie wiem czyje. Ale okropne.

Pani Philo nie musiała bardziej nas namawiać. W kilka minut podeszliśmy do więzienia. Przed budynkiem stał sędzia pokoju we własnej osobie. Boden i dwaj jego ludzie rozmawiali i śmiali się. Gestem wskazałem, żeby wszyscy natychmiast zatrzymali się i ukryli za budynkiem. Znalazłem powóz, za którym się schowałem, i zbliżyłem się, żeby ich podsłuchać.

– Idź i prześpij się, Wells. Za dużo rozrywki może wymęczyć człowieka – rzekł ze śmiechem Boden. Pozostali roześmieli się gwałtownie, jakby zawstydzeni. – Zajmijcie się tym bałaganem, dobrze? Ale najpierw wychylmy kufel na mój rachunek... a do tego kawa i dobre śniadanie. To była ciężka noc dla nas wszystkich. A Carothers i Jones dostali niezłe lanie od tego londyńskiego elegancika. Trzeba sprawdzić, czy się nimi zajęto.

Musieliśmy natychmiast wejść do więzienia. Ale zmusiłem siebie i naszą grupkę, żeby poczekać, aż odejdą ludzie Bodena. Tymczasem powiedziałem pani Philo, żeby odeszła z mademoiselle La Victoire i dwojgiem dzieci i wróciła ze



środkiem transportu, którym można by przewieźć więźniów... bez względu na to, w jakim będą stanie.

Każda inna kobieta nalegałaby, żeby biec i szukać męża. Ale pani Philo wiedziała, gdzie on jest, i wykazała się chłodną logiką, którą wkrótce zacząłem podziwiać.

– Mogą wymagać opieki medycznej. Jestem pielęgniarką, przygotuję w jego gabinecie lekarskim wszystko, czego potrzebujecie – powiedziała. Odeszła z mademoiselle La Victoire i chłopcami.

Kiedy z Vidocqiem znów popatrzyliśmy na więzienie, zobaczyliśmy, jak z budynku wychodzi trzech mężczyzn, z których dwóch żałośnie utyka.

– Ci ludzie to mordercy – rzekłem. – Masz pistolet?

W odpowiedzi Vidocq wyjął z kieszeni francuski MAS 1887, elegancką broń i nie mniej śmiertelnością niż mój stary dobry rewolwer służbowy.

Podeszliśmy do więzienia od tyłu. Drzwi wychodzące na uliczkę były zamknięte na klucz. Poirytowany szarpnąłem za drzwi. Głupio, tylko głośno zagrzecotały.

– *Ah, non!* – powiedział Vidocq. – Za mocno wziąłeś się do sprawy. – Wyjął z kieszeni zestaw wytrychów prawie taki sam jak Holmesa i szybko otworzył zamek. – *Eh, voilà!*

Wbiegłem, wyciągając rewolwer. Za mną ruszył Vidocq, wymachując bronią. Pobiegliśmy ciemnym korytarzem obok kilku pustych cel i dotarliśmy do wielkiego pomieszczenia z przodu więzienia, które służyło za portiernię, sąd i urząd, trzy w jednym. Przy recepcji stał jeden człowiek, sennie wypełniał

jakieś papiery. Jak posługacz, którego wcześniej spotkaliśmy, był wielki i wyglądał na tępego. Miał ogromne nacięcie na czole i szybko nabrzmiewającego siniaka pod okiem.

Podniosłem rewolwer i wszedłem. Vidocq zrobił to samo.

– Gdzie są więźniowie? – zapytałem. Mężczyzna, zdezorientowany, podniósł wzrok.

– Kim wy jesteście? – zapytał.

Odbezpieczyłem rewolwer.

– Ale już!

– Chodzi o doktora? Jest tutaj – rzucił mężczyzna ze strachem, patrząc to na Vidocq'a, to na mnie. Wskazał drugi korytarz.

– A ten drugi? Wysoki, bardzo chudy. Około trzydziestu pięciu lat. Ciemne włosy.

Na te słowa mężczyzna pobladł.

– Och nie, och nie... Właściwie to nie wiem, to znaczy nie wiem, co z nim jest teraz, ale doktor, może on... on widział... on, o nie... ja przez cały czas byłem tutaj. Przy tym biurku. Przysięgam.

Vidocq, ku memu zaskoczeniu, podbiegł, złapał tamtego za kołnierz i wciskając lufę pistoletu w jego głowę, powłókł go w stronę drugiego korytarza.

– Pokaż – warknął. – I zabierz z sobą klucze.

Doszliśmy do małej celi, w której doktor Philo w samej koszuli, z głową opartą na dłoniach siedział samotnie na nieheblowanej ławce. Popatrzył na nas zaskoczony, oczy miał zaczerwienione i zrozpaczone. Błyskawicznie wstał, kiedy strażnik otworzył drzwi. Wyglądało na to, że nie jest ranny.

– Doktor Watson, Bogu dzięki! Ale obawiam się, że przyszedliście za późno.

– Co się stało? – zapytałem. – Gdzie jest Holmes?

– Boden aresztował go poprzedniej nocy na cmentarzu. Odbył się „sąd” i Boden skazał go za okradanie grobów i czarnoksiężstwo.

– Czarnoksiężstwo? Cóż to za szaleństwo? Gdzie on jest?

– Chyba na dole. Jeśli jeszcze żyje. Skazany został na osiemdziesiąt batów i...

– Gdzie na dole?

– Tam jest specjalna cela, w której Boden robi swoje – odparł Philo z wyrazem grozy na twarzy.

Chłopczyk, który był z Annie Philą słyszał krzyki.

– Zaprowadź nas – huknąłem na strażnika. Z lufą pistoletu Vidocq'a wbitą w szyję dozorca więzienny poprowadził nas mrocznym korytarzem do schodów na tyłach budynku. Kiedy zeszliśmy do piwnic, temperatura opadła o dwadzieścia stopni, a powietrze zrobiło się wilgotne i zimne. Zamajaczył mi przed oczami obraz Pomeroya skrwawionego, umierającego w celi. Zacząłem się trząść spazmatycznie z zimna i ze strachu, co znajdziemy w tej przeciwnej wszelkiemu prawu piekielnej dziurze.

Drogę zatarasowały nam zamknięte drzwi. Strażnik pogmerał przy kluczach.

– Rozpięli go – tłumaczył młody lekarz. – Tam jest stare łoże tortur, ma ponad sto lat, a oni go do niego przywiązali.

Strażnik nadal szukał klucza.

– Vidocq! – powiedziałem. Vidocq skoczył przed siebie, wyszarpnął klucze tamtemu i mocnym kopniakiem w krocze obalił go na posadzkę.

– Wasz przyjaciel jest dumnym i dzielnym człowiekiem. Nie pokazał po sobie strachu i nazwał sędziego pokoju tchórzem i zbirem.

Vidocq też nie mógł znaleźć właściwego klucza.

– Człowieku, rozwał drzwi kopniakiem! – krzyknąłem. Potem odwróciłem się do Phila. – I co dalej się działo?

– Boden tylko uśmiechnął się na te słowa. Ale kiedy pan Holmes przepowiedział, że sędzia pokoju sam zginie na szubienicy i zhańbi swoją rodzinę, Boden wpadł w szal. Zaatakował z taką wściekłością... – Philo zwiesił głowę. – Nie widziałem wszystkiego. Odciągnęli mnie. To odbyło się ponad godzinę temu.

Vidocq w końcu znalazł klucz i wpadliśmy przez drzwi do wielkiego pomieszczenia, lodowato zimnego i całkowicie ciemnego. Było to chyba areszt śledczy. Przed nami stała zaryglowana i zamknięta na klucz krata. Vidocq kazał gestem zastraszonemu dozorczy, żeby ją otworzył. Tym razem strażnik nie wahał się.

Wpadliśmy do środka. W egipskich ciemnościach nic nie było widać.

– Spokój! – powiedziałem. Nikt się nawet nie poruszył. Cisza była taka, że słychać było spadające krople.

– Latarnię! – krzyknąłem. Ale Vidocq był szybszy. Złapał strażnika za kołnierz i wepchnął mu lufę w brodę.

– Poświeć nam, ale już – nakazał.

Strażnik chłodno skinął głową i poszedł w kąt po latarnię. Zapalił ją. Rzuciła słabe światło wokół nas. Poszliśmy w głąb pomieszczenia.

– Holmes? – Odpowiedzi nie było. Odwróciłem się do strażnika. – Gdzie? – zapytałem.

Strażnik wskazał skinieniem głowy miejsce po naszej prawej.

– Pokaż.

Nie chciał się ruszyć. Stał i trzymał latarnię w trzęsących się rękach.

– Przytrzymaj go – zwróciłem się do Vidocqa, wziąłem latarnię i razem z doktorem Philem poszliśmy dalej w ciemność. Poślizgnąłem się na mokrej posadzce, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że stoję w kałuży krwi.

– O mój Boże, Holmes! – zawołałem. – Holmes?!

– Tutaj! – odrzekł Philo.

Odwróciłem się i oświetliłem widok, którego nigdy nie zapomnę.

Sherlock Holmes, z rozciągniętymi kończynami, bez koszuli był przywiązany do drewnianej ramy, która wyglądała jak ogromna sztaluga. Ciało miał zwrócone w kierunku ramy, twarz odwróconą. Tors, szyję i kończyny miał przywiązane do ramy grubymi skórzanymi pasami przymocowanymi do czerwonych, skórzanych podkładek. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a jego chude ciało zwisało bezwładnie ze skórzanych pasów.

Nie ruszał się.

– Holmes! – ryknąłem, podbiegając do niego.

Plecy miał czarne i czerwone od krwi, rozdarte zbyt wieloma ranami, żeby dało się je policzyć. Niektóre były głębokie i nadal obficie krwawiły. Oddech miał płytki. Obok niego, na ziemi, leżała przyczyna tych ran, bicz typu „kot o siedmiu ogonach”.

– Barbarzyństwo. Wy, Anglicy! – powiedział Vidocq.

– Odsuńcie się! – Philo podszedł, żeby podeprzeć Holmesa i ulżyć jego ramionom.

– Mój Boże, Holmes, słyszysz mnie?! – krzyknąłem. Zbadałem mu puls w nadgarstku. Słaby, ale był. Holmes żył, ale był w szoku.

– Wygląda na to, że smagnięć było więcej niż dwadzieścia – zauważył Philo. – Po piątym mnie odciągnęli, ale Boden przestał, bo nie mógł go ocucić. Nie cieszy go, kiedy nie ma reakcji.

– Holmes, możesz mówić? – wyszeptałem.

Dotknąłem jego twarzy. Była śmiertelnie biała i bardzo zimna. Ale powieki uniosły się z drżeniem. Widząc mnie, Holmes słabo się uśmiechnął.

– Watsonie. Dobrze, że przyszedłeś. – Zemdlął.

## 27. Bracia krwi

Parę minut później Vidocq, Philo i ja wynieśliśmy Holmesa przed więzienie, gdzie zgodnie z obietnicą Annie Philo czekał powóz.

Były w nim koce, kilka wkładek do ogrzewania stóp i, ku memu zaskoczeniu, mademoiselle La Victoire. Kiedy powóz szybko jechał w stronę gabinetu lekarskiego doktora Phila przez ośnieżoną i obludzoną okolicę, cała trójka na moje zalecenie rozcierała dłonie i stopy naszego pacjenta, żeby zapobiec wstrząsowi i hipotermii, tymczasem ja badałem inne rany Holmesa.

– Co mu się stało? – zapytała mademoiselle La Victoire.

Vidocq otoczył ją ramieniem, żeby ją pocieszyć, ale ona odepchnęła go.

– *Pas maintenant* – powiedziała. – Nie teraz!

Poza otarciami było mnóstwo nacięć i wielkich sińców. Holmes leżał bez ruchu, kiedy gnaliśmy po obludzonych ulicach. Mademoiselle La Victoire patrzyła na niego.

– Będzie żył? – dopytywała.

Nie mogłem zebrać się na szczerą odpowiedź. Po wstępnych badaniach nie znalazłem złamanych kości, a jednak stan był

skrajnie niestabilny. Hipotermia w połączeniu ze wstrząsem i utratą krwi to straszna mieszanka.

– Doktorze? – powtórzyła cicho. Podniosłem wzrok i spojrzałem w jej wypełnione łzami oczy. Byłem niezwykle wzruszony, ale nie mogłem pozwolić sobie na zwłokę, żeby i mi nie zebrało się na płacz. Do działania potrzebowałem dystansu.

– Będziemy próbować – odparłem i odwróciłem się.

Wnieśliśmy Holmesa do biura Phila z boku domu. Przez małą poczekalnię weszliśmy do gabinetu lekarskiego, dużego, dobrze oświetlonego pokoju przygotowanego na przyjęcie nas. Przez drzwi obok widać było kuchnię.

W kuchni na palenisku płonął ogień, obok wielkiego stołu stały w pogotowiu wiadra z ciepłą wodą i wszystko, co będzie nam potrzebne – kwas karbolowy, bandaże, nici chirurgiczne i igły, gąbki, środki przeciwbólowe i pobudzające, uszeregowane z profesjonalną precyzją. Rozpoznałem technikę, z której korzysta się podczas kryzysowej selekcji rannych, i dowiedziałem się, że pani Philo, absolwentka szkoły Nightingale, przez dwa lata służyła podczas wojny afgańskiej jako pielęgniarka.

Przez następne kilka godzin doktor Philo, jego bardzo wykwalifikowana żona i ja zajmowaliśmy się ratowaniem życia Holmesa. Mademoiselle La Victoire i Vidocq'a wyproszono z gabinetu, żeby zaopiekowali się dwoma chłopcami.

Godzina za godziną pracowaliśmy bez ustanku, monotennie przykładając ciepłe kompresy, żeby podnieść ciepłość ciała



Holmesa, z nadzieją, że na tyle odżyje, żeby móc przyjmować płyny. Ale Holmes nadal był nieprzytomny.

Philo wykorzystał ten czas, żeby opowiedzieć o wydarzeniach, które doprowadziły do aresztowania Holmesa.

– Kiedy powiedzieliśmy mu o nagłym pogrzebie lady Pellingham, który odbył się parę godzin wcześniej, chciał pilnie, jeszcze tamtej nocy, wykopać ciało. Przewidywano śnieg, próbowaliśmy go powstrzymać.

– Pański przyjaciel nie dał za wygraną – wtrąciła pani Philo.

Potem Philo powiedział, że Freddie, chłopczyk, którego Holmes uratował z fabryki, postanowił pójść za Holmesem, gdy nadciągała burza, żeby „pomóc” swojemu nowo odkrytemu bohaterowi. Schowany za nagrobkami był świadkiem, jak Boden z czterema ludźmi zaskoczył i zabrał Holmesa, oczywiście nie bez heroicznej walki.

– Ale czy Holmesowi udało się zbadać ciało lady Pellingham?  
– zapytałem.

– Chyba tak – odparł Philo. – Ciało lady zostało ułożone na ośnieżonej ziemi. Freddie mówił, że Holmes nachylił się nad nią i skoncentrowany nie usłyszał, jak tamci nadchodzą.

– Holmes! – Patrzyłem na jego nieruchomą, bladą twarz. Co odkrył? Czy zabierze tajemnicę lady Pellingham do własnego grobu? Mało nie pokonała mnie mieszanka smutku i wściekłości. Niech go diabli! Dlaczego na mnie nie zczekał? Wyrzuciłem te myśli z głowy i wróciłem do zadania.

– Do roboty – rzuciłem w równym stopniu do siebie, jak do nich. – Co działo się potem?

Philo streścił sprawę. Według chłopca dwóch mężczyzn zaatakowało Holmesa. Ale dzieciak powiedział, że jego bohater Sherlock Holmes zmienił się w kogoś na kształt tańczącego dzikusa, podskakiwał, odpierał ataki szpadlem i mógłby z łatwością pokonać ich obu.

W tym prawdopodobnie nie było przesady. Holmes był utalentowanym bokserem, umiał bić się na kije, a w późniejszym etapie swojej kariery został mistrzem baritsu.

Ale Boden nasłał na niego kolejnych dwóch ludzi i w walce z czterema Holmes nie miał szans. Boden podszedł dopiero wtedy, kiedy go skuli i obalili na ziemię. Uderzył w twarz więźnia w kajdanach.

Wtedy Freddie pobiegł, żeby powiedzieć doktorowi i jego żonie o schwytaniu Holmesa. Mimo błagań pani Philo doktor pobiegł na policję.

Przerwałem opowieść doktora Phila. Temperatura ciała Holmesa była bliska normalnej, musieliśmy zmienić taktykę.

– Pomóżcie mi go odwrócić, zajmę się jego plecami – zarządziłem. Kiedy oczyszczaliśmy i opatrywaliśmy szarpane rany naszego nieprzytomnego pacjenta, Philo kontynuował opowieść ze szczegółami, które od tamtej chwili sam widział.

„Było około czwartej nad ranem, gdy dotarłem do więzienia i wpadłem do środka, żeby zobaczyć, że mimo wczesnej pory oszukańczy proces jest w toku – powiedział. – Holmes stał w kajdankach na prowizorycznej »ławie oskarżonych«, a Boden przewodniczył jako sędzia. Ale że

ten proces był raczej uroczystością, łajdak miał szeroko uśmiechniętą gębę. Jego sługusi siedzieli razem w rzędzie jako ława przysięgłych.

– O, pan doktor – odezwał się do mnie jowialnie Boden. – Gdyby pan nie przyszedł, kazałbym pana wezwać! Będzie pan tutaj potrzebny. Proszę, niechaj pan będzie świadkiem, jak wymierzamy sprawiedliwość ohydnemu szalbierzowi, hienie cmentarnej, mordercy i bluźniercy.

Dwaj jego ludzie zbliżyli się do mnie i dosłownie popchnęli mnie na ławkę stojącą na wprost sceny. Stanęli przy mnie, na wypadek gdybym chciał wyjść. Doktorze, przyznaję, że zostałem sterroryzowany, ale gdybym mógł, wybiegłbym, żeby wezwać pomoc.

»Proces«, jeśli tak można to nazwać, nie trwał nawet pięciu minut. Holmesa oskarżono, że jest hieną cmentarną, złodziejem i na koniec, że para się czarnoksięstwem. Człowiek występujący jako kancelista grzecznie przypomniał Bodenowi, że będzie potrzebował trochę więcej szczegółów, na wypadek gdyby ktoś zapytał, co takiego Holmes zrobił, żeby nazwać to czarnoksięstwem.

Wtedy Boden wyjął z kieszeni palec, który odciął od ciała lady Pellingham! Przyznaję, że struchlałem na ten widok, chociaż jako lekarz w swoim czasie widywałem trupy. Boden podszedł do Holmesa i lekko przejechał tym palcem po jego twarzy, a potem włożył go do kieszonki kamizelki pańskiego przyjaciela”.

– Mój Boże!

– Holmes nie ruszał się. Nic nie mówił. Zachował niewiarygodnie stoicką postawę.

Byłem w stanie wyobrazić to sobie.

– I co było potem? – zapytałem.

Philo mówił dalej zadyszczanym głosem.

„Boden wyjął kilka kart do tarota, kryształków, piórko i woreczek z jakąś substancją, chyba z popiołem. Włożył te przedmioty do kieszeni Holmesa razem z palcem, potem rozsmarował popiół na jego twarzy. Najwyraźniej zaplanował to z góry.

– Założyłbym się, że to jakiś sataniczny rytuał – powiedział Boden. Zwrócił się do mnie: – My, jako ludzie światli, panie doktorze, wiemy, że to zwyczajne bzdury, prawda? Ale dla tych ludzi, o tutaj, to jest czarnoksiężstwo. Panowie, co powiecie?

Jego czterej lokaje pokiwali głowami, że się zgadzają.

– Wiedziałem, jak go tylko zobaczyłem – odezwał się jeden z nich.

– Czuć przy nim diabła – dodał drugi. Roześmieli się.

Holmes, nadal z rękami skutymi z tyłu, stał w milczeniu. Nie wiem, o czym mógł myśleć. Oczy mu pociemniały, a twarz nie miała żadnego wyrazu.

Boden skazał go na osiemdziesiąt uderzeń bicia i dożywocie. To drugie było niepotrzebne, osiemdziesiąt smagnięć oznacza śmierć. Pański przyjaciel wiedział o

tym, ale nic nie powiedział, kiedy go wyprowadzali. Boden wpadł na nowy pomysł. Zwrócił się do mnie: – Tym razem zobaczy pan, jak wymierzamy sprawiedliwość”.

Mówiąc to, Philo popatrzył na żonę, a potem znowu na mnie. Był zawstydzony.

– Powiem panu, doktorze, byłem przerażony, a Boden o tym wiedział. Żeby patrzeć, jak chłostają człowieka na śmierć i nie móc tego powstrzymać, ja, ja...

– Nie mogłem pan niczego zrobić – zauważyłem.

– Panowie doktorzy! – powiedziała żona Phila, sprowadzając nas na ziemię. – Ciśnienie krwi mu spadło. Tracimy go.

Holmes nadal był śmiertelnie blady i nie reagował na bodźce. Nie udało się nam go pobudzić mimo wszelkich naszych wysiłków. To mógł być skutek utraty krwi.

– Musimy wprowadzić w niego płyny! – oznajmiłem. Ale nikt nie zdołał wmusić płynów nieprzytomnemu.

– Może transfuzja – odezwała się pani Philo.

Myślałem o tym samym. Ale skąd wziąć krew? W czasach kiedy to się działo, transfuzje dopiero raczkowały. Używano wody i mleka z prawie zerowymi rezultatami i odrzucano tę technikę jako niebezpieczną. Krew zwierzęca była niewiele lepsza.

Wkroczyła pani Philo.

– Transfuzja między człowiekiem a człowiekiem. Widziałam, jak się to robi.

– Gdzie? – zapytał zaskoczony mąż.

– W Afganistanie. Tylko raz. Ale asystowałam przy tym i wiem, jak to działa.

– Ja też – przyznałam. – Trzy razy. Ale wszyscy trzej ludzie umarli. Szanse są bardzo marne.

– I tak są większe niż zero – rzuciła cicho pielęgniarka.

To była prawda. Popatrzyłem na Holmesa. Śmierć podejdzie blisko, jeśli nic nie zrobimy. Pani Philo wzięła mnie na bok i powiedziała, że chciała się zgłosić na ochotnika, ale jest w ciąży, czego jeszcze nie chce zdradzić przed mężem. Potem na ochotnika zgłosił się sam Philo, ale odmówiłem.

Dawca też ryzykował. To moja krew zostanie przetoczona. Nie chciałem słyszeć żadnych argumentów.

Natychmiast podstawiono pryczę, a ja położyłem się twarzą w dół, kiedy mnie podłączano. Holmes, leżący obok, był biały i nieruchomy, jakby już nie żył. Zamknąłem oczy, kiedy Philo wkłuła mi długą igłę w lewe przedramię, podłączając ją do długiej gumowej rurki.

Kiedy krew zaczęła płynąć z moich żył, nagle zadrżałem, poczułem chłód i dziwne uczucie „ciągnięcia” w brzuchu i nogach.

Pielęgniarka stała obok Holmesa, żeby mieć pewność, że krew przepływa bez zahamowań, jej mąż sprawdzał, czy połączenie z mojej strony sprawnie funkcjonuje i od czasu do czasu poprawiał kąt i ustawienie łączących nas rurek.

Życiodajna krew dosłownie wypływała z mojego ciała. Popatrzyłem na Holmesa. Leżał bez ruchu, kilka nacięć na twarzy jaskrawo odcinało się od bladości twarzy. Nie jestem

oddany dewocji, ale zamknąłem oczy, zmuszając swoje siły życiowe, żeby dotarły do przyjaciela i nie zabiły go podczas transfuzji.

Nie wiem, ile czasu minęło, możliwe, że zemdlałem. Z lewej strony dobiegł mnie jęk. Otworzyłem oczy. To był Holmes!

Podekscytowany usiadłem i od razu ogarnęły mnie zawroty głowy.

– Spokojnie, doktorze – poprosiła pani Philo, podając mi brandy i sok z owoców. Ale jej twarz lśniła od niecierpliwego oczekiwania. – Chyba zadziało!

Wkrótce odłączono aparaturę i stanęliśmy wokół Holmesa.

Wróciły mu kolory, poruszył się nerwowo. Ręce i nogi miał ciepłe, kiedy go sadzaliśmy, próbując wlać mu do gardła trochę brandy z wodą. Zakrztusił się i zakasłał. Uparliśmy się.

W końcu otworzył oczy. Zmieszany rozejrzał się wokół, a potem fala bólu zniekształciła mu rysy, kiedy nocne urazy rzuciły się na niego.

– Ach... – jęknął. – Trochę morfiny byłoby mile widziane – odezwał się do mnie, znajomym ostrym głosem.

Teraz próbował pokierować swoim powrotem do zdrowia.

Minęła godzina, a Holmes siedział i popijał sok z owoców i jakieś inne płyny. Zaczął się trząść – dobry znak – więc usadziliśmy go przy kominku opatulonego w koce. Niewielka ilość morfiny w organizmie sprawiła, że ból ustąpił.

– Watsonie – wyszeptał, kiedy Philowie zaczęli czyścić wyposażenie w drugim końcu pokoju. – Było tak, jak podejrzewaliśmy: lady Pellingham została uduszona, nie

zasztyletowano jej. Potrzebny mi jest jeszcze jeden fragment układanki, zanim wniosę o areszt. – Przerwał, przybrał zaniepokojoną minę. – Ale jaki dziś jest dzień? Ile czasu straciłem?

– Tylko jedną noc. Dziś jest wtorek. Holmesie, nigdzie nie pójdziesz. Musisz pozwolić, żeby ludzie Mycrofta stawili czoło lordowi Pellinghamowi. Swoje dowody możesz przedstawić później. Najważniejsze jest, żebyś wrócił do zdrowia. Mało nie umarłeś!

Pani Philo wpadła z sąsiedniego pokoju.

– Nie ma ich! – zawołała.

– Kogo? – zapytał Holmes.

– Całej czwórki. Dwojga Francuzów i dwóch chłopców. Wydaje mi się, że chłopcy wyszli pierwsi. A za nimi poszli dorośli i musieli się spieszyć! Drzwi zostawili otwarte na oścież przy takiej pogodzie. Wszyscy zniknęli!

– Ale dlaczego? I dokąd poszli? – zastanawiałem się.

– Do cholery, człowieku, dlaczego pozwoliłeś im odejść? Pojechali do Clighton! – krzyknął Holmes. – Emil ucieka do rodziców, Freddie na pewno mu pomaga. Dwoje Francuzów nie zdąży ich zatrzymać. Musimy spieszyć się do posiadłości! Nie ma czasu do stracenia! – Przepełniony adrenaliną, z energią, którą tak często widywałem, Holmes skoczył na równe nogi, zrzucając z siebie koc.

Ale nagle zachwiał się, kolana mu się ugięły. Chwyciłem go, gdy się potknął.

– Siadaj! – rozkazałem. Usłuchał, cofnąłem się.



– Holmesie, niech sprawę przejmą ludzie Mycrofta. Na pewno dostali mój telegram – powiedziałem. – Do tej pory już tu są.

Pani Philo prychnęła.

– Nadał pan telegram z poczty w miasteczku? Z równym powodzeniem mógł pan włożyć kartkę do butelki.

– Ona ma rację. Wszystkie depesze wysyłane stąd przechodzą przez ręce Bodena – potwierdził doktor Philo.

– Więc ludzie Mycrofta nadal są niecałe czterdzieści kilometrów stąd! – ryknął Holmes. – Tamte dzieci są w niebezpieczeństwie. Daj mi kokainy. Roztwór siedmioprocentowy. Natychmiast! To doda mi sił.

– Absolutnie nie! – krzyknąłem i dodałem, zwracając się do pani Philo: – Nie ma pani pojęcia...

Jej mąż stał jak wrośnięty w ziemię, nie wiedział, co robić. Ale jego opanowana żona już przygotowywała zastrzyk.

– Oczywiście, że tak – odparła. – Widzieliśmy ślady po igle na jego ramieniu.

Już wyciągnęła zastrzyk podskórny w stronę Holmesa i zanim zdążyłem go powstrzymać, wyrwał go jej i wbił sobie w ramię.

– Nie! – krzyknąłem, ale pielęgniarka weszła między Holmesa a mnie.

Chwyciła mnie za ramiona, patrząc mi uważnie w twarz.

– Widziałam wystarczająco wiele, żeby zrozumieć tego człowieka. Pański przyjaciel uda się do Clighton z kokainą albo bez niej. – Przerwała. – W ten sposób ma większe szanse.

Nie mogłem się sprzeczać. Popatrzyłem na Holmesa. Stał, oddychał głęboko, oczy miał zamknięte, pięści zaciśnięte,

gromadził zdumiewającą siłę, kiedy narkotyk krążył mu w krwi.

Annie Philo miała rację. Teraz nic go nie powstrzyma.

## 28. Nike z Samotraki

Parę minut później siedzieliśmy w powozie, który pędził przez zamarzniete krajobrazy do Clighton. Tymczasem doktor Philo wyruszył, żeby wysłać szyfrowany telegram z sąsiedniego miasteczka ze zleceniem dla ludzi Mycrofta, żeby natychmiast ruszyli do Clighton. Miałem nadzieję, że ta informacja dotrze do celu i że ludzi Mycrofta nie zwabiono w inne miejsce.

Zapadła już ciemność i wzmógł się chłodny wiatr, kiedy podjechaliśmy pod okazały dom. Wielki budynek wyłaniał się cały w purpurze zmierzchu, w gotyckiej chwale, z paroma oświetlonymi oknami. Po jednej stronie, nadal zasłoniętej przez drzewa, zobaczyłem długie piętrowe skrzydło podświetlone od środka na złoto. Sala Palladium. Zbiory.

Temperatura w powozie gwałtownie spadła i pledy, którymi okryliśmy nogi i plecy nie na wiele się przydawały. Drżąc z zimna, spoglądałem na Holmesa. Siedział wyprostowany, rażny i gotowy, oczy błyszczały mu z ekscytacji i od narkotyku.

Obojętnie jakie zło czekałoby na nas w Clighton, zderzy się z potężną siłą dobra. Ale mój przyjaciel był aż zanadto ludzki i chociaż ta maniakalna, napędzana narkotykiem energia stanowiła potężne zagrożenie dla earla, nie inaczej było z samym Holmesem. Bardzo obawiałem się kosztów.

Zauważył moje spojrzenie.

– Ze mną będzie dobrze. Odbezpiecz rewolwer i trzymaj go w pogotowiu – nakazał.

Potem Holmes dał znak woźnicy, żeby zatrzymał się za drzewami, i wysiedliśmy z powozu. Holmes wyszeptał jakieś polecenia woźnicy i odprawił go, klepnąwszy konia.

Poszliśmy po świetnie utrzymanych alejkach w stronę domu bez świateł. Wkrótce znaleźliśmy się za salą Palladium, w pięknie utrzymanym ogrodzie w francuskim stylu. Pokryte lodem, ozdobnie przycięte krzewy lśniły w świetle księżyca.

Kiedy podeszliśmy bliżej, światła z prywatnej mekki sztuki Pellinghama, stały się jeszcze jaśniejsze i okrywając żółtą mgiełką mglisty ogród, rzucały upiorne cienie między drzewami.

Ktoś odchrząknął niedaleko nas, w ciemności. Wyciągnąłem broń. Oto na ozdobnej żelaznej ławce, w świetle księżyca siedział zgarbiony Vidocq. Na francuską modłę wzruszył jednym ramieniem. Był przykuty do ławki! Jadownicie się uśmiechnął, kiedy zobaczył nasz oddziałek.

– Holmes, to niezwykle, że tak szybko wrócił pan do zdrowia. Dobrze mieć lekarza za przyjaciela, *n'est-ce pas?*

– Gdzie są dzieci? – zapytał Holmes.

– *Hélas*, nie udało się nam ich dogonić. Ale po ich śladach doszliśmy aż tutaj. – Westchnął teatralnie, grzechocząc kajdankami. – Mademoiselle nalegała, że resztę zrobi sama.

– Chodzi jej o to, żeby zabić earla – powiedział Holmes. – Skomplikowałby pan tylko sprawę. Watsonie, idziemy! –

Odwrócił się i rozpląnął w ciemności.

– *Ah, non!* – krzyknął Vidocq. – Zamarznę!

– Gdzie są pańskie wytrychy? – zapytałem.

Skinieniem głowy pokazał komplet leżący w śniegu poza jego zasięgiem. Jego ukochana nie była głupia.

Zawahałem się, zdjąłem płaszcz i rzuciłem go mu.

– *Merde* – mruknął za nami, kiedy biegliśmy.

Po dotarciu do tylnych drzwi zajrzeliśmy do wspaniałej sali przez podwójne drzwi prowadzące do galerii z ogrodu. W dalszej części sali stał Pellingham, ubranie miał w nieładzie, gestykulował emocjonalnie, rozmawiając z kimś, kogo nie widzieliśmy z miejsca na tarasie, gdzie się zatrzymaliśmy.

Liczne wielkie rzeźby stały pośrodku sali i zasłaniały nam widok, ale na samym końcu, odsunięty od innych, stał ogromny posąg przyćmiewający rozmiarami pozostałe. Podtrzymywały go tymczasowe drewniane przypory i linki odciągowe. Rzeźba przedstawiała kobietę niosącą wzniesioną pochodnię, a jej rozwiana szata otulała postać tak wspaniałej piękności, że nawet na mnie zrobiła wrażenie jej oszałamiająca lekkość.

– Oto ona... bogini zwycięstwa! – wyszeptał Holmes. – Drogi Watsonie to jest ta słynna rzeźba, która kosztowała życie tak wielu ludzi.

To była Marsylska Nike!

Zamknięte drzwi szybko ustąpiły przed umiejętnościami Holmesa. Weszliśmy po drugiej stronie długiej sali, niezauważeni przez Pellinghama, osłonięci masą rzeźb.

Pellingham mówił przez cały czas cichym, ale ostrym tonem do niewidocznego, milczącego słuchacza. Słowa odbijały się echem od marmurowej posadzki sali i z tej odległości były niezrozumiałe.

Przyglądałem się wielkim posągom stojącym między nami a earlem. Były to rzeźby z różnych epok – bez wątplenia oryginały – warte niejedną fortunę. Na ścianach, od posadzki po sufit, gęsto wisiał zbiór obrazów, który mógł rywalizować z Luwrem.

Nawet z naszego ciemnego końca sali mogłem rozróżnić Tycjana, Rembrandta... i chyba Vermeera. A dalej... Degasa, Renoira...

– Watsonie! – syknął Holmes, wyrywając mnie z zachwytu. Zdjął płaszcz i rzucił go na podłogę. – Patrz przed siebie.

Zaczął ostrożnie iść w stronę drugiego końca sali, posuwając się od posągu do posągu, żeby go nie zauważono. Podążyłem za nim. Gdy byliśmy w jakichś dwóch trzecich sali, głosy stały się zrozumiałe i zatrzymaliśmy się za wielką rzeźbą przedstawiającą kilka postaci.

I wtedy zobaczyliśmy ją. Mademoiselle La Victoire stała naprzeciwko earla z wściekłą maską zamiast twarzy. Holmes prawidłowo odczytał jej zamiary: trzymała broń i celowała prosto w serce kochanka.

Emila i Freddiego nie było nigdzie widać.

Pellingham przesunął się i zasłonił nam widok na mademoiselle.

– Gdzie schowałeś dzieci? – zapytała.

– Ja... jakie dzieci? Emil uciekł. O co ci chodzi?

– Co zrobiłeś naszemu synowi? Jakąś potworność. Nie może mówić. Odpowiadaj, ale już!

– Nic!

– Gdzie on jest?

– Gdybym tylko wiedział. Cherie, kochanie, kocham naszego syna. Przecież... przecież wiesz, prawda?

– Gdzie on jest? Mów, bo cię zaraz zastrzelę! – zagroziła.

Holmes dał mi znak, żebym się nie pokazywał, i sam wyszedł z cienia.

– Mademoiselle, znajdziemy go. Proszę odłożyć broń.

Nasza piękna klientka wahała się, ręka z pistoletem jej drżała. Pokazała earla i powiedziała:

– Ten człowiek jest kłamcą. On ciągle łże!

Holmes podszedł do niej powoli i wyciągnął rękę.

– Mademoiselle, niech mi pani odda broń – odezwał się łagodnie. – Jeśli zastrzeli pani earla, powieszą panią. Emil nie może sobie pozwolić na stratę obu matek.

Zamarła, opuściła broń. Holmes szybko ją rozbroił.

Odwrócił się i wycelował w lorda.

– A teraz przyszedł czas, żeby porozmawiać o zamordowaniu pańskiej żony.

Earl pobladł.

– Sprawca został osadzony w więzieniu...

– Pańskiego lokaja wrobiono, prawdopodobnie na pański rozkaz. Zmarł w więzieniu, zamęczony na śmierć. Pellingham, chcę widzieć twoje ręce.

Earl zawahał się, nie rozumiał.

– Lady Pellingham nie została zasztyletowana. Nie zrobił tego lokaj ani nikt inny. Rozkopałem grób i zbadałem ciało. Ona została uduszona, a morderca nosił pierścionek na małym palcu prawej ręki.

– Rozkopałeś jej grób...?

– Ręce na widoku, mówiłem. Albo cię zastrzelę.

Lord Pellingham niechętnie wyciągnął ręce przed siebie.

Na małym palcu prawej ręki nosił sygnet.

– To nie byłem ja! – krzyknął. – Kochałem ją! Taka piękna... i moja...

– A więc część twojego zbioru. Ale rozczarowała cię, prawda?

– Nie.

– Najpierw w kwestii dziedzica?

– Nie. Nie... kochałem ją.

– A później? Czy Emila bardziej kochała niż ciebie?

– Nie! Nie! Moja kochana Annabelle nie była bez skazy. Ale ja kochałem każdą jej niedoskonałość! Była dla mnie niczym wspaniałe dzieło sztuki. Doskonała w swej niedoskonałości, ona zawsze...

– Przestań gadać – warknął Holmes. Myślał. – Ależ to jasne! W sztuce nie podziwiamy doskonałości. Chodzi o coś innego. – Rozejrzał się po otaczających nas zbiorach. – Sztuka ze swej natury nie jest dokładnym oddaniem rzeczywistości. Gdyby była doskonałym odbiciem, byłaby fotografią. Ale w swej niedoskonałości sztuka prześciga swoje wady i dzięki nim jest tym wspanialsza. I właśnie dlatego jest taka cenna.



Co? Czyżby kończyło się działanie kokainy? Czy mój przyjaciel stracił rozum?

– Właśnie – wyszeptał earl. – Tak niewielu to rozumie. Annabelle była moim wyjątkowym skarbem.

– Nie zniszczyłbyś swojego wyjątkowego skarbu. Nie. Wierzę ci mimo odcisku sygnetu – powiedział Holmes. – Nie zabiłeś żony. Należała do twojej kolekcji.

Po prawdzie, sygnet był dowodem pośrednim. Ale jeśli to nie earl zabił swoją żonę, to kto i dlaczego to zrobił? Ten jeden raz zwątpiłem w rozumowanie przyjaciela.

Moją uwagę zwrócił maleńki ruch. Odwróciłem się i zobaczyłem małą postać w ciemności. Ukrywała się za posągiem i przyglądała się wszystkiemu.

To był Emil!

Nie ujawniłem swojej obecności, ale machnąłem ręką, żeby zwrócić uwagę Holmesa. Popatrzył w moją stronę, a ja bezgłośnie wypowiedziałem imię Emila. Holmes znów zwrócił się do earla, a ja nie wiedziałem, czy dostrzegł mój znak w przyćmionym świetle, w którym stałem.

– Myliłem się, nie zabiłeś żony – ciągnął Holmes. Mówił coraz głośniejsze. – Błąd, błąd, błąd! Ale jestem przekonany, że skrzywdziłeś własnego syna. I zapłacisz za to! Zapłacisz za to w tej chwili!

Podniósł pistolet mademoiselle La Victoire i wysunął teatralnie ramię, jakby miał strzelić do earla.

Co u diabła?

Ale Emil wybiegł z cienia i rzucił się w ramiona ojca, zasłaniając go przed niebezpieczeństwem.

– Nie, nie. Nie rób tacie krzywdy! – krzyknęło dziecko.

– Emil! – zawołała jego matka.

Holmes zamarł, potem opuścił broń.

– W ten sposób zyskałem potwierdzenie swojej teorii! – Uśmiechnął się i odwrócił do naszej klientki. – Mademoiselle, ten człowiek nie skrzywdził pani syna. Widzi pani, jak chłopiec go kocha. Nie miałem racji w wielu sprawach. Earl jest słaby i inni wokół niego cierpieli ze względu na jego słabość. Ale nie skrzywdził ani kobiety, ani dziecka.

Earl i jego synek przywarli do siebie zapłakani.

Odgłos odbezpieczanego pistoletu przykuł naszą uwagę. Zza posągu wyszedł Boden i przystawił pistolet do głowy mademoiselle La Victoire. Chwycił ją za ramię i wykręcił za plecy.

– Rzuć broń, Holmes, albo lady zginie. Teraz kopnij ją z dala od siebie.

Holmes usłuchał i dał ręką znak, żebym poczekał.

– Czy jeszcze ktoś się tam ukrywa? – zapytał ze śmiechem Boden. Nikt się nie odezwał. – No to dobrze. A teraz, Sherlocku Holmesie, jak to jest, że ty jeszcze żyjesz?

Holmes milczał. Boden mocniej wykręcił ramię swojej ofiary, aż krzyknęła.

– Magia, Boden. Oskarżyłeś mnie o czary, pamiętasz?

– Wiesz, powinienem cię wykończyć. Ale jeszcze nie teraz. Dowcipkuj sobie, a ja strzelę tej wiercącej się dziewczusce w

brzuch. Wiesz, jak powolną i bolesną śmiercią umrze. – Powoli opuścił pistolet do jej brzucha i uśmiechnął się do Holmesa.

Mademoiselle La Victoire zakłęła cicho. Popatrzyła Holmesowi w oczy. Wzrok miała opanowany, była silną kobietą.

– Ale najpierw wróćmy do earla – ciągnął Boden, zwracając się do osłupiałego dżentelmena. – Ten „wielki detektyw” dał mi coś, za co będę mógł wsadzić cię do więzienia za morderstwo, mniejsza, czy go dokonałeś! Od dłuższego czasu miałem nadzieję, że zaproszę cię na małą... rozmowę.

– Boden, pracujesz dla mnie, ty nikczemny robaku! – powiedział earl.

– Tobie się tylko wydaje, że dla ciebie pracuję – odparł Boden. – Teraz jesteś w mojej mocy.

– Chyba nie, Boden – odezwał się Holmes. – Londyn został powiadomiony o twoich gierkach.

Boden zamarł, twarz mu pociemniała.

– Mój ojciec jest księciem. Nie tkniecie mnie!

– Dureń! – warknął earl. – Dałem ci anonimowość i nowe życie, to była przysługa dla twojego ojca!

Boden zawahał się, a earl mówił dalej.

– Chciał, żebyś trzymał się z dala od Sussex. Byłeś wstydem dla rodziny po twoich sprawkach z pasterką i jej młodzieńcem. Po prostu wyświadczyłem przysługę staremu przyjacielowi. Błąd. – Popatrzył na Bodena z pogardą.

– Ha! Nazywasz to sprawkami! – krzyknął Holmes, zwracając się do Bodena. – Jesteś najmłodszym synem księcia Wallforda, tym, który zniknął, odpowiedzialnym za podwójne morderstwo

poprzedzone torturami, dokonane na Cullen i Cuthberson w 1886 roku. Brakujące palce... ha, ha, teraz wszystko rozumiem! Nie ma się co dziwić, że twój ojciec odmówił przyjęcia moich usług. Od początku wiedział, kto jest winowajcą.

Twarz Bodena zmieniła się w maskę zimnej furii. Nadal używając mademoiselle La Victoire jako tarczy, wycelował w earla i Emila.

– Ty arogancki stary durniu. Pożegnaj się z synem.

– *Non!* – wrzasnęła mademoiselle La Victoire. – Nie chłopca!

Emil stał, obejmował rękami nogi ojca. Hrabia delikatnie wyzwolił się z objęć i odepchnął chłopca.

– Emilu, odejź – poprosił. – Tutaj grozi ci niebezpieczeństwo.

Chłopczyk zawahał się niepewnie i próbował wrócić do ojca.

– Emilu, nie! – krzyknęli unisono earl i matka chłopca. Dziecko zamarło.

– Tak, o to chodzi, zostań tam, gdzie jesteś – oznajmił Boden. – To twój ojciec mnie interesuje.

Earl stał wyprostowany, chciał godnie przywitać śmierć.

– Zastrzel mnie, jeśli chcesz, ale oszczędź chłopca. Proszę.

Holmes uśmiechnął się.

– Ach Boden, ostatni fragment jest oczywisty! Płatki cię nie podniecają. Jesteś pospolitym, mało znaczącym sadystą i dorośli są dla ciebie znacznie bardziej interesujący jako ofiary.

Boden odwrócił się, żeby wycelować w Holmesa.

– Kazałem ci szlochać jak dziecku i zrobię to jeszcze raz – warknął. – I tym razem dokończę dzieła. Przy okazji, gdzie jest

twój asystent? Tak się o ciebie niepokoi! Byłaby to przyjemność, gdyby musiał patrzeć.

Zabiłbym tego człowieka, choćby za cenę własnego życia. Ale nadal nie miałem go na celowniku.

– Gra się skończyła, Boden – stwierdził Holmes. Zwrócił się do earla: – Lordzie Pellingham, ten człowiek torturował i zamordował pańskiego lokaja. Co do pańskiej żony...

Earl z rykiem rzucił się na Bodena.

Boden odepchnął mademoiselle La Victoire na bok, wycelował oburącz w szarżującego earla, jakby to był słoń, ale Holmes wskoczył między nich i wytrącił broń z rąk Bodena. Obaj upadli na marmurową posadzkę. Pistolet Bodena poleciał daleko.

– Uciekaj! – krzyknęła mademoiselle La Victoire do Emila. Holmes i Boden tarzali się na posadzce, próbowali założyć sobie chwyt duszący. Wyskoczyłem z ukrycia, wykorzystałem szansę, która mi się narzucała. Mój rewolwer zabrzmiał donośnie i Boden wrzasnął. Holmes oswobodził się, a łajdak chwycił się za nogę.

Strzał trafił w arterię i krew trysnęła z rany.

Boden patrzył jadownicie na Holmesa i na mnie.

– Zobaczymy się w piekle – warknął i opadł z jękiem.

Pomogłem Holmesowi wstać.

– Dobra robota, Watsonie – powiedział.

– No już, no dobrze. Chodź do dziadka – odezwał się znajomy amerykański głos.

Wszyscy popatrzyli na drzwi. Emil pobiegł prosto w objęcia Strothersa, ojca lady Pellingham. Stał teraz, podświetlony, w drzwiach wejściowych do sali.

Strothers złapał chłopczyka i uniósł go, jakby dla zabawy. Potem ruchem, którego nigdy nie zapomnę, nagle mocno przycisnął go potężnym ramieniem do piersi. Chłopczyk zaczął dziko machać nogami, ale jego krzyki były stłumione, był przygwożdżony, nie mógł oddychać.

– O właśnie, chodź do dziadka, mały.

Z tyłu, zza pasa, Strothers wyciągnął ogromnego colta 45.

– Ach, wreszcie bohater dnia – zauważył Sherlock Holmes.

– Daniel? – wyszeptał earl.

– Niech nikt się nie rusza – rozkazał Strothers. – Rzuć broń, doktorze. Wiem, że dobrze strzelasz, ale mogę cię zdjąć.

Rzuciłem rewolwer. Na znak Strothersa kopnąłem go z dala od siebie. Odbił się od posągu i zatrzymał obok Bodena. Cholera. Ale Boden leżał bez ruchu. Miałem nadzieję, że nie żył.

Strothers cofnął się, trzymając dziecko jak tarczę.

– Długo się temu przysłuchiwałem. Panie Sherlocku Holmesie, z pana jest niezły spryciarz, ale wiele panu umknęło. Nie dorówna pan starej dobrej, amerykańskiej pomysłowości.

Rozejrzałem się. Mademoiselle La Victoire spotkała mój wzrok i na krótko opuściła oczy na posadzkę. Jej pistolet leżał ponad metr ode mnie, a Strothers nie mógł go widzieć. Mrugnąłem, że wiem, o co chodzi.

– To całkiem możliwe panie Strothers – odezwał się Holmes. – Wiem, że jest pan mózgiem kryjącym się za przejęciem tego

upragnionego łupu. – Pokazał gestem Nike i uśmiechnął się ironicznie. – Tego groteskowego kawału kamienia, którego pragną trzy narody, a nikt nie jest w stanie zdobyć. Ale to panu się udało, prawda? Sprowadził pan ją tutaj i pewnie nie ma we Francji czy w Anglii mądrzejszego od pana człeka. Chylę przed panem kapelusza.

Strothers zaczął się mizdrzyć pod wpływem pochlebstwa.

– Cóż, trafnie pan to ujął – powiedział.

Przesunąłem się w stronę pistoletu. Holmes, synchronicznie odsunął się troszeczkę, żeby odciągnąć ode mnie uwagę.

– Nie trzymaj tak mocno tego dzieciaka – poprosił. – Daj mu pooddychać, a ja opowiem resztę.

Strothers zdębiał, ale Holmes naciskał.

– Sir, przecież i tak pan nas zabije. Ma pan nas w ręku. Nie chce pan, żeby najpierw dowiedzieli się, jak pan to zrobił?

W co Holmes pogrywał? Czuję, jak pot spływa mi po plecach. Chłopiec coraz słabiej się miotął.

– Monsieur! – krzyknęła jego matka. – On nie może oddychać! Proszę!

Strothers zawahał się.

– Tak, ale nawet nie domyślicie się dlaczego. Chcę usłyszeć, jak słynny detektyw robi z siebie durnia. Zaczynaj. – Poluźnił chwyt i Emil złapał oddech.

Jego matka jęknęła z ulgą.

Po drugiej stronie sali zobaczyłem, że Boden się rusza. Zadrżał i sięgnął ręką w stronę rany. Żył i leżał niecały metr od mojego rewolweru! Wyczułem, że Holmes też to zauważył.

Earl stał, jakby wrósł w ziemię.

– Strothers, wiem to i owo o amerykańskich metodach kryminalnych – zaczął Holmes. – W marsylskich raportach, a potem będąc w Paryżu rozpoznałem charakterystyczny styl zabijania Mazzary, znanego mafiosa z New Jersey. Zatelegrafowałem do kolegi z Nowego Jorku, a on potwierdził powiązania twoich udziałów w przemyśle New Jersey z pewną gałęzią *la Famiglia*. Ale myliłem się co do ciebie. Myślałem, że po prostu odpłacasz się earlowi za jakieś przysługi albo działasz na jego rozkaz. Ale nie, ty nim manipulowałeś, prawda? Ty byłeś mózgiem całej sprawy. Ty odwróciłeś jego uwagę od fabryk, od żony i syna i sprawiłeś, że skoncentrował ją na tym, czego pragnął ponad wszystko. Doprawdy, bardzo sprytnie.

Earl gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Boże, przebacz mi. Dwa razy pod rząd okazałem się durniem.

– Jak to powiedziała twoja żona: ślepiec – rzekł Holmes, nie zdejmując wzroku ze Strothersa. – Szczególnie to dziwne u miłośnika sztuki. Ten człowiek miał cię całkowicie pod swoją kontrolą!

Strothers roześmiał się.

– Ha, doskonale. Bardzo dobrze! Zgadza się pod tym względem. Jestem mózgiem, który stał za wszystkim. Może brakuje mi waszych manier i słownictwa, ale strzeżcie się nas, wsioków!

Holmes westchnął i uniósł rękę.



– Właśnie! – przyznał. Kiedy to mówił, zbliżyłem się jeszcze bardziej do pistoletu. – Wyczyn godny uwagi! I przez cały czas miał pan w garści sznurki wielu lalek, panie Strothers. Musiała to być miła rzecz, takie polowanko, prawda? I wypolerowany angielski, przyfastrygowany na wzór wiejskiego szlachcica? A tak przy okazji, pański nowy wygląd robi duże wrażenie.

Wyczułem, że Strothers się waha.

– Szczególnie sygnet na pańskiej lewej dłoni – mówił dalej Holmes.

Wszystkie oczy powędrowały w stronę ręki Strothersa, tej od naszej strony, którą trzymał dziecko. Podobnie jak earl nosił sygnet na małym palcu.

Strothers roześmiał się.

– Słuchałem cię przez drzwi, ty durniu. Tak, noszę sygnet. Więc myślisz, że zabiłem Annabelle? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Żeby powstrzymać ją przed ujawnieniem, że jesteś pederastą – odparł Holmes.

Mademoiselle La Victoire stłumiła krzyk, earl wydał zduszony odgłos.

– Jeden mały problem. Noszę sygnet nie na tej ręce, ty durniu – rzucił Strothers.

– Nie sądzę. Tuż przed morderstwem ty i Boden byliście w palarni. Słyszeliście, tak jak i my, kłótnię między lady Pellingham a earlem. Miałeś motyw: wiedziałeś, że ona jest na granicy wytrzymałości. I wykorzystałeś okazję: kłótnia rzucała podejrzenie na lorda. Do biblioteki, z miejsca, w którym

byliście, najprostsza droga prowadziła przez małą przybudówkę. Ja też wszedłem z tamtej strony i zauważyłem papiery zrzucone z biurka. Ktoś pospiesznie tamtędy przechodził.

– To jest... to jest... nic! – wrzasnął Amerykanin.

– Lady Pellingham stała twarzą do drugiego końca biblioteki, kiedy została zabita – ciągnął Holmes. Przerwał na chwilę. – Sygnet jest na właściwej dłoni, o ile została uduszona od tyłu, a teraz wiem, że tak było.

Earl zatoczył się.

– Mój Boże! Jej własny ojciec!

– To nie wszystko. Dzieci z fabryki były mordowane, a i gorzej. Jesteś potworem! – krzyknął Holmes.

– Nie możesz tego wszystkiego wiedzieć! – wydyszał Strothers.

– Ha, ale wiem. Pierwszą zgwałciłeś własną córkę, miała wtedy chyba dziesięć lat. Ale naprawdę to podniecali cię mali chłopcy. Kiedy czekałeś, aż mały Emil osiągnie właściwy wiek, zaspokajałeś się sierotkami, które stręczył ci obecny tutaj Boden i dostarczał do fabryki, żebyś mógł sobie wybrać. – Holmes, gestykulując teatralnie, zbliżał się do earla, odciągając uwagę Strothersa ode mnie.

Z miejsca domyśliłem się, co powinienem zrobić. Zbliżyłem się jeszcze bardziej do rewolweru leżącego obok Bodena. Zerknąłem na niego, w wielkim bólu uciskał ranę. Czy mnie widział?

– Gdyby earl bardziej zainteresował się swoimi sprawami, może by zauważył, ale ty jeszcze bardziej odwróciłeś jego

uwagę za pomocą Nike, żeby nie przeszkadzał ci w twoich igraszkach. Boden był twoim współnikiem, jakby niecnym bliźniakiem z własną patologią. W zamian kupiłeś mu jego urząd i poletko zabaw.

W sali panowała śmiertelna cisza. Byłem o jakieś pół metra od rewolweru.

Holmes mówił dalej.

– To mogło trwać długi czas, gdybyś nie zaostrzył zabawy, mordując dzieci, kiedy już wykorzystasteś je dla swojej przyjemności. To przyciągnęło zainteresowanie z zewnątrz. Od jakiegoś czasu Londyn był tego świadom, chociaż – dodam – patrzył w niewłaściwym kierunku.

Strothers zbladł jak śmierć na chorągwi.

– Sprzymierzyłeś się z diabłem. Albo... – zwrócił się do Bodena. – Boden, ty zdrajco. Wszystko mu powiedziałeś.

Boden podniósł wzrok znad swojej nogi.

– Niczego mu nie powiedziałem! – krzyknął.

– Niemożliwe! – wrzasnął Strothers. Obrócił się i wycelował pistolet w Holmesa. – Człowieku, jesteś diabłem wcielonym! Nie ma tak sprytnych ludzi! – Emil zaczął się rzucać i Strothers poprawił chwyt. Jedną ze swoich wielkich dłoni chwycił cienką szyję dziecka. – Nikt nie byłby w stanie domyślić się...

Nagle wrzasnął, a jego pistolet wypalił. Sierota Freddie wyłonił się z cienia i ugryzł Strothersa w łydkę!

Potem wszystko stało się w ułamku sekundy. Strothers rzucił Emila i wycelował w Holmesa. Ja zanurkowałem po pistolet

naszej klientki i turlając się po posadzce, drasnąłem Strothersa, który upadł.

Boden rzucił się na rewolwer i wycelował go prosto w earla.

Holmes skoczył pomiędzy nich.

Trzy spluwy wypaliły naraz, a niesamowity huk przetoczył się po sali i zatrzęsł oknami. Trafiłem Bodena między oczy, jego strzał poszedł panu Bogu w okno. Przekręciłem się, żeby zobaczyć Strothersa, który leżał teraz przy drzwiach, a z rany w barku tryskała mu rzeka krwi. Vidocq stał obok mademoiselle La Victoire, dymiący pistolet miał wycelowany w ohydneho potwora.

Potem Vidocq podszedł do leżącego twarzą w dół Strothersa. Wyrwał pistolet z ręki starego i wrócił, żeby objąć swoją panią i Emila. Freddie patrzył na to w niemym podziwieniu.

Holmes, który stał obok earla u podstawy Nike, skinął głową w stronę ciała Bodena.

– Dobra robota, Watsonie. Wygląda na to, że tym razem on naprawdę nie żyje.

Odwrócił się do pozostałych. Vidocq klęczał przy mademoiselle La Victoire i Emilu, obejmował ich ramionami i łagodnie obcałowywał ją po twarzy.

– *Ma chérie, ma petite!* – szeptał.

– Vidocq, przybyłeś na samym końcu – powiedział Holmes. – Jak zwykle.

– Za nic w świecie nie chciałbym tego przegapić – odparł Francuz, bliżej przyciągając mademoiselle La Victoire. Ale wzrok pięknej damy spoczywał na Holmesie.

– *Merci*, monsieur Holmes – odezwała się cicho. Zwróciła się do mnie: – I panu, doktorze Watson. *Ah, mon Dieu*, pan jest ranny!

Dopiero wtedy zauważyłem, że kula zraniła mnie w biceps, który teraz krwawił trochę szybciej, niż można byłoby sobie życzyć. Rana nie była śmiertelna, ale potrzebna mi była opaska uciskowa, i to szybko.

– Niech mi ktoś z tym pomoże... – zacząłem.

Freddie podszedł do mnie i dał mi swój szalik.

– Panie Holmes! Źle pana oceniłem – wydyszał earl. – Ale moja kochana Annabelle! Nasze dziecko! Nie mogę sobie wyobrazić... – Zrozpaczony, z rękami przy głowie, zachwiał się do tyłu.

Potknął się o wspornik przy podstawie Nike. Holmes skoczył, żeby go złapać, ale chybił. Hrabia wyslizgnął mu się z rąk i upadł całym ciężarem na podstawę ogromnego pomnika. Przez okropną chwilę Nike chwiała się na swojej tymczasowej podstawie.

– Uważaj! – krzyknąłem.

Posąg rąbnął na ziemię i rozpadł się, przygważdżając earla i Holmesa pod swoim największym fragmentem.

# Część IX

## 221B

*Wszystko jest prostsze, niż można sądzić, zarazem zbyt zawile,  
by to pojąć.*

Johann Wolfgang von Goethe

## 29. Kierunek Londyn

Właśnie wtedy ludzie Mycrofta, a wraz z nimi Hector i Annie Philo wpadli do sali, jakby niebo ich zesłało. Zaroiło się jak w ulu. Ci od Mycrofta pospieszyli do potrząskanej Nike, a doktor i jego żona podbiegli, żeby mi pomóc przy wyciąganiu Holmesa i earla spod gruzów. Pellingham ze złamanym ramieniem bez problemów wróci do zdrowia, ale mojemu przyjacielowi, Sherlockowi Holmesowi, powiodło się gorzej.

Odcierpiał poważne złamanie lewej nogi. Szybko opatrzyliśmy moją ranę i razem z małżeństwem Philów zajęliśmy się Holmesem. Ludzie Mycrofta przejęli kontrolę nad resztą spraw, wezwali prywatnego lekarza earla i uwolnili nas od wszelkich dalszych problemów z Bodenem i tym łotrem Strothersem.

Następnego dnia pojechaliśmy przez śniegi do Londynu pociągiem wyposażonym przez wdzięcznego earla.

Łoże boleści Holmesa i moje miejsce sąsiadowały ze sobą. Obok znajdowały się przedziały mademoiselle La Victoire, Emila, Vidocqa i policjanta ze Scotland Yardu służącego za ochronę.

Marsylska Nike, czy też to, co z niej zostało, załadowano do przyległego wagonu. Miano ją zawieźć do British Museum,

chyba że Vidocq i rząd francuski skutecznie się o nią upomną. Wtedy niewiele mnie to obchodziło.

Całe godziny zamartwiałem się u łoża mojego przyjaciela. Złamana kość mogła przebić się przez skórę, a ryzyko infekcji przy tego rodzaju ranie było bardzo wysokie. Owinąłem jego nogę nasączonymi karbolem bandażami i zatelegrafowałem do chirurga kostnego w Londynie, żeby spotkał się z nami na Baker Street.

Holmes na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, ale na godzinę przed Londynem odzyskał świadomość, jakby wiedział, że jest blisko domu.

Zamówiłem herbatę.

– Emil – odezwał się Holmes zmęczonym głosem. – Gdzie on jest?

– W pociągu, z matką. Earl wkrótce dołączy do nich w Paryżu.

– Watsonie, musisz zadbać, żeby dostał pomoc... może wychowawcę.

– Tak zrobię – powiedziałem. – Teraz odpoczywaj.

– A ty, Watsonie? Co z twoim ramieniem?

– To tylko zadraśnięcie. Nie ma czym się przejmować Holmesie.

Leżał bez ruchu i patrzył przez okno na ośnieżony krajobraz.

– Szkoda Nike – rzekł.

– Teraz to tylko kawały kamienia – zauważyłem. – Ale British Museum radzi sobie z takimi układankami. Ty rozwiązałeś większą. Teraz odpoczywaj, Holmesie.

Przesunął się, jakby było mu niewygodnie, i jęknął.



Wiedziałem, że odwrócenie uwagi ulży mu w cierpieniu.

– Więc może zechciałbyś naświetlić kilka najważniejszych punktów swojej ostatniej przygody – zasugerowałem.

– Czy to nie jest całkowicie jasne dla ciebie?

– Owszem, wiem, że amerykański ojciec lady Pellingham znajdował się w samym środku serii przestępstw. Miał śmiałość udawać filantropa i bojownika o prawa dzieci! Ale nie rozumiem jego motywów. Przecież gdyby chciał zająć się swoją chorą pasją do dzieci i tylko tyle, to mógł wybierać między wieloma sierocińcami, które ufundował w Stanach Zjednoczonych. Nie musiałby jechać za córką do Anglii, kiedy udało się jej wyjść za angielskiego lorda.

– Dwie rzeczy Watsonie: lady Pellingham jako dziecko była prawdopodobnie jego pierwszą ofiarą. Ludzie o takim zboczeniu często zaczynają od własnej rodziny. Ten pierwszy raz jest dla nich szczególnie. Strothers, chociaż później wolał małych chłopców, zachował chorą namiętność do własnej córki.

Zamyśliłem się nad tym spostrzeżeniem.

– Ale jednak...

– Przyjmij na chwilę, że przyjechał tutaj po prostu dlatego, że nie był w stanie trzymać się z dala. Kiedy tu już był, znalazł kopalnię złota. Po pierwsze, otworzyła się przed nim wspaniała okazja uzyskiwania dzieci z fabryk należących do dóbr lorda Pellinghama. Sadysta Boden, który był wtedy majstrem, stał się jego naturalnym sprzymierzeńcem. Ich związek był skomplikowany i w końcu Strothers przekupił Bodena stanowiskiem sędziego pokoju. To dało Bodenowi

nieograniczone możliwości praktykowania swoistego rodzaju „sprawiedliwości” i odosobnione miejsce, żeby ją wymierzać.

Zebrało mi się na mdłości, kiedy dotarła do mnie nikczemność kryjąca się za tymi słowami. Trudno było wyobrazić sobie taką deprawację.

– Mój Boże, Holmesie...

– Tymczasem, wraz z upływem czasu, Strothers zobaczył w splendorze, bogactwie i pozycji earla coś, czego zapragnął dla siebie.

– Cóż, czy to nie jest zwyczajne, że te amerykańskie rekiny finansjery wydają swoje córki za angielskich arystokratów? – zapytałem. – Dla zewnętrznych przejawów zacności i pozycji?

– Nie wszyscy to rekiny, Watsonie, chociaż niektórzy tak – odparł. – I jest w tym szansa na zrobienie pieniędzy. Oczywiście, amerykański kapitał często pokonuje długą drogę, zanim wesprze niektóre z podupadłych wielkich majątków ziemskich. Ojciec lorda Pellinghama podjął kilka katastrofalnych decyzji biznesowych, kiedy obecny earl był dzieckiem. Przemysł poszedł do przodu i jedwab wypadł z łask modnych dam. Ale ojciec i syn byli uparci, rozkochali się w pięknie jedwabiu. Ich fortuny gwałtownie zmaląły.

– Wkracza Strothers i jego śliczna córka, żeby uratować włości Pellinghamów – odezwałem się.

– Właśnie tak. Ale biedna, młoda Annabelle Strothers z początku myślała, że znajdzie się tysiące kilometrów od ojca gwałciciela i w Anglii będzie bezpieczna. Lord Pellingham,

choć słaby i zaprzątnięty swoimi sprawami, nie był złym człowiekiem.

– Ale przecież będzie pociągnięty do odpowiedzialności za wszystkie te morderstwa związane z Marsylską Nike? – zapytałem.

– Nie. Obawiam się, że jest winien tylko nieuwagi i zwyczajnej chciwości – powiedział z goryczą Holmes. Przesunął się, jakby było mu niewygodnie. Poprawiłem mu poduszki.

– Ale jeśli earl naprawdę kochał swoją amerykańską żonę, to dlaczego romansował z Cherie Cerise?

– Prawdopodobnie było to jedyny grzeszek. Na pewno zauważyłeś uroki tej damy.

– Cóż, hm. Ale dlaczego lady Pellingham zaakceptowała Emila jako własne dziecko?

– Molestowane dzieci wybierają jedną z dwóch dróg, Watsonie. Albo zachowują w pamięci molestowanie, które spadło na nie w dzieciństwie, albo idą wręcz przeciwną drogą. Chronią swoje młode, jak niedźwiedzica, która zabija w obronie swoich małych. Lady Pellingham bardzo chciała dać Emilowi takie dzieciństwo, jakiego sama nie miała. A Emil nie wiedział...

Pociąg wjechał na most i zachybotał, Holmes zachwiał się. Jęknął z bólu. Położyłem na nim rękę, żeby go przytrzymać.

– Morfiny, Holmesie?

– Gdybyś był tak miły.

Ze skórzanej torby wyjąłem strzykawkę i fiolkę z morfiną.

– Więc poprosiła Pomeroya, żeby ukrył chłopca, kiedy Strothers zaczął okazywać zainteresowanie.

– Właśnie.

– Co teraz będzie z Pellinghamem?

– Mam nadzieję, że nic strasznego. Sądzę, że zachowa pieniądze Strothersa. Jako par uniknie prawdopodobnie surowej kary, o ile zwróci skradzione dzieło sztuki i dokona jakiejś publicznej pokuty.

Przetarłem miejsce na ramieniu Holmesa i wstrzyknąłem lekarstwo.

– A mademoiselle La Victoire?

– Nie martw się o tę damę. W każdym wypadku Emil będzie dziedzicem, tak jak wcześniej planowano.

– Więc wszystko dobrze się skończy – powiedziałem.

Nastąpiła długa cisza, Holmesowi opadły powieki.

– Nie licząc ciebie, Holmesie – dodałem. – Ta sprawa drogo cię kosztowała.

– Ze mną będzie w porządku, Watsonie. – Mówił coraz mniej wyraźnie. – Jak wiesz, mam... doskonałą... opiekę... medyczną. – Morfina zaczęła działać, uśmiechnął się i zamknął oczy.

Uspokojony jego równomiernym oddechem, zapadłem w niespokojny sen u jego boku.

## 30. Odnowa

Mówi się, że lekarze są swoimi najgorszymi pacjentami. Usadziłem Holmesa w domu pod opieką specjalisty, który zajął się jego nogą, i prywatnej pielęgniarki nadzorowanej przez mojego kolegę, doktora Agara, po czym pospieszyłem do przyjaciela z Harley Street, żeby zajął się moją raną. Gdy wróciłem do domu, dowiedziałem się, że moja kochana Mary zachorowała.

I tak wyszło, że opiekując się nią przez dziesięć pełnych dramatyzmu dni, zaniedbałem własne zdrowie. Konsekwencje były takie, że moja rana uległa infekcji i sam trafiłem do szpitala.

W rezultacie moja ukochana żona, nie bez wielkich emocji, kazała mi, żebym towarzyszył jej podczas krótkich wakacji w Brighton, gdzie oboje moglibyśmy w pełni powrócić do zdrowia.

Spędziliśmy tam, wraz z przyjaciółmi, spóźniony Nowy Rok, dzieląc się z nimi rześkim morskim powietrzem i dobrymi posiłkami. Chociaż w tym czasie codziennie telegrafowałem do Holmesa, nie otrzymywałem odpowiedzi. Jednak doktor Agar zapewnił mnie w liście, że Holmes dochodzi do zdrowia, chociaż nie odpowiedział bezpośrednio na pytania o nastrój mojego przyjaciela.

Pięć tygodni później, w końcu stycznia, wróciłem wreszcie na Baker Street. Powoli wszedłem po schodach do naszych starych pokoi, z obawą, że znów zastanę przyjaciela w szponach nałogu. Wszedłem do niegdyś dzielonego przez nas apartamentu z lękiem zmieszany z poczuciem winy.

Ale zamiast ponurego chaosu, którego się spodziewałem, zastałem odciągnięte zasłony i pokój wypełniony światłem. Lekkie melodie Mozarta rozlegały się z gramofonu, tak jak w paryskim mieszkaniu Lautreca. Holmes siedział na kanapie przy wesołym ogniu, z podpartą wysoko nogą i jak za dawnych czasów ślęczał nad rubryką porad osobistych.

W pokoju nastąpiło kilka innych zmian. Przy kanapie stały kule. W jednym z kątów leżała dziwaczna sterta poduszek, a na grubej rogoży stała świeca. Nad tym, na ścianie, wisiał kolorowy szkic olejem, obok dziur po kulach układających się w litery WR, czyli wirtualna rzeczywistość, kiedy z nudów postrzelał sobie do ściany. Jeśli się nie myliłem, był to Toulouse-Lautrec.

– Holmesie! – krzyknąłem. – Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu!

– Właśnie, Watsonie. Doktor Agar odprawił swoje czary, a pielęgniarce były, hm, co najmniej skuteczne. Widzę, że zauważyłeś nowy obraz. Wspaniały, prawda? Przewiduję, że w przyszłości zyska wielkie uznanie.

Pokazał gestem obraz w ramie, a ja dopiero wtedy rozpoznałem podobiznę mademoiselle La Victoire śpiewającą w Chat Noir jako Cherie Cerise. Lautrec uchwycił zarówno jej

piękno, jak i coś przejmującego w wyrazie twarzy – może odbicie duchów, które ją nawiedzały, jak te, które zauważył u Holmesa.

– Piękne – powiedziałem, chociaż nie wiem, czy chodziło mi o obraz, czy o modelkę.

– To prezent od lorda Pellinghama. Ten człowiek, przy wszystkich swoich słabościach, zna się na sztuce. Niestety, monsieur Lautrec opuścił Paryż i teraz walczy z uzależnieniem na południu Francji. – Przez pełną zadumy chwilę przyglądał się obrazowi. – Obawiam się, że uczuciowa natura artysty wzięła górę nad jego rozumem racjonalnym.

Właśnie coś takiego groziło w przeszłości mojemu przyjacielowi, a i teraz obawiałem się, że znajdę go w takim stanie.

– Ale ślady monsieur Lautreca, w przeciwieństwie do naszych odcisków stóp, pozostaną na wieki. Wątpię, czy jest tego świadom.

Kiedy podszedłem bliżej do obrazu, Holmes dokładniej mi się przyjrzał.

– Cieszę się, że doszedłeś do siebie, Watsonie. Od doktora Agara słyszałem o twoich komplikacjach.

– Obawiam się, że zaniedbałem ranę. Głupio postąpiłem!

– Tak, głupio, a teraz siadaj! – Holmes nalał herbaty i podał mi parującą filiżankę.

– Holmesie, tak mi przykro – zacząłem.

– Nie ma za co przepraszać.

– Ale czy dobrze się czujesz? Jak twoja noga? A plecy?

Machnął ręką na moje pytania.

– Powrót do zdrowia następuje szybko. Porozmawiajmy o innych sprawach.

– Ale jestem zarówno twoim lekarzem, jak i przyjacielem.

Zignorował mnie, upił łyk z filiżanki, oparł się wygodnie i uśmiechnął.

– Spodoba ci się, że Emil wraca do zdrowia i dzieli swój czas między Paryż a earla. Zaczął lekcje pianina i według mademoiselle ma talent.

Serce szybciej mi zabiło.

– A więc on mówi?

– Podobno całkiem sporo.

– Ach, to świetnie! Ale czytałem, że Nike znajduje się w Luwrze. Ten hultaj Vidocq przypisał sobie całą zasługę w jej odzyskaniu!

– Watsonie, nic mnie nie obchodzą zasługi. Przecież wiesz.

– Ale obchodzi cię sprawiedliwość. A earlowi najwyraźniej znowu udało się obejść prawo!

– Mój drogi, nie wszystko dociera na Fleet Street. Mój brat jakoś przekonał earla, żeby ofiarował całą swoją kolekcję British Museum. Właśnie przekazuje zarówno dzieła, jak i swoje, hm, uczucia. Wiem na pewno, że kupuje sobie pałac i winnicę niedaleko Tours we Francji.

– We Francji mówisz! Blisko mademoiselle La Victoire?

– Nie tak znowu daleko – odparł Holmes z uśmiechem.

Siedzieliśmy i piliśmy herbatę. Miałem ochotę na coś mocniejszego.



– Brandy. W kredensie – powiedział Holmes. To zawstydzające, że tak wszystko po mnie widać.

– A sieroty i fabryka? – pomyślałem na głos, nalewając szklaneczkę. – Brandy, Holmesie? – zapytałem.

– Nie, dziękuję Watsonie.

– A Strothers?

– Wszystko zostało uporządkowane. W fabryce, na polecenie Londynu, przeprowadzono śledztwo, sieroty na koszt earla przeniesiono do szkoły z internatem. Strothersa aresztowano, bez wątplenia zawiśnie. Jednak zastanawiam się, jak się miewa mały Freddie – opowiadał. – Jeszcze nie dowiedziałem się, co z nim.

– Aha! Mam na ten temat informacje! Dostałem list od państwa Philów. Adoptowali Freddiego. A, oczekują też dziecka.

– To już wiem.

– Skąd?

– Parapet. – Na widok mojej zdumionej miny uśmiechnął się z zadowoleniem. – Pomarańcze. Poranne mdłości.

– Oczywiście – powiedziałem. Ale jest jeden aspekt tej sprawy, który mnie niepokoi, Holmesie. Chodzi o twojego brata Mycrofta.

Twarz Holmesa pociemniała.

– W czym rzecz?

– Groził ci, Holmesie. Nie chcę się narzucać, ale...

– No to się nie narzucaj. Nalej jeszcze herbaty.

– Ale to twój brat!

– Rzecz jest skomplikowana.

– Delikatnie to ująłeś!

Holmes nic nie powiedział. Wstałem i nalałem herbaty do filiżanek. Spozrzegłem moje zakłopotanie, więc dodał:

– Watsonie, zawsze jestem o krok przed Mycroftem, a on myśli, że jest odwrotnie. To reguła.

Uważałem, że Holmes, mimo całej swojej genialności, czasem wierzy pozorom. Ale odczytał to po mojej minie i parsknął.

– Zmieńmy temat na ciekawszy. Zastanawiasz się, jak cały ten czas dawałem sobie radę bez ciebie?

– Cóż, tak. I bez kokainy.

– Martwi mnie tylko brak zajęcia. Sam czuję się doskonale. A może i lepiej.

Nie uwierzyłem mu.

– Tak, tak, oczywiście. Więc jak sobie dawałeś radę?

– Podjąłem formę medytacji, którą najtrafniej można określić jako „uważność”. Na wschodzie jest często praktykowana.

– Medytacja! Czy to nie jest ćwiczenie duchowe? Swego rodzaju religia? – Nie byłem w stanie pojąć, żeby mój przyjaciel, ta machina do racjonalnego myślenia, zainteresował się jakąś formą spirytualizmu czy mistycyzmu, chyba że okropieństwa i cierpienia, które przeżył podczas naszej ostatniej sprawy, całkowicie go zmieniły lub wytrąciły z równowagi.

– Możliwe. Jeśli chodzi o mnie to nie kwestia wiary, ale głębsze poznawanie sił umysłu. – Uśmiechnął się. – Jak wiesz, mój ulubiony temat.

– Jak to robisz?

– Siadam tam, z plecami wyprostowanymi, jakbym był zielonym źdźbłem trawy, i nie ruszam się przez dłuższy czas.

Podążyłem za jego wzrokiem do dziwacznej sterty poduszek.

– To wszystko? Coś jak fajka przy rozwiązywaniu sprawy?

– Nie – odparł. – Podczas medytacji nakierowuje się umysł na szczegóły. Żadnych układanek, jak przy sprawie, co najwyżej drobne spostrzeżenia, na przykład oddech. To inny rodzaj pracy umysłu.

Pewnie żartował.

– Skupiasz się na oddechu? A dlaczego nie na wielkim palcu u nogi? – zapytałem.

– Nie rozumiesz. Wyciszając się i skupiając myśli na najdrobniejszych szczegółach, paradoksalnie ujawnia się większe schematy i tworzy się poczucie spokoju.

Parsknąłem.

– Niedorzeczność!

Holmes roześmiał się.

– Drogi Watsonie, nie dowiesz się, póki nie spróbujesz. Tak się składa, że medytacja zmniejsza ból, i stąd moje mniejsze zapotrzebowanie na, powiedzmy, zewnętrzne środki niosące ulgę.

Gdyby to była prawda, byłby to medyczny cud, coś, co medycyna powinna przyjąć z ochotą. Zastanawiałem się, czy tylko tak wyjątkowe umysły jak Holmesa są w stanie czerpać z tego korzyści. Holmes jakby czytał mi w myślach.

– Jest to technika, z której skutecznie korzystano na Wschodzie od tysiąca lat – wyjaśnił. – Korzystali z niej mnisi,

wojownicy, artyści...

– Oczywiście. Można twierdzić, że jesteś nimi wszystkimi – powiedziałem.

Roześmiał się.

– Stary, dobry Watson. Nie ma powodu, żeby robić ze mnie bohatera. Zresztą z tej techniki korzystali także zwykli ludzie. – Uśmiechnął się. – Proponuję, żebyś spróbował.

– Pomyślę o tym, Holmesie – odrzekłem – następnym razem, kiedy będę miał problem z brakiem pracy.

Parsknął.

– Nie jesteś szczególnie uzależniony od pracy. Ale słuchaj, musisz mi opowiedzieć o Brighton. Jestem pewien, że świetnie się bawiłeś ze swoimi nowymi żonatymi przyjaciółmi i korzystałeś z wielu rozrywek, które ma do zaoferowania ten nadmorski kurort. Czy sprzyjało to twojej rekonwalescencji?

Zamilkłem. Holmes patrzył na mnie z uśmiechem. Tym razem byłem pewien, że ze mnie kpi. Nie mogłem nic na to poradzić i też się uśmiechnąłem. Za chwilę obaj się roześmieliśmy.

– Znienawidziłem Brighton – rzuciłem. – Tam było nudno jak cholera!

## PODZIĘKOWANIA

*Za Sherlocka Holmesa i sztukę we krwi moim rodzicom. Za inspirację sir Arthurowi Conan Doyle'owi, doprawdy jednemu z wielkich. A za powstanie tej książki mojemu uroczemu zespołowi domowemu, Chuckowi Hurewitzowi i Lindzie Langton. W wydawnictwie HarperCollins wspomniałbym Davidowi Brawnowi, Natashy Hughes i Rachel Winterbottom, a także Abigail Fenton.*

*Za inspirację wielu aktorom, ale szczególnie wytwornemu, błyskotliwemu Jeremy'emu Brettowi, energicznemu, a zarazem zrelaksowanemu Robertowi Downeyowi Juniorowi, jednocześnie aroganckiemu i wrażliwemu Sherlockowi Benedicta Cumberbatcha – wszyscy oni uosabiają najważniejsze fragmenty mojego ulubionego bohatera. Za Mycrofta srogiego i skomplikowanego Markowi Gatissowi, za Watsona przystojnego i niebezpiecznego Jude'owi Law, a szczególnie Martinowi Freemanowi za ciepłe, zabawne „Co ty, u diabła, robisz?” Johna. Jeśli usłyszycie w książce głosy któregoś z tych czarujących aktorów, to ich wina. Och, w porządku, moja. Chociaż moim zamiarem i nadzieją było, że sir Arthur weźmie górę.*

*Szczególne podziękowania dla dwóch słynnych specjalistów od Holmesa: Lesowi Klingerowi za przyjaźń, wsparcie, poradę,*

*bezkompromisowe uwagi i za zmuszenie mnie do ujawnienia się, jako miłośniczki sherlockianów. Les, otworzyłeś przede mną zupełnie nowy świat. To samo dotyczy mojej drogiej przyjaciółki Catherine Cooke z Anglii. Ale nie wińcie Lesa czy Catherine za jakiegokolwiek błędy!*

*Redakcyjne podziękowania szczególnie dla Lynn Hightower, ale też dla przyjaciela Matta Wittena i Nancy Seid oraz krajanów z Oxnard, Patty Smiley, Craiga Faustusa Bucka, Jonathana Beggsa, Boba Shayne'a, Harley Jane Kozak, Jamiego Diamonda. Ze Szkocji dla Ailsy Campbell, a z Francji dla Cynthii Liebow. Wielkie podziękowania także dla uzdolnionych Megan Beattie, Jane Acton, Sary Keitzmann i Dotti Irving za pomoc w tym przedsięwzięciu.*

*Wyrazy uwielbienia także dla dwóch wspaniałomyślnych londyńczyków, Rogera Johnsona i Steve'a Emecza, którzy odegrali znaczącą rolę w rozszerzeniu moich sherlockiańskich horyzontów. Ja raczyłam się wspaniałymi posiłkami, a oni przedstawili mnie nowym przyjaciołom w moim ulubionym mieście. Merci dla Cercle Holmesien de Paris, a szczególnie Hélène, Thierry'ego, Laurence'a, Véronique i Jeana-Christope'a.*

*Historyk medycyny dr Lindsay Fitz i chemik Christopher A. Zordan doradzali mi w sprawie transfuzji i znikających atramentów. Kolega autor sherlockista Dan Andriacco wyświadczył mi przysługę, za którą słowami nie jestem w stanie podziękować. Tak wielu innych sherlockistów odegrało swoją rolę, wśród nich nowi przyjaciele: Luke Benjamin Kuhns, Matthew J. Elliott, Mary Platt, Anne Lewis, Jacquellynn Bost*

*Morris, Al Gregory, Julie McKuras, Peter Blau, Dick Sveum, Tim Johnson, Tom Ue, Becky Simpson, Martin Moore, Crystal Noll, Charlotte Ann Walters, Jean Upton, Lynn Gale, Marek Ujma, Alex Anstey, Paul Annett, Leah Cummins Guinn, Jerry i Chrys Kegley, Maggie Schpak, Robert Stek, Charlie Mount, a także Emma Grigg i Jules Coomber z Sherlockologii. Szczególne podziękowania dla Steve'a Doyle'a i Marka Gageny. Wyrazy wdzięczności dla Paula Gilberta za zwiedzanie miejsc związanych z Sherlockiem i dla miłych ludzi z Hartswood za to, że pozwolili mi przeczytać parę scenariuszy do Sherlocka i przygotować się do rozmowy. Wszyscy oni są przykładem sherlockiańskiego ducha wspaniałomyślności i wspaniałej zabawy. Przepraszam wszystkich, których nie wymieniłam.*

*Rodziny z pokrewieństwa, Chris Simpson i Kristin Kay, oraz z wyboru, Jaz Davison, były najważniejsze, gdy szukałam bezpośredniego wsparcia. Uściski dla Paula Cheslawa, Karen Essex, Ann Cheslaw, Mirandy Andrews i Christine Sofiane za wsparcie i dla moich studentów literatury z kursów UCLA Extension, szczególnie dla koleżanki autorki Colette Freedman.*

*Ilustracje do amerykańskiego wydania powstały dzięki bardzo utalentowanemu Robertowi Mammanie (fotografowi i Vidocqowi) oraz moim znakomitym i przystojnym przyjaciółom aktorom Robowi Arbogastowi i Paulowi Dennistonowi, pozującym jako perfekcyjni Holmes i Watson do ilustracji (i na scenie). Dziękuję Miguelowi Perezowi, Samarze Bay, Jonathanowi Le Billonowi i Bradowi Bose'owi, którzy pozwolili do rozmaitych postaci, Rayowi Bengstonowi za autorskie zdjęcia i wideo, Joemu*

*Blausteinowi za wsparcie sztuki i Tanyi Johnston za pierwsze prace projektowe. Sugestywna, oryginalna muzyka do Sherlocka Holmesa, napisana przez Ryana Johnsona do zwiastuna, dostarczyła mi „ścieżki dźwiękowej”, kiedy pisałam.*

*Wielkie podziękowanie należy się Filipemu Dominguesowi i gościnnej obsłudze hotelu Park Plaza Sherlock Holmes na Baker Street w Londynie, gdzie napisałam sporą część powieści.*

*Trish Dickey dzielnie, nie stroniąc od przymusu, wprowadzała jakiś porządek w otaczający mnie chaos, a Brad Bose, Liz Poppert, Noel Kingsley i Anthony Mayatt utrzymywali „transport” w ruchu, żeby umysł mógł pracować dalej.*

*Nauczyciel medytacji, Shinzen Young, nie tylko mówił mi o wiktoriańskich praktykach medytacyjnych, ale dzięki jego bezpośredniemu nauczaniu ten maratoński projekt był możliwy.*

*Szczególne podziękowania należą się Davidowi Rothowi, który na koniec wielkodusznie i nieustrudzenie dokonywał czarów. Dziękuję ci Davidzie.*

*I na koniec moje największe podziękowania dla wspaniałomyślnego i oddanego męża, Alana Kaya. Nikt nie zrozumie lepiej procesu twórczego. Jako znacznie mądrzejszy Sherlock z nas dwojga, zarazem ściągał mnie na ziemię zgodnie z najlepszą tradycją reprezentowaną przez Watsona i napędzał najlepszymi na świecie omletami. Bez niego nie byłoby tej książki.*

*Dziękuję Alanie i dziękuję Wam wszystkim. Było Was mnóstwo.*